99722

K.195/73/ 111092

PRZEDMOWA.

Nikt zwykie przedmowy nieczyta. Pisarz, któryby czując potrzebę powiększenia tomiku parą arkuszami w interesie Wydawcy, a niechcąc sobie głowy mozolić, kazał wydrukować na początku jaki dawny regestr wydatków, lub wyjątek z jakiej starej gazety, mógłby być pewnym, że książeczka jego długoby po rękach biegała, nimby ktoś przypadkiem postrzegł jaką przedmową jest opatrzona. To dało mi było chęć puścić na świat i jego sądy, Pamiętnik Oryginała bez żadnej przedmowy; ale zastanowiłem się, że drukując cudze pismo, należy przynajmniej powiedzieć jakie ma się do tego powody i prawo. Ten wzgląd jedynie podał mi pióro do ręki; kto więc chce niech się dowie, a kto przedmowy nieprzeczyta, i

niebędzie wiedzieć jak i dla czego to pisemko świat ujrzało, niech sam sobie winę przypisze. Rzecz tak się miała: znałem był kiedyś w kraju pana N.... młodego człowieka, majętnego, dobrze położonego w hierarchji towarzyskiej, i często go spotykałem; później biegiem okoliczności oddalony w inne strony, straciłem go z oczu, i to tylko doszło do mojej wiadomości, że po 1831 roku wyjechał do Francyi. Przed kilką laty jadąc do Paryża przypomniałem sobie tę okoliczność, i postanowiłem starać się o odnowienie z nim znajomości. W samej rzeczy, jak tylko dopytałem się o jego mieszkanie, poszedłem go odwiedzieć. Klucz we drzwiach dowodził że pan był w domu, zastukałem więc, odpowiedziano: — *entrez* — i wszedłem. Na przeciwko wejścia, ale plecami do drzwi obrócony siedział jakiś człowiek, głowę miał opartą na jednej ręce, a drugą przewracał karty dość grubego sexterna, wziętego, jak było widać, z pomiędzy kilku innych obok leżących.

— Czy zastaję pana N...? — zapytałem.

Czytelnik odwrócił się, wstał i postąpił kil-

ka kroków, pilnie wpatrując się w twarz moję i szukając przypomnieć sobie, gdzie i kiedy widział tę fizyognomiją nie zupełnie nieznaną. Dla mnie, który wiedziałem że do niego przychodzę, łatwo było poznać go: włosy jego na w pół zbielały, twarz niegdyś różowa i gładka, już w części była zmarszczoną, trochę był schylony, a wesoły i uśmiechający się dawniej wyraz twarzy, zmienił się na poważny, melancholiczny i jakby zamyślony. Widząc tę zmianę i wiedząc przez jakie ciężkie przeszedł moralne boleści, serce mi się ścisnęło, zapragnąłem usunąć z myśli przykre wrażenie jakiego doznałem, i co tchu dałem się poznać, ażeby przyjść do rozmowy; przyjął mię tak jakem sobie życzył, z uśmiechem zadowolenia i przyjaźni; tą razą jednak po odnowionej znajomości, prędko dosyć oddaliłem się z intencyą i zaproszeniem częstego odwiedzania. Bywałem więc dosyć często, i w tych moich odwiedzinach uważałem, że ledwo nie zawsze zastałem go nad temi samemi sexternami. Długom się wahał, ale nakoniec kiedy dobrze odnowione nasze dawne stosunki pozwoliły

mi trochę niedyskrecyi, zapytałem: jakie to pismo tak często przeziera? — Jest to — odpowiedział mi — pismo niemające żadnej wartości dla kogo oprócz mnie, dla którego jest nieocenione. Są to wspomnienia rozmaitych epok życia mojego, wypadki są prawdziwe, osoby żyją lub żyły, lubo pod innemi nazwiskami; jedyna wolność którą sobie pozwoliłem, było zgrupowanie tych wspomnień i utworzenie z nich obrazów, które może dla mnie samego mają sens i cel pożyteczny. My biedni wygnańcy — dodał — jeżeli niechcemy mięszać się do zajadłych politycznych partyi, które i do naszej gromadki wcisnęły się, jak gdybyśmy byli istniejącym narodem; jeźli niemamy chęci, lub co częściej bywa sposobu używania kosztownych tutejszych dystrakcyi, musiemy żyć wspomnieniami! I wierzaj mi, często znajdujemy w nich wielką pociechę, czasem naukę, a czasem nawet obronę od jakiego złudzenia, niezupełnie wygasłego w zwiędniałych sercach naszych. To ci się zdaje przesadzone — dodał, widząc że nie bardzo wierzę w te pociechy — a jednakże

tak jest w istocie. Człowiek niemający nic takiego coby go przywiązywało do życia, człowiek któremu nigdy dzień jutrzejszy nic innego nieprzedstawia, jak to samo pasmo chwil nudnie wlekących się, które mu dzień wczorajszy tak długim zrobiły; człowiek taki musi nie raz to tracić odwagę, to puścić się myślą w osobliwsze urojenia, to wpadać w gniew szalony przeciwko losowi i ludziom. Ja także często tych rozmaitych doświadczam uczuć; otóż przeciwko nim znajduję obronę w tem pismie. Kiedy jestem smutny i zniechęcony, kiedy serce moje bolesna napadnie melancholija, biorę jeden z pierwszych poszytów moich wspomnień; jak tylko zacznę czytać, przenoszę się do tej szczęśliwej epoki, w której wady serca nieuderzały mnie w oczy, w której patrzałem na ludzi powierzchownie i same tylko widoczne oryginalności postrzegałem. Przypominam sobie jakem się z nich śmiał serdecznie, co mi jednak nieprzeszkadzało szczerze kochać i szanować tych dobrych ludzi, którzy pomimo niektórych śmieszności lub przesad, mieli duszę szlachetną i

poczciwe serce! Zdaje mi się że znowu jestem z niemi, co raz nowe drobiazgi przychodzą mi do myśli i szukam w moim sexterniczku wzmianki o nich, lub stosownego miejsca na dodatek; tak zejdzie czasem godzina i więcej, a kiedy zamknę sexternik, wpływ jego zostaje na dłużej, czuję się weselszym i prawie młodszym. Kiedy ogarnie mnie niecierpliwość, którą brak jakiegokolwiek celu w życiu koniecznie często przyprowadza, kiedy imaginacya jakby chcąc pocieszyć serce, rozwija szalone skrzydła, puszcza się w przyszłość i tworzy jakie projekta; lub kiedy czasem oburzę się na świat postrzegłszy jaki czyn niegodny, interesowny, jaki dowód egoizmu lub złej wiary, i t. d. z czem się człowiek często spotyka, znowu w moim sexterniczku szukam i znajduję lekarstwo, czy przez porównanie z tem co już widziałem lub sam doświadczałem, czy w obrazach uciesznych, bo i wady mają swoje śmieszności, a dostrzeganie ich uwalnia nie raz od doznawania przykrych uczuć gniewu lub pogardy, któremi inaczej, prędzej czy później, poznawanie ludzi

i świata serce napełnić musi. Może też — dodał po chwili — wykrywanie tych śmieszności jest lepszem i skuteczniejszem wad karceniem, niżeli najpoważniejsze traktaty, najmoralniejsze rozprawy, najwymowniejsze kazania, bo każdy prawie woli być złym niż śmiesznym!

— Ale — przerwałem — czyż się nielękasz narobić sobie nieprzyjaciół? Czy niepowiedzą, że się z kraju swojego naśmiewasz?

— Wspomnienie — odpowiedział — o kilkudziesięciu, o kilkuset nawet niewinnych śmieszności ach, niemoże być uważanem za naśmiewanie się z kraju, bo niedowodzi bynajmniej że w tym kraju wszyscy są śmieszni, że niema w nim wielkich talentów, wielkich zdatności, które zresztą często wybornie zgadzają się z śmiesznościami; ktoby sądził przeciwnie, byłby sam najśmieszniejszym. Co się tycze nieprzyjaciół — dodał z ironicznym uśmiechem — tych narobić sobie nielękam się; moje serce długo było młodem, oddawałem komu mogłem i jakie mogłem usługi, oświadczano się i ściskano za ręce, póki mogłem być pomocnym; cieszyłem się że mam dużo

przyjaciół, i widziałem bez obawy zbliżającą się chwilę, w której przyjdzie mi puścić na los całe błogie położenie towarzyskie, całe szczęście którego używałem. Wybiła nareszcie smutna godzina! Obejrzałem się i zobaczyłem samych nieprzyjaciół, a przynajmniej obojętnych. Dziękuję Bogu że mi ten widok niewlał do serca uczuć nienawiści i zemsty — podniosłem tylko ramiona, uczułem się wyższym nad nikczemność, i ludzie w ogólności stali mi się obojętni. Lecz ponieważ muszę żyć z niemi, starałem się o zachowanie tego pierwszego wrażenia, i wolę śmiać się niż gniewać, nienawidzieć lub pogardzać. Zresztą — dodał — któż siebie pozna w obrazie który mu się niepodoba? Pozna albo znajomego i ucieszy się, albo może przyjaciela i będzie mi wdzięcznym.

Na tem skończyła się ta pierwsza rozmowa.

Później powracałem do niej kilka razy, nareszcie przyszło do przeczytania kilku miejsc urywkowych. Razu jednego, kiedy musiałem odejść ażeby stanąć w innem miejscu na umówioną godzinę, a scena którąśmy czytać za-

częli nie blizką była jeszcze końca, ośmieliłem się prosić aby mi tego sexternika pozwolił do domu, przyrzekając odnieść go nazajutrz rano. Widziałem że mu to żądanie niemiłem było, jednakże nieodmówił i wyszedłem z rękopismem.

Był natenczas w Paryżu dom Ludwików P***, dom prawdziwie polski, gdzie każdy znalazł przyjęcie gościnne, miłe i przyjacielskie. Kasztelan Ludwik P** utworzył był u siebie towarzystwo tak nazwane krotofilne; kilkanaście osób do niego należało. W pewne dni schodzili się u państwa P*** wieczorem, i z kolei każdy z członków przynosił jakieś pisemko, jakąś powiastkę, a zwykle taką, coby kraj przypominała. Był to właśnie dzień zebrania, poniosłem więc pożyczony sexterniczek i czytałem go. Przyjęty był dobrze. To mi dało ochotę spytać nazajutrz pana N.... czemu wspomnień swoich niedrukuje?

— Bo one są dla mnie tylko wspomnieniami — odpowiedział. — A nareszcie co mi po tem, ja już ani poddawać się pod sąd publiczny niechcę, ani zajmować się drukiem.

i życie moje nateraz tak spokojne ambarasem obciążyć.

— Pozwól mi tem się zająć — zawołałem.

Pomyślał trochę i rzekł: — Jak wola! może kto znajdzie tam albo naukę, albo przynajmniej wesołą chwilę; proszę tylko, aby moje imie niefigurowało.

Ucieszony tem przyzwoleniem, zaręczyłem go o mojej w tej mierze dyskrecyi, a bojąc się żeby ta dobra chwila nieprzeszła i pozwolenie niezostało cofniętem, chciałem wszystko razem ukończyć i więcej już o tem niemówić. Zapytałem więc jaki mam dać tytuł.

— Ludzie zwykle nazywają oryginałami — rzekł pan N.... — tych, co im mówią prawdę lub ich oryginalności postrzegają. To pisemko zasłuży zapewne pisarzowi na takie nazwanie, więc uprzedźmy to, i dajmy pismu tytuł: Pamiętnik Oryginała.

Otóż szanowny Czytelniku jeźliś przeczytał przedmowę, to wiesz i powody i prawo jakie miałem do wydania Pamiętnika Oryginała. Jeźli znajdziesz jaką prawdę która ci będzie niemiłą, kiwnij ręką i powiedz: to oryginał.

Jeźli dostrzeżesz w sobie jaką śmieszność umieszczoną w tem pisemku, a niebędziesz miał ochoty z niej się uleczyć, podnieś ramiona i znowu powiedz: to oryginał. Jeźli trafisz na opis charakteru szlachetnego, duszy wzniosłej, serca poczciwego, nadmij się i pomyśl sobie że ciebie chciałem odmalować; tym sposobem doczytasz może do końca, bez nadto wielkiego żalu po pieniądzach, które zapłaciłeś za książkę.

X.

I.

Miałem wtenczas lat dwadzieścia. Było to w roku pańskim... ale na co nam to wiedzieć; było to w roku pańskim NN. Ojciec wypuścił mi znaczny majątek, i wyznaczył dzień w którym miałem pojechać, aby go urzędownie objąć. Pamiętam, że ta okoliczność więcej mi smutku niźli pociechy przyniosła. Życie moje tak było spokojne, tak szczęśliwe! W domu ojca, ptasiego mleka tylko, jak mówią, brakowało. Nie wielką wprawdzie miałem pensyjkę, ale też i potrzeby moje były ograniczone. Jeszczem był żadnej niestracił illuzyi, żyłem że tak powiem sercem, a rozkosze serca lubo najprawdziwsze nie wiele kosztują; wreszcie w nagłych razach kwitek mój do kassy przyjmowano. Konie, powozy, psiarnia były na moje rozkazy i używałem ich nietroszcząc się o nic. Odjeżdżając, trzeba było wszystko opuścić, trzeba było rozstać się z osobami do których towarzystwa

przywykłem; trzeba było zerwać związki od dzieciństwa trwające, gdyż wypuszczony mi majątek był o mil trzydzieści odległy; trzeba było nareszcie wyrzec się tego słodkiego *far niente*, którego sobie u nas, tak nazwani panicze, nieodmawiają. Napróżno stary kapelmajster Różański cieszył mię, rozwodząc się nad rozkoszą zamkniętą w słowie własności. Obecne szczęście było także moją własnością i więcej czułem smutku z konieczności utracenia jej, niż pociechy z nabycia nowej! Napróżno kassyer Skoczewski ofiarował otworzyć żelazną skrzynię dla uprzyjemnienia pobytu mego w nowem miejscu — nieznałem braku pieniędzy, a przeto i ofiary jego nieceniłem. Napróżno starzy słudzy przychodzili życzyć szczęścia na nowem gospodarstwie; to, zamiast pociechy, zwiększało jeszcze mój smutek. Dziś jeszcze widzę pomarszczoną twarz kredencerza Bazylego: — Na rękach panicza nosiłem — mówił — daj Boże i Matka Najświętsza aby ci się wszystko powodziło! — Łza mu w oku błysnęła i potoczyła się po sędziwem licu; — Może już — dodał — niezobaczę pana! — Rzuciłem mu się na szyję, jakbym przeczuwał, że w samej rzeczy to ostatnie pożegnanie; a od tego czasu z trwogą prawie widziałem zbliżający się dzień odja-

zdu. Przyszedł nakoniec! Raniutko pobiegłem do grobu matki; ścisnęło mi się serce widząc tę szarą trumnę karmazynowym niegdyś aksamitem obitą, te galony poblakowane, których sam kolor przywodził na pamięć jak dawno już przestało bić to macierzyńskie serce, na którem tak szczęśliwie dzieciństwo moje spoczywało — w smutku zalałem się łzami, to mi ulgę przyniosło. Zdało mi się, że mi matka z trumny swojej błogosławi, i spokojniejszy wyszedłem z grobu. Zbliżając się do domu, szukałem pilnem okiem wszystkich, ażeby kogo z pożegnaniem nieominąć; uściskałem ojca i młodego brata, a bojąc się aby mi serce nie pękło, wskoczyłem co tchu do pojazdu i zawołałem: ruszaj! jak gdybym chciał uciekać. Pojazd ruszył, rzuciłem się w kąt budy i tak się myślom oddałem, żem niepostrzegł jakeśmy ujechali cztery mile. Pojazd nagle się zatrzymał, zapytano: — Od kudowa? — Zdieszni — odpowiedział furman; rogatka się podniosła, kocz zaturkotał po nierównym bruku — byliśmy w Żytomierzu.

— Gdzie mam zajechać? — zapytał furman.

— Wyjedź za miasto, — odpowiedziałem, bo niebyłem w stanie widzenia się ze znajomymi, z którymi niegdyś wesołe przepędza-

łem chwile, a którzy zapewne niepojęliby nawet tego ściśnienia serca, które mię trapiło. Wyjechaliśmy przeto za miasto i tam popasłszy konie, w dalszą puściliśmy się drogę. Przez mil prawie piętnaście jako tako mi się wiodło — widok ogromnych łanów okrytych zbożem różnej farby i wielkości, bujne łąki, liczne stada koni i bydła, droga wyborna, wszystko to przypominało miejsca które opuszczałem i umniejszało tęsknotę, ale za Korcem smutek mój powiększać się zaczął. Jak wjechałem w las posępny, w ktorym nic niewidać było, oprócz w górze kawałek siwego nieba, co się przebijało jakby ścieżka cynowa pomiędzy wierzchołkami odwiecznych jodeł i sosen, a w dole nieskończonej długości groblę, której podobno od potopu ręka ludzka niedotknęła, pokrytą tak zwanemi kraglakami, na których pojazd i konie w ciągłem są niebezpieczeństwie, zdało mi się żem się do innego przeniósł świata i w bolesne wpadłem zadumanie; szczęściem droga Poleska ma to do siebie, że długo dumać niepozwala: pojazd zawadził o pień, uderzyłem głową w budę i w tym momencie przestawszy dumać, zacząłem ręką nacierać guz na czole nabiegły. Bóg wie czemu to przypisać, ale od tej chwili inne myśli przyszły mi do

głowy; zacząłem się przypatrywać, znajdowałem nawet pewną przyjemność w tym widoku zdziczałej natury, i szczerze się ucieszyłem jakem postrzegł pierwszego Poleszucha w ciemnej siermiędze, z kołtunami, które mu jak frendzle na około podgolonej głowy wisiały, przemykającego przez drogę z siekierą na ramieniu; zdawało mi się widzieć dzikiego człowieka, a nowość tego widoku do reszty smutek z myśli mojej wygnała; — zacząłem siebie uważać za podróżnego co dalekie zwiedza kraje; poleciłem ludziom aby nigdzie nie mówili kto jestem i jak się nazywam, i tak okryty płaszczem tajemnicy, oddałem się cały ciekawości ciągle nowością widoków podniecanej; — w takiem usposobieniu moralnem, po dwóch dniach męczącej podróży, dowlokłem się wreszcie aż do B... pierwszej wioski mojego klucza. Stanąłem przed karczmą — arendarz Moszko wybiegł zadyszany, ukłonił się z pięćdziesiąt razy nim zrobił cztery kroki które mnie od niego przedzielały, i radził przenocować w karczmie, gdyż pod wieczór niebezpiecznie puszczać się w las dla okropnie złej drogi. Jam też niebardzo się spieszył, przytem potłuczone kości silnie za spoczynkiem przemawiały, dałem się więc namówić, wysiadłem z pojazdu i wszedłem do

karczmy. Moszko wbiegł naprzód, wypchnął bocznemi drzwiami cielę, którego ogon już tylko zobaczyłem, wyrzucił oknem kurę co się przechadzała po stole, i zagadał coś po żydowsku — widać że zawołał na żonę, gdyż w przyległym alkierzu dał się słyszeć krzyk dziecka, i zaraz potem weszła pani Moszkowa ciągnąc za rękę trzyletniego bochura, którego nos czerwony, świeżo jak się zdawało grubym fartuchem utarty, wytłómaczył mi przyczynę słyszanego dopiero krzyku. Kiedy się już te wszystkie ceremonije skończyły, zapytałem Moszka: — co tu słychać?

— Co tu ślichać — odpowiedział, — ot bida i bida!

— Cóż za bieda?

— Ah, panie, co tu gadać! w takim majątku gdzie sam pan niemieszka, to zawsze bida!

— A gdzież pan mieszka? — zapytałem, żeby lepiej jeszcze zachować moje incognito.

— Pan w Konowie, a tu Komissarz i Posessory.

— Ale przecie pan musi czasem bywać?

— Gdzietam, pan slaby a to daleko; mówią że panicz ma przyjechać.

— To powinniście się spodziewać że wam lepiej będzie jak panicz przyjedzie.

— Nu! niech zdrów będzie, albo ja wiem!

Panicz jeszcze młody, a Jegomość wi, młodość głupość, oni jego okiepią, i znów będzie po staremu.

— Któż rządzi w tej wiosce?

— At! tu Posessor — odpowiedział Moszko. i oczy mu się zaiskrzyły.

Postrzegłem że muszą się z Posessorem niecierpieć, zapytałem więc: — czy Posessor dobry jaki człowiek.

— Otfu! un dobry! — przerwał Moszko — niech Pan Bóg broni od takiego dobrego! ani chłop, ani arendarz wytrzymać niemoże; wszystko pieniędzy a pieniędzy! A zkąd wziąść?!

W miarę jak gadał coraz w większą złość wpadał, nakoniec wspomniawszy na pieniądze tak się rozpalił, że zawołał z gniewem:

— Niech go djabli wezmą! to lajdak, ten Hurecki to nieżywy!

— Jakto nieżywy!

— A tak panie, będzie temu trzy lata on umar w Pińsku, a teraz tu nas męczy!

Napróżno chciałem dowiedzieć się co to znaczy, Moszko z takim gniewem i tak niewyraźnie gadał, że ledwo piąte przez dziesiąte zrozumiałem: że było jakieś śledztwo, jakiś występek, ale niepodobna mi było zchwycić ciągu rzeczy— umyśliłem więc poznać nieżywego Posessora i odgadnąć jeźli można tę

zagadkę. Parę jeszcze miałem godzin do wieczora, poszedłem więc ku folwarkowi; — był to nie wielki domek drewniany, czysto i porządnie utrzymany — wszedłem do sieni: z jednej strony na drabinie prowadzącej do strychu zasiadły były różnofarbne kury jak w obrazie flamandzkim, z drugiej, hoża dziewka zmywała talerze w ceberku pełnym tak nazwanych pomyjów, do których (zapewne faworyt pani), mały bonoński piesek z zapłakanemi oczami, serdecznie się wdzięczył kręcąc ogonem i co moment się oblizując. Postrzegłszy mnie, począł szczekać chrapliwym głosikiem; dziewka zwróciła głowę, wyprostowała się, i z talerzem na w pół obmytym w jednym ręku, a brudną ścierką w drugim, stała wpatrując się we mnie, jakby zadziwiona mojem przyjściem.

— Czy zastaję pana Posessora? — zapytałem.

— W polu — odpowiedziała dziewka — ale jejmość jest w domu.

To mówiąc, wskazała mi talerzem drzwi do których poszedłem; klamka brzęknęła, drzwi cieniutko skrzypnęły, i znalazłem się w audyencyonalnym pokoju pani Posessorowej.

Byta to duża izba z dwoma oknami, usłana świeżem tatarskiem zielem; tuż przy

drzwiach na lewo wznosił się ogromny komin, a obok niego piec kolosalny otoczony ławą, na której siedziało kilka bab z kądziołkami; naprzeciw zaperzona dziewka biła masło, a szpak chowany przechodząc się poważnie od jednej baby do drugiej, to trzepnął przyciętemi skrzydłami, to dzióbnął w podłogę, to co zagadał chrapliwym głosem; w głębi pokoju siedziała na stołku drewnianym otyła jejmość i przędła na kołowrotku.

Jakem się pokazał we drzwiach, wrzeciona przestały się kręcić, kołowrotek stanął, tłuk masielniczki zatrzymał się w górze, a wszystkie głowy milcząc zwróciły się ku mnie; szpak tylko spojrzał mi w oczy, podskoczył niezgrabnie, wrzasnął: Jezus, Marya, Józef! i pobiegł ku jejmości.

— Czy zastaję pana Posessora? — zapytałem.

— Niema mego męża — odpowiedziała sucho jejmość przy kołowrotku siedząca — ale zaraz przyjdzie, niech pan poczeka.

To powiedziawszy, pokazała mi ręką stołek i znowu zaczęła kręcić kołowrotek. Odurzony tem przyjęciem usiadłem w milczeniu i wpatrywałem się w panią Posessorowę.

Niech sobie co chcą mówią jej nieprzyjaciele, przyznać jednak należy, że miała kilka

cali więcej w zdłuż jak w szerz; policzki którym dziwna kombinacya promieni słonecznych z miodkiem, nadała była miły kolorek toruńskiego piernika, wzniosły się poważnie z obu stron nosa, jak gdyby chciały ukryć żółty jego kolor, zdradzający w pani guścik do tabaczki; włosy okryte pierzem i tak poplątane, jak gdyby pani Posessorowa nic niewiedziała o dosyć nienowym już wynalazku grzebienia, spadały jej na ramiona; łokcie wydobywały się z rękawów, a szlafrok okryty rozmaitego rodzaju plamami, zdawał się być z florenckiej mozajki uszyty; zresztą jak Tajlerand mowy, tak pani Posessorowa na wspak użycie szlafroka pojmując — na to — musiała sobie myśleć — mamy szlafrok, aby odkryć wdzięki nasze. — Jakkolwiek bądź, postrzegła zapewne że ją uważam, bo szlafrokowi nadała pospolity kierunek, i zapięła go szpilką pod szyją. Sam niewiedziałem jak zacząć rozmowę z tą straszną jejmością; chciałem zrazu rozwodzić się nad użytecznością tatarskiego ziela na podłodze przeciw pchłom, ale jejmość nagle podrapała się w nogę, więc zamilkłem; postanowiłem wreszcie wypalić panegiryk dla szpaka, i już otwierałem usta, kiedy za drzwiami dało się słyszeć ciężkie stąpanie i wszedł pan Posessor.

Był to człowiek średniego wieku, silnie zbudowany, twarzy czerstwej, którąby mogła była uchodzić za ładną, ale ciągły mars na czole, wzrok srogi, a najwięcej potężny nos kameryzowany, znacznie ujmowały jej wdzięku. Wrzeciona zaczęły się kręcić, kołowrotek nawet ruszył, widać że były chwile w których się bano pana Posessora. Spojrzał naokoło i oczy jego zatrzymały się na mnie; popatrzył chwilę, postąpił parę kroków i zapytał:

— Kogoż mam honor witać?

— Ten pan ma do ciebie interes — odezwała się jejmość, niepojmując zapewne, ażeby można było do nich bez interesu przyjechać.

Pan Posessor spojrzał na nią widać znanem już spojrzeniem, bo jejmość zamilkła, wzniosła nieznacznie ramiona, pośliniła palce i zaczęła ciągnąć nitkę.

— Nie mam żadnego interesu — odpowiedziałem — przejeżdżam tędy, zatrzymałem się w karczmie, i przechadzając się zaszedłem pana odwiedzić, gdyż słyszałem o pańskiem wzorowem gospodarstwie.

Na te słowa twarz pana Posessora rozfałdowała się, powitał mnie uprzejmie i zaczął się wypytywać zkąd i dokąd jadę, kiedy bę-

dę wracał, jaki mam interes i t. d. Wykręcałem się jak mogłem żeby się niewygadać, i widać że mi się nie źle udało, bo pan Posessor w wyborny wpadł humor, rozpowiadał mi rozmaite gospodarskie wypadki, rozwodził się nad lenistwem i nieżyczliwością chłopów, wreszcie zaprosił mnie na wieczerzę; przyjąłem zaproszenie, lecz chciałem wprzódy się dowiedzieć, czy moi ludzie i konie mają w karczmie co potrzeba.

— Niech pan będzie spokojny — rzekł Posessor — Moszko jest łajdak, ale dostarczy wszystkiego, tylko nazajutrz porządnie pana obedrze. Ot wiesz pan co — dodał — przenocuj pan u mnie.

Tego mi było i trzeba — podziękowałem mu więc, on posłał po moje rzeczy i mrugnął na żonę, ta mrugnęła na jednę babę, baba mrugnęła na swoje towarzyszki, i tak się wszyscy dobrze zrozumieli, że w moment zostałem sam jeden z Posessorem i jejmością. Wkrótce potem dziewka którą widziałem w sieniach nakryła stół, i zasiedliśmy do wieczerzy. Gospodarz wziął flaszeczkę i zapytał:

— Czy pozwoli pan wódeczki? już ma lat dwanaście.

Wymówiłem się mocnym bólem piersi.

— A jejmość?

— Kropełkę — odpowiedziała pani Posessorowa.

Jegomość wlał do gęby ogromną porcyą wódki, zatrzymał ją w ustach, policzki mu się wypełniły, nos zniknął w połowie; po chwili połknął tak nazwany haust i kielich napełnił dla żony. Widać że żądana kropelka musiała być na dnie, bo jejmość niemogła się jej domacać, wciąż kosztowała, krzywiła się, i nareszcie doskonale wysuszony kieliszek postawiła na stole. Przyniesiono wazę; zaledwo sprzątnęliśmy zupę z tak nazwanemi francuzkiemi kluskami, o których we Francyi nikt niesłyszał, pan Posessor wstał od stołu, otworzył szafkę i przyniósł butelkę.

— Poczęstuję pana — rzekł siadając — wybornym kowieńskim miodkiem, ten na piersi niezaszkodzi.

Zaczęliśmy więc probować kowieńskiego miodku; jejmość coraz prosząc o kropelkę, zawsze ją na samem dnie znajdowała, i zaczęła być mowna. Panu Posessorowi także jak mówią oko zbielało. Ja się oszczędzałem, za co podobno nie bardzo moi gospodarze się gniewali, i koniec końcem, dowiedziałem jak się to stało, że mój gospodarz umarł a teraz trzyma posessyą.

II.

Niema historyi bez wstępu. Wprzód więc nim przyszło do opowiadania historyi pana Hureckiego, dowiedziałem się: że pod jakimś stopniem szerokości i długości geograficznej leży miasto Pińsk. Z jednej strony łączy go z Litwą step żyzny zakończony ogromnym lasem, ciągnącym się podobno aż do Mira, z drugiej opasane jest ogromnej rozciągłości bagnami, na których zamieszkane wysepki tak są odosobnione od świata, że (na odleglejszych przynajmniej) dotąd o rozbiorze Polski niewiedzą, i szczęśliwsi od nas mieszkańcy, żyją w spokojności. — Pomimo to jednak, ta strona, zwana Zarzecze, musiała mieć jakieś skryte ze światem stosunki, gdyż (zaręczał mnie pan Posessor) nietylko wciskał się tam kiedy niekiedy numerek wiadomości brukowych, ale doszły były nawet rozmaite mody, wybornie jak zwykle bywa do miejscowości zastósowane. Damy w leciutkich strojach wygorsowane, z krótkiemi rękawami pogardzały mrozem, a żaden prawdziwy elegant nie wsiadł do czółna bez szpicdruta i ostrogów. Samo miasteczko dosyć

obszerne, nieźle lubo drewnianemi domami zabudowane, ma swoje jarmarki i kontrakta, piękny pojezuicki kościół, po którym dwóch czy trzech ruskich popów tryumfalnie się przechadzają — klasztor bernardyński ma nawet i szkoły, a co większa powiatową; pomimo to wszystko, mówił pan Posessor, ciekawy podróżny nie wiele się tam dowie. Jeźli trafi na żartownisia, powiedzą mu naprzód, że jest wión (piskorz) na łańcuchu, i biada mu jeźli uwierzy! będą go wodzić przez dzień cały i wieczorem dopiero dowie się, że to koncept. Lecz jeźli trafi na sensata, to niebędzie mowy o wiónie, ale się dowie, że jest w Pińsku Rabinowicz, kupiec pierwszej giełdy, a przeto mający rangę Majora.

— A cóż to ciekawego? — przerwałem.

— Mój panie! to barometr — odpowiedział Posessor.

— Jakto barometr?

— Bywaj pan u Rabinowicza, a poznasz od razu kto w jakich jest interesach. Jeźli kto wchodząc tylko się ukłoni i powie po prostu: dzień dobry — to pewno ma kapitalik do umieszczenia na procencie. Jeźli się ukłoni pokornie i spyta pani Rabinowiczowej: jak się ma pani Majorowa — to pewnie w czasie następnych kontraktów będzie potrzebował po-

mocy; lecz jeźli który oprócz pozdrowienia pani Majorowej, nie często umywaną rączkę pocałuje, a pani Majorowa nieużyje ani tytułu, ani familijnego nazwiska, ale po prostu powie: panie Michale albo panie Macieju, co waspan sliszal? — to pewnie bankrut. Ale co jest wygodne, mówił dalej pan Posessor, to to, że nawet w czasie zjazdów nie złamie pan sobie głowy na spamiętanie nazwisk, bo prócz małych wyjątków, kogo spotkasz, to pewnie Skirmund, Orda lub Terlecki.

Mówiąc to pan Posessor uśmiechnął się, i tak był kontent z siebie, że dla utrzymania go w dobrym humorze, chciałem przedłużyć rozmowę o Pińsku.

— Jakiż tam lud? — zapytałem — jakie produkta?

— Jaki lud, jakie produkta? — odpowiedział Posessor. — Jak pierwszy raz jechałem do Pińska, jejmość pamiętasz — dodał głośniej, widząc że żona zaczyna drzemać.

— Kropelkę! moje serce — odpowiedziała pani Posessorowa, podając kieliszek.

Mąż jej uśmiechnął się, nalał miodku i mruknąwszy pod nosem: będzie pokój w domu — obrócił się do mnie.

— Jak pierwszy raz — rzekł — jechałem do Pińska, spotkałem kilka wozów naładowanych rybami; ciekawość mię wzięła i zapytałem: — zkąd ludzie?

— My nie ludzie — odpowiedział poważnie jeden z chłopów.

— A któż wy?

— My Pińczuki.

— Cóżto za rybę wieziecie?

— To nie ryba.

— A cóż to?

— To wióny.

— Otóż Pan widzisz: lud Pińczuki, produkta wióny. — I to powiedziawszy w głos się rozśmiał.

Widocznie pan Posessor był jak to po prostu nazywają, z głupia frant. Postrzegłszy że lubi sobie pożartować, i że co raz to czerpnie z buteleczki porcyą otwartości, zadawałem mu rozmaite zapytania, odpowiadał na nie to seryo, to śmiejąc się, aż nareszcie trafiłem na dobrą wenę. Nie wiem już jakim sposobem przyszło zrobić wzmiankę o dewocyi; pani Posessorowa westchnęła i mruknęła coś o pani Podstolinie. Postrzegłem, że uśmiech zniknął z ust Posessora, i co tchu zapytałem: — kto jest pani Podstolina?

— To święta pani, — odpowiedziała Posessorowa — to....

Posessor jakby lękając się wielomówstwa

żony, porwał butelkę i zapytał: — Jejmość pozwoli?

— Kropelkę moje serce, — odpowiedziała Posessorowa i zamilkła, a Posessor sam mówić zaczął.

— W Pińsku — rzekł — niedaleko bernardyńskiego kościoła, w małym drewnianym domku mieszkała na dewocyi poważna staruszka. Trudno było o jej prawdziwem dowiedzieć się nazwisku, bo, czy o niej mówiono w jakiem towarzystwie, czy radzono na zgromadzeniu bernardyńskiem, czy ją nakoniec postrzeżono, kiedy raniutko w ogromnym kornecie białym, czarną wstążką opasanym, w kaftaniku brunatnym i czarnej spódnicy, jak cień na wysokich koreczkach, z rożańcem w ręku przemykała do kościoła, wszyscy mówili: pani Podstolina — i przyznam panu, że dotąd niewiem jak się nazywała. Jakkolwiek bądź, była to pani nabożna, dnie całe pędziła w kościele, mało kogo przyjmowała; Bernardyni mieli tylko wstęp wolny i pan Prezydent L.... Że Bernardyni ciągle tam siadywali, to niedziwiło nikogo, ale częsta przytomność a szczególniej wpływ pana Prezydenta tak wielki, że w niektórych razach nawet wpływ Przeora bernardyńskiego przeważał, zadziwiał wszystkich i był nie raz przyczyną roz-

maitych domysłów. Jedni sądzili, że jest między niemi jakieś pokrewieństwo, drudzy kładli to na rachunek interesów familijnych, inni domyślali się jakiejś ważnej tajemnicy, którą pani Podstolina zażądała pogrążyć w niepamięci, a która od przodków doszła w spadku aż do pana Prezydenta; słowem jak to zwykle bywa, każdy się czegoś domyślał, a nikt o niczem niewiedział. Ja nawet, co byłem marszałkiem dworu pana Prezydenta i jego prawą ręką, nigdy nieusłyszałem ani słówka, coby mi pozwoliło domyślać się tej tajemnicy z jakiemkolwiek podobieństwem do prawdy. Dość na tem, że pani Podstolina przez oczy pana Prezydenta widziała, przez uszy jego słyszała, i że on był panem w jej domu. Pan Prezydent uchodził za bardzo obrotnego człowieka; przy małym majątku żył szumno i wystawnie, a to niecałując rączki pani Rabinowiczowej, a nawet nienazywając jej majorową; mówiono że nie bardzo był w interesach skrupulatny, że kiedy się udało oszukać kogo lub wygrać w karty, to się niewahał z dobrej pory korzystać; — ale co mnie do tego. Służyłem mu i nie chcę źle o nim mówić; zresztą może to i nieprawda. Mówiłem tedy, że pani Podstolina mieszkała w malutkim domku, ale ładnym gdyby lalka.

— A jaki ładny we środku, — przerwała pani Posessorowa — zaraz w sieniach widać było, że tam święta pani mieszka. Bo to naokoło wizerunki męki Pańskiej, w kącie kropielnica ze święconą wodą, a nad wszystkiemi drzwiami za szkłem w złoconych ramkach: „Pan Bóg na nas patrzy.“ To też i widać że Pan Bóg wejrzał na nią — co to za przepych! Wejść było do pokoju, krzesła z poręczami, kanapa czerwonym adamaszkiem obita, pod kanapą kilimek....

— Dywan — przerwał Posessor.

— Nie przerywaj jegomość! — ofuknęła pani Posessorowa — niech sobie dywan!... Łóżko zakryte adamaszkową kotarą, w głowach Pan Jezus ukrzyżowany i różaniec, w nogach wizerunek Matki Najświętszej Poczajowskiej, a pod oknem klawicymbał.

— To pani Podstolina bawiła się muzyką? — zapytałem.

— Śpiewała czasem święte pieśni, — odpowiedziała Posessorowa — a ksiądz Przeor wtorował.

— Dajżeż jejmość pokój! — zawołał Posessor — śpiewała przez nos.

— Niech sobie przez nos, ale pięknie; bo żebyś pan wiedział, bywało jak zacznie, to

tak cienko, a ksiądz Przeor sobie a tak grubo, że to powiadam panu aż duszę wyrywa.

To rzekłszy otarła oczy fartuchem, i dodała z westchnieniem:

— Onato mnie tego szpaka darowała co tak gada jak człowiek; lubiła i mego męża....

— W samej rzeczy — przerwał Posessor — często tam bywałem, naprzód bo mnie posyłał pan Prezydent, a potem, bo polubiłem tę panią taką pobożną, słodką, miłosierną. — To mówiąc otarł łzę z oka i dodał: — Śmieją się z dewotek i sprawiedliwie, kiedy ich dewocya w tem tylko, aby dzień i noc klepać pacierze; ale dewocya serca, nabożeństwo takie jak Podstoliny, niech jej Bóg da niebo! przeklęty ktoby się z niego naśmiewał.

To rzekłszy umilkł, i zdawał się walczyć z mocnem rozrzewnieniem. Nakoniec uspokoiwszy się trochę, tak dalej mówił:

— Razu jednego pan Prezydent był zamyślony, niespokojny, przechadzał się żywo po sali i tak nieuważnie, że coraz to o krzesło zaczepił, to bokiem o billard zawadził, nareszcie stanął, pomyślał trochę i rzekł:

— Pawle, dowiedz się jak się ma dzisiaj Podstolina.

Pobiegłem natychmiast (boto ja mam imię

Paweł); wchodzę do sieni, kucharka płacze, co to jest? zapytałem.

— Pani umiera! — odpowiedziała.

Co tchu poleciałem nazad. Pan Prezydent jakby przygotowany do tej wiadomości nie zmięszał się, ale porwał czapkę i wyszedł, a ja myśląc że może będę potrzebny, poszedłem za nim i w kwadrans może przyszedłem. Podstolina leżała na łóżku z oczami na w pół zamkniętemi, trzymała w jednym ręku krucyfix, drugą dotykała gromnicy, którą siedząc przy jej łóżku trzymał Przeor bernardyński, i to stęknęła, to uderzyła się w piersi, to cicho powtarzała pacierze które Przeor odmawiał. Pan Prezydent siedział oparty o stolik, ręce miał w tył założone, i widziałem w lustrze, że szukał czegoś w na pół wysuniętej szufladzie. Przeor co raz to na niego spojrzał i marszczył czoło, wreszcie Podstolina coś przemówiła, Przeor schylił się ku niej, a Prezydent żywo prawą rękę wydobył z szufladki, wsunął ją za nadrze, szufladkę plecami zamknął i także zbliżył się do Podstoliny. Chciała coś mówić do niego, ale usta się tylko ruszały, głosu niebyło słychać. Wpatrywała się więc tylko w Prezydenta, jak gdyby chcąc mu wzrokiem myśli swoje wytłómaczyć; potem dobywszy sił ostatnich mruknęła „Wiktor“

oczy w słup stanęły i już jej niebyło! Pan Prezydent wybiegł, Przeor postąpił żywo do stolika odsunął szufladkę, przewracał papiery, a nieznalazłszy widać tego czego szukał, plunął i wyszedł. W tym momencie Prezydent powrócił z urzędnikiem, znowu nieznacznie szufladkę otworzył i wsunął, jak gdyby był w nią co wrzucił. Papiery i rzeczy opieczętowali, i ja też wróciłem do domu. Parę miesięcy minęło, dziwno mi było że pan Prezydent nigdy ani słówka o Podstolinie niepowie; z boku tylko dowiedziałem się, że wniesiono do akt testament pani Podstoliny, w którym mówi: że przeszłe rozporządzenie swoje, którem wszystko bernardyńskiemu kościołowi zapisała, kassuje, że przeznacza tylko pięćset złotych na rok, aby co dzień za jej duszę msza była odmawiana, a cały swój majątek ruchomy i nieruchomy zapisuje wnukowi swojemu Wiktorowi N... a jeźli on nie żyje (bo dawno niewie co się z rodzicami jego stało), lub jeźli zejdzie bezpotomnie, wszystko ma się stać własnością pana Prezydenta L... i jego następców.

Wyjechaliśmy z Pińska na wieś, i już tam od kilku niedziel mieszkaliśmy, kiedy jedną razą krakowska buda zajechała na dziedziniec i zatrzymała się przed gankiem. Wyskoczył

z niej srokaty wyżeł, a za nim młody panicz dobrze ubrany, lat ośmnaście mający, i spotkawszy lokaja kazał zameldować panu Prezydentowi, że przyjechał Wiktor, wnuk pani Podstoliny. Byłem właśnie w pokoju pana Prezydenta, kiedy lokaj wszedł z tem doniesieniem, i zdawało mi się, że Prezydent cokolwiek się zmięszał, — ale w tym momencie przyszedł do siebie, wnuka Podstoliny przyjął z otwartemi rękami, kazał aby mieć jak największe staranie o wyżle, słowem przyjął go jak najgościnniej — powiedział mu jaki jest testament, powitał go tytułem sukcessora pani Podstoliny, i spytał od niechcenia jakie ma z sobą dowody?

— Żadnych nie mam dowodów — odpowiedział Wiktor — matka umierając kazała mi jechać do babki; miała napisać, ale od dnia do dnia odkładała, potem nagle osłabła i umarła. Ja zaś chcąc wolę matki dopełnić i spodziewając się, że mnie babka pozna, a niewiedząc nic o jej śmierci jechałem na pewno, ani myśląc o papierach.

— To nie dobrze, — odpowiedział Prezydent — ja przekonany jestem żeś pan prawdziwy Wiktor N..., ale trzeba tego prawnie dowieść, inaczej nie będę mógł panu oddać majątku nieboszczki Podstoliny.

— Jakiegoż trzeba dowodu? — zapytał Wiktor.

— Przynajmniej metryki — odpowiedział Prezydent. — Gdzie Pan się rodziłeś?

— W Krakowie.

— Niech więc Pan napisze do Krakowa, żeby Panu urzędową kopiją metryki przysłano, a tymczasem mieszkaj u mnie i uważaj dom mój za własny.

Widząc że innego nie ma sposobu, Wiktor przyjął zaprosiny, napisał do Krakowa i czekał odpowiedzi cierpliwie, bo mu na niczem u nas niezbywało. Nie tylko Prezydent wywiadywał się troskliwie o jego potrzebach, ale przemyślał jakby go zabawić. Lecz widać że już nieszczęście goniło za biednym Wiktorem. Raz poszedł na polowanie, to mu strzelbę rozerwało; raz pojechał konno, to właśnie dostał mu się koń znarowiony, który go poniósł, zrzucił i o mało niezabił; raz oczadział w swoim pokoju w nocy, i jużeśmy go mieli za umarłego; słowem co moment zdarzał mu się jaki przypadek, i pan Prezydent postanowił zawieźć go do Pińska, zapewne w nadziei że mu tam bezpieczniej będzie. Po dniach kilku pobytu w Pińsku, rzekł do mnie Prezydent:

— Zachciało się Wiktorowi zwiedzić Za-

rzecze, ale już tyle miał przypadków, że prawdziwie nieśmiem go puszczać samego; pojedź więc z nim i pilnuj jak oka w głowie, a to tem bardziej, że nieumie pływać.

Tu pan Prezydent zamilkł, i dodał po chwili: — Tak mi się przynajmniej zdaje.

Wkrótce potem Prezydent wyszedł na miasto, a ja z Wiktorem przygotowawszy się do podróży wychodziliśmy z domu, kiedy we drzwiach sługa pocztowy oddał Wiktorowi dość spory pakiet z Krakowa przybyły. Jakby przeczuciem tknięty, radziłem aby przejrzeć raczej te papiery, a podróż nazajutrz odłożyć, ale Wiktor odpowiedział, że niechce odkładać podróży. — To prawne papiery — dodał — czy je dziś, czy jutro przejrzę, wszystko jedno, a teraz jedźmy. — To mówiąc pakiet włożył za nadrze i poszliśmy na brzeg. Czółno już było przygotowane, wsiedliśmy i popłynęli.

Wtenczas właśnie rzeki były rozlały, woda okryła łąki i czółenko nasze jakby po morzu bujało.

Wiktor coś widać przeczuwając, rzucał na wszystkie strony wzrok niespokojny, lecz ani się ruszył, a wszystko dopytywał się czy woda głęboka. Jedną razą czółno zaczęło nabierać wody i osiadać. Przewoźniki rzucili

się wpław, ja tylko przy Wiktorze zostałem. Biedak tak był pomięszany, że niesłyszał co do niego mówiłem, i zamiast trzymać się czółna, przechylił się i jak ołowiany na dno poszedł. Długo pływałem po tem miejscu, kilka razy dawałem nurka, nareszcie czując że mi już siły ustają, popłynąłem do brzegu.

Prezydent przerażony dał wiedzieć policyi, rozpoczęto śledztwo, a mnie wzięto do aresztu. Ktoś podszepnął, że ja umyślnie utopiłem Wiktora na rozkaz Prezydenta.

To mówiąc Posessor, znowu łzy otarł, zdawało się jakby go dreszcz przeszedł, i po chwili milczenia dodał trzesąc głową: — tak panie, że ja umyślnie utopiłem Wiktora! Zresztą pan wiesz jak to u nas: pana Prezydenta uniewinniono, a mnie sądzono na Sybir. Szczęściem znalazłem sposobność uwiadomić Prezydenta, że mam ważną rzecz mu odkryć; przyszedł mnie odwiedzić, i zrazu zaczął z góry mnie traktować, ale zmiękł prędko. Przypomniałem mu i tego szalonego konia, o którego narowach dobrze wiedziano — i tę strzelbę rozerwaną, której nieużywano od dawna, bo miała skazę na lufie — i ten piec przepalony, który się z sieni zapalał — i czółno widocznie przedziurawione. Rzekłem nareszcie: wierzę że to wszystko przypadki, ale powiem,

że pan szukał sposobu pozbycia się sukcessora majątku Podstoliny. Wiem że się pan wykupisz, ale to będzie wiele kosztowało, lepiej więc mniejszym kosztem wyratować mnie niewinnego, a ja będę milczał.

Trafiła ta perswazya do przekonania pana Prezydenta, był jeszcze u mnie parę razy, ułożyliśmy projekt, on sypnął pieniędzmi, i jednej nocy przyniesiono trupa, ubrano go w moje suknie, położono na mojem miejscu, a mnie drzwi otworzono. Nazajutrz odraportowano, że Paweł Hurecki umarł. Pan Prezydent, niech mu Bóg da zdrowie, dał mi kilka tysięcy, przyjechałem tutaj i wziąłem tę posessyą.

— Jakże pan się nieboisz — zapytałem — aby się to wydało?

— Naprzód wiedzą — odpowiedział — żem niebogaty, potem miałem brata Antoniego, którego papiery są przy mnie, i tutaj nazywam się Antoni; wreszcie teraz już nikt mnie i niepozna, co dzień człowiek się odmienia, a do tego zrobiłem sobie znak taki, jaki miał mój brat nieboszczyk. — To mówiąc uchylił włosy nad czołem i pokazał długą bliznę. — Tego — dodał — w czasie nieszczęścia mojego niebyło.

Uważałem, że pod koniec opowiadania

Posessor zaczął się był wstrzymywać, miodek coraz utracał siłę a rozwaga wracała, wreszcie widocznie spieszył kończyć opowiadanie, którego, tak daleko się posunąwszy, nagle przerywać nie mógł. Uczułem, że korzystając z momentalnego upojenia, gwałtem jakoby wdarłem się w jego sekreta, i że powinienem go uspokoić.

— Dziękuję panu — rzekłem — za jego zaufanie; na dowód że go nienadużyję, winienem ci wzajemne zwierzenie. Jestem dziedzic tego majątku!

Na te słowa Hurecki wstał, wyprostował się, odetchnął i rzekł:

— Bogu dzięki! spokojnie spać będę.

Długo jeszcze mówił o rozmaitych rzeczach, ale już bez tej swobody z jaką był nim się dowiedział kto jestem. Nakoniec widząc że zasypiam, obudził żonę drzemiącą przy stole.

Pani Posessorowa mruknęła znowu — kropelkę! — ale napróżno. Zamiast nalania jej miodku, mąż zawołał: — Idź waspani spać — i poprowadził ją do drugiego pokoju.

Nazajutrz wszystko jakem był zalecił zostało przygotowane, alem już niepoznał tych ludzi z którymi wczoraj rozmawiałem; spieszyłem więc ze śniadaniem, pożegnałem me-

go gospodarza, i odpowiedziawszy ukłonem na głęboki dyk pani Posessorowej, odjechałem.

III.

Od trzech dni rzucany z boku na bok po groblach usłanych krąglakami, z rozkoszą postrzegłem przed sobą drogę równą i potoczystą. Las zdawał się być przynajmniej o milę odległy, spodziewałem się używać przez dobrą godzinę przyjemnej podróży, i rozparłem się w koczu pełen miłej nadziei. Lecz zamiast używania tej rozkoszy którą sobie obiecywałem, wpadłem w nieczułość zupełną, bo łagodne i równe kołysanie się pojazdu tak mnie ukołysało, żem zasnął serdecznie. Marzyły mi się rozmaite szczegóły historyi pana Hureckiego, ale jak to zwykle we śnie, bez porządku i dziwacznie poprzekręcane. Przyszło już było do katastrofy, i widziałem jak Moszko mierzył z pistoletu do Podstoliny, a szpak latał nad niemi, wrzeszcząc: Jezus, Marya, Józef! — W tem usłyszałem mocne stuknięcie, przód kocza podniósł się, a mnie jakaś niewidoma siła tak podrzuciła w górę, że byłbym pewno wypadł z pojazdu, gdybym się był

głową o budę niezatrzymał. Zbudziłem się nagle, zdało mi się że Moszko strzelił, i mimowolnie powtarzając słowa szpaka, zawołałem: Jezus, Marya, Józef! co to jest?

— To niby mostek — odpowiedział furman.

Nigdym dotąd nieuważał, że Piotr mój furman, miał przysłowie *niby*, ale w tym momencie to *niby* tak trafnie zastosowane do kilku kłód, jakby przypadkiem w to miejsce rzuconych reprezentujących mostek, tak mnie rozśmieszyło, że wjechałem wesoło do lasu, pomimo to, że wiedziałem że mię w nim czekają fatyga i nieprzyjemności. Miałem jeszcze mil cztery do R.... tak się nazywało miejsce w którem miałem mieszkać; liczyłem godziny, starałem się odgadnąć jak długiej potrzebować będę cierpliwości, i coraz to pytając czy jeszcze daleko, to patrząc na zegarek, zobaczyłem z niewymowną radością, żem już odbył pół drogi. Furman zapewniał mnie, że o ćwierć mili las się kończy, i że ztamtąd do R.... niby dobra droga. Zaledwo kończył tę pocieszającą informacyą, koło zaczepiło o korzeń wywróconej sosny, oś pękła i pojazd się wywrócił. Szczęściem nikt się nieskaleczył, bo buda zatrzymując się po gałęziach, niedozwoliła pojazdowi upaść nagle, położył się tylko powoli; wysiedliśmy nie spiesząc

się, i zaczęliśmy radzić co tu począć. Ani ja, ani mój kamerdyner, ani lokaj nieznaliśmy tej okolicy, ale furman był właśnie rodem z R.... poddaliśmy się więc pod jego decyzyą.

— Las się kończy, — rzekł Piotr — zaraz za lasem jest wieś Wola, tam koło karczmy mieszka niby kowal, i za pół godziny może być tutaj, a jeźli jest w polu, to z Woli widać folwark Olarkę, tam czy ekonom czy posessor da ludzi, i zaprowadzą niby pojazd do folwarku.

Rada była wyborna, przyjąłem ją, a czując potrzebę przejścia się, kazałem ludziom zostać przy pojeździe, sam zaś poszedłem do Woli.

W rzeczy samej, jak tylko wyszedłem z lasu, zobaczyłem obszerne łany, a w odległości ćwierć mili na lewo wioskę, a na prawo domek i stodoły czerwoną dachówką pokryte. Były to Wola i Olarka. Wierny informacyi wziąłem się na lewo i wkrótce przyszedłem do wsi. Wszedłem w szeroką ulicę, po obu bokach wznosiły się małe domki okopcone dymem, na drugiej ulicy trzy wieże ruskiej cerkwi, nizkie a pękate, wznosiły się trochę nad dachy. Przypomniałem sobie, że zwykle przy cerkwi bywa karczma, przy karczmie miał mieszkać kowal, szedłem więc prosto.

Ale od wejścia do wsi ogarnęła mię była jakaś tęsknota — wieś miała minę pustki. Gdzie niegdzie wprawdzie pokazało się prawie nagie dziecko, czasem baba przesunęła się jak cień jaki przez szeroką ulicę, to kogut wyrzuciwszy za siebie parę garstek piasku, zapiał tryumfalnie, lub kaczka kwacząc i przewalając się poważnie z nogi na nogę przechodziła od jednej do drugiej kałuży — ale to były jedyne oznaki życia w tem miejscu. Szczęściem przypomniałem sobie przewidzenie Piotra i domyśliłem się, że wszyscy muszą być w polu. Tą myślą imaginacya moja ożywiona, w jednej chwili zaludniła wioskę, i zacząłem weselej na około siebie spoglądać.

Pewien już byłem że niezastanę kowala, i uszedłszy z pięćdziesiąt kroków, zobaczyłem kuźnią zamkniętą; żeby jednak nie mieć sobie nic do wyrzucenia, przyszedłem aż do chaty. Stukałem we drzwi, nikt się nieodezwał, zwróciłem się przeto na ścieżkę, która wężykiem kręcąc się po polu, prowadziła do folwarku. Zaledwom wyszedł z wioski, zobaczyłem na polu malutki domek, świeżo pobielony. Stał nadedrogą bez ogrodzenia, ale nad dachem wznosił się komin, nadedrzwiami daszek na dwóch słupkach oparty, pod

nim dwie ławki, okna firankami zasłonięte — wszystko to było niezaprzeczonym dowodem, że tam nie chłop mieszka. Zbliżyłem się do drzwi i już miałem zastukać, kiedy uderzony zostałem odgłosem muzyki. Nadstawiłem ucha: naprzód dało się słyszeć brząkanie angielskiej gitary, a po chwili przyłączył się do niego głosik cienki, nieuczony, ale młody i świeży:

Już księżyc zeszedł psy się uśpiły,
I coś tam klaszcze za borem,
Pewnie to będzie mój Filon miły,
Pod umówionym jaworem.

Zatrzymałem oddech żeby nie stracić ani słowa piosneczki, i sam niewiem dla czego, byłem prawie rozczulony, kiedy usłyszałem głośne westchnienie i po niem okrzyk: — Prekrasno! — Odskoczyłem jakby oparzony i chciałem odejść, ale nieostróżnie zawadziłem nogą o ceber na ganku stojący, piesek w sieniach zaczął szczekać, firankę w jednem oknie podniesiono, i pokazała się ładna rumiana twarzyczka. Postrzeżony niemogłem się cofnąć, otworzyłem przeto sień i wszedłem do pokoju. Był to czysty salonik: przy jednej ścianie stało wąziutkie łóżko przykryte kapą złożoną z małych kawałeczków rozmaitych perkalików; obok niebieska kanapa, po-

dłoga piaskiem wysypana, na oknach wazony z geranijami, lewkoniją, w kącie przy drzwiach ogromny krzak rozmarynu. Przed kanapą stał mały stolik, na którym biały kołnierzyk muślinowy na w pół wyhaftowany z igłą świeżo zawleczoną, papier szpilek i naparstek — widać że dopiero pracowano przy tym stoliku. Młoda panienka, ta właśnie którąm był w oknie widział, lat ze szesnaście mająca, w ciemnym perkalikowym szlafroczku, postąpiła ku mnie i zapytała kto jestem. a młody jakiś człowiek w ciemno-zielonym mundurze z pąsowym kołnierzem, rozwalony na kanapie, spojrzał na mnie z góry, i zaczął bębnić palcami po stole i stukać nogą w podłogę, jak gdybym był zupełnie uwagi jego nie godzien.

— Jestem podróżny — odpowiedziałem panience — o pół mili ztąd złamała mi się oś u pojazdu, napróżno we wsi szukałem pomocy, szedłem więc do folwarku, a zobaczywszy ten domek, zaszedłem spytać, gdzie się mam udać.

— Szkoda — odpowiedziała panienka — że pan tatki w domu niezastał, poszedł do państwa Piniewskich, niech i pan tam pójdzie.

— Któż są ci państwo i gdzie mieszkają?

— Trzymają tu posessyą — odpowiedziała

panienka — a mieszkają w tym domku z czerwonym dachem.

Podziękowałem za informacyą i prosiłem żeby mi ładna gosposia pozwoliła moment odpocząć.

— Bardzo proszę — odpowiedziała uprzejmie, pokazała ręką kanapę, sama siadła przy stoliku i zaczęła haftować.

Przez cały ten czas młody człowiek w ciemno-zielonym mundurze, zdawał się ani widzieć że ktoś wszedł do pokoju, ale zobaczywszy że bez ceremonji siadam obok niego, spojrzał na mnie groźno jakby miał o paszport zapytać i rzekł:

— Wy zdalecza?

— Z daleka — odpowiedziałem zimno i odwróciłem się do gospodyni. — Ojciec pani — zapytałem — dawno tu mieszka?

— Bardzo dawno — odpowiedziała panienka — mamy ten domek z ogródkiem w dożywociu od nieboszczyka Stolnika, ale teraz powiadają że ma przyjechać młody panicz, to Bóg wie co się stanie, bo nic niemamy na pismie.

Ten Stolnik był to mój stryj, przeszły dziedzic R .., niemając najmniejszej intencyi odbierania dożywocia, odpowiedziałem:

— Trudno sądzić aby synowiec nie szanował przyrzeczenia stryja; ojciec pani może być zupełnie spokojny.

— Kahdab i żełał zdiełat wam kakoje nieudowolstwie — odezwał się młody człowiek — to znajdietsia średztwo.

— Panie Kacki! — zawołała panienka widocznie niekontenta z tej groźby. Lecz pan Kacki niezważając na to, obrócił się do mnie i zapytał:

— Wam znakom mołodoj Graf?

— Nierozumiem odpowiedziałem.

Pan Kacki zaczerwieniał się i powtórzył:

— Czy pan zna młodego Grafa?

— Znam.

— Niechże mu pan powie, że mu nie życzę zaprzeczać dożywocia mojemu przyszłemu teściowi.

— Niepodejmuję się komissu.

— Dla czego?

— Bo gotów odpowiedzieć, żebyś się pan nie mięszał w to, co do pana nienależy.

To mówiąc uśmiechnąłem się mimowolnie. Pan Kacki postrzegł widać że z niego żartuję, bo wstał nagle i wyszedł.

— Któż to jest? — zapytałem panienki.

— Asessor naszej uczastki — odpowiedziała.

— Czy pani masz iść za niego?

Na to panienka w głos się rozśmiała. — Ja iść za niego — rzekła — o! niechże Bóg broni!

W tem drzwi się otworzyły, wszedł Asesor, a za nim człowiek wysokiego wzrostu, siwy ale czerstwy i rumiany. Panienka postrzegłszy go, pobiegła naprzeciw niemu, pocałowała go w rękę, i rzekła pokazując na mnie:

— Tatku! temu panu pojazd się złamał w lesie.

Tatko spojrzał na mnie, widać że pamięć jego coś sobie przypomniała, bo pilnie się we mnie wpatrywał, nareszcie zawołał z radością:

— Niech Bóg będzie pochwalony, że już pan do nas przyjechał! Pan niepoznajesz starego Daszkiewicza?

— Nazwisko pamiętam— odpowiedziałem.

— Bo teżto już i dawno temu jak mnie pan widział; to bywało jak z nieboszczykiem Stolnikiem przyjedziem do Korowa, co to pan dokazywał! Zaraz, Daszkiewicz daj laskę! i dalej harcować jak na koniu.

Poczciwy starzec co raz to łzy obcierał, i tak mnie rozczulił, że mu się rzuciłem na szyję i serdecznie go uściskałem.

— Róziu! — zawołał Daszkiewicz.

Ładna panienka zbliżyła się.

— Prezentuję panu moję dziewkę, ale może pan pozwoli sobie czem służyć? Są pierogi i dobra śmietana.

Przyjąłem zaprosiny, Daszkiewicz zawołał:

— Żywo dziewczyno!

Rózia wybiegła, ja się obejrzałem, Asesora już niebyło; posłyszałem tylko dzwonki oddalającego się wózka.

Przy śniadaniu chciałem nieznacznie rozpytać się co się dzieje w majątku, ale napróżno. Stary Daszkiewicz co moment opowiadał mi figle mojego dzieciństwa i niepodobna było zwrócić go na inną stronę. Chciałem powrócić do zaczętej rozmowy z Rózią, ale biedaczka stracila była całą śmiałość, i na wszystkie moje zapytania ogromne piekąc raki, zaledwo jednem słowem odpowiadała. Zaraz więc wstawszy od stołu, oświadczyłem że pójdę do folwarku. Daszkiewicz chciał iść ze mną, ale ja żądałem jeszcze zachować moje incognito, krosiłem go zatem, aby raczej poszedł do wsi i zobaczył czy nie będzie można znaleźć kilku ludzi i posłać ich do mego pojazdu. Tak zapewniwszy się że nie będę poznanym, pożegnałem piękną Rózię i poszedłem do folwarku. Uszedłem był pół drogi, kiedym spostrzegł nie źle ubranego człowieka, dybiącego przez pole na wysokich nóżkach;

zawiesista kurta wisiała na nim jakby na szaragach; cholewy od bótów ogromnemi kutasami opatrzone, kiwały się ciągle próżno szukając łytek, a kaszkiecik lakierowany z ogromnym kozyrkiem błyszczał mu na głowie.

Zwróciłem ku tej gwiaździe. Pan Piniewski (gdyż to był ten jegomość), postrzegłszy mnie szedł także ku mnie, spotkaliśmy się przeto w momencie. Opowiedziałem mu mój przypadek, z miłą uprzejmością obiecał pomoc i poszliśmy ku folwarkowi. Zaledwieśmy uszli kilka kroków, pan Piniewski zatrzymał się:

— Piękny kraj — rzekł — patrz pan — dodał — te łany ogromne, to wszystko nieboszczyk Stolnik powydobywał, to też rodzą jak ogród. Nie dawno na tem samem miejscu dziki strzelano; bo teżto wielki był gospodarz. Ja go nieznałem, ale to co krok widać! Tak, wielki był gospodarz, i nie tylko gospodarz, ale pewien jestem, że był nawet i farmazon.

— Farmazon? — zawołałem — po czemże to pan poznaje?

— Po czem! — odpowiedział pan Piniewski — po wszystkiem. Ot! niech pan patrzy — dodał, pokazując ręką na trzy brzozy w trójkąt rosnące na łanie — a co! nie farmazon! A te stodoły także zabudowane w trójkąt! a tam!...

Spojrzałem w tę stronę i zobaczyłem gmach dosyć duży, odległy o paręset kroków od zabudowań folwarcznych.

— To gorzelnia — rzekł pan Piniewski — niech tylko pan uważa. Z gorzelni do folwarku jedna droga, z folwarku do Woli druga, a z Woli znowu do gorzelni trzecia, a to tak zrobione, że łan cały w trójkąt; — niemamże racyi że był farmazon?

— Trudno wątpić po tak jasnych dowodach, — odpowiedziałem mimowolnie się uśmiechnąwszy, i podeszliśmy znowu trochę aż pod gorzelnię.

— Widzisz pan ten stawek, — rzekł pan Piniewski pokazując na prawo — jaki mały! a jednak wystarcza do tak wielkiej gorzelni! Bo tak pokrzyżowano kanały, że woda jak wyjdzie, to idzie do Rudki, z tamtąd ku B..., z B... do Woli przez ten lasek, i znowu do stawku, tym sposobem pan widzisz, że to wszystko taż sama woda się kręci.

Patrzałem mu w oczy myśląc czy nie waryat, lecz on widać zadumienie moje wziął za dowód, iż dziwię się jego hydraulicznym wiadomościom, bo wciąż prawił. Szliśmy noga za nogą, nieuważnie zboczyłem ze ścieżki i takem się uderzył kolanem o kamień, że aż przysiadłem.

— A co nie farmazon! — zawołał pan Piniewski — niech pan uważa, trzy kamienie w trójkąt!

— Prawda, prawda, — odpowiedziałem nacierając kolano — ale idźmy bo mocno się stłukłem i radbym odpocząć.

— Służę panu — rzekł pan Piniewski; podeszliśmy kilka kroków i znowu stanął. — Widzisz pan te tyczki, — rzekł pokazując ku lasowi — niech pan zgadnie co to jest?

— Niewiem.

— To znaki! Nowy dziedzic ma przyjechać, kazałem pilnować jak tylko wytknie z lasu, tam już chłop czeka, pobieży i powywraca te tyczki; wtenczas ja wyjdę i przyjmę nowego dziedzica.

— Ale — odpowiedziałem — jeźli dziedzic będzie jechać a chłop iść piechotą, to prędzej przyjdzie nim się tyczki powywracają.

— Oho, nic z tego nie będzie! Chłop nastraszy że prosto przyjechać niemożna, a nim się dziedzic dostanie do Woli, i cały farmazoński trójkąt swojego stryja przejedzie, to chłop trzy razy pierwej przyjdzie do folwarku

— Na cóż tyczki w takim razie?

— U mnie tak po wojskowemu, jak dam znak, to i stało się.

Trudno go było przegadać, zamilkłem więc

i znowu podeszliśmy kilka kroków; co moment zatrzymując się dla ciągłej gawędy pana Piniewskiego, szliśmy tak powoli, że więcej godziny minęło nimeśmy się zbliżyli do folwarku. Bóg wie jak długoby to jeszcze trwało, gdyż pan Piniewski rozpoczął był opowiadanie swojego systematu gospodarskiego, ale przypomniałem mu mój pojazd:

— Ah prawda! — odpowiedział — idźmy więc prędko.

W samej rzeczy uszliśmy bez przerwy kroków ze dwadzieścia, w tem pan Piniewski zatrzymał się, i rzekł pokazując na las:

— Ot pański pojazd!

Spojrzałem w tę stronę i zobaczyłem mój pojazd otoczony chłopami, a na ich czele Daszkiewicza.

— Niech więc pan będzie spokojny, — dodał pan Piniewski — idźmy do folwarku. Ja — rzekł wracając do dawnej rozmowy o systemacie swoim gospodarskim — nie lubię kar cielesnych, a chłopi więcej się mnie boją, jak tych co ich biją. Ot, widzisz pan — dodał pokazując ze dwudziestu ludzi leżących na dziedzińcu — co pan myśli że oni tam robią?

— A cóż, — odpowiedziałem — widzę że leżą.

— Ale dla czego leżą?

— Niewiem.

— Niewyszli na pańszczyznę i za to kazałem im cały dzień nic nie robić. Zobaczy pan tak się znudzą, że wieczorem płakać będą, żeby ich puścić do domu.

Weszliśmy do sieni, widziałem po firankach w oknach zapuszczonych, że po prawej stronie jest pokój posessorski, zwróciłem więc na prawo, ale pan Piniewski pochwycił mnie za połę, i rzekł cicho;

— Pokażę panu coś ciekawego.

Poszliśmy więc na lewo. Pan Piniewski otworzył drzwi do kuchni i zobaczyłem babę z ogromnym kawałem kredy w ręku, piszącą po ścianie kółka i krzyżyki.

— A co dobrze? — odezwał się pan Piniewski — ty myślisz że ja próżnuję a ty tylko pracujesz! A też widzisz co to pisać.

— Ale panie!

— Pisz babo, kiedy nie chcesz gospodarować.

Baba ciężko westchnęła i znowu zrobiła kółko na ścianie, a to z takim żalem, że wstawiłem się za nią do pana Posessora.

— Dla pana to robię — odpowiedział, i dodał mocniejszym głosem: — podziękuj temu

panu, ale pamiętaj babo! pierwszy raz co nieodrobisz powinności, to cały dzień każę pisać.

Baba serdecznie przyrzekła poprawę i wybiegła tak ucieszona, jak gdyby ją od jakiej strasznej tortury uwolniono. Zaledwo to się skończyło, zbliżył się jeden z chłopów leżących na dziedzińcu, ukłonił się pokornie, i rzekł do pana Piniewskiego.

— Niech już pan lepiej każe nas obić i puszcza do domu.

— Macie szczęście — odpowiedział pan Piniewski— że mi Bóg dał gościa, idźcie sobie, ale pamiętajcie! pierwszy raz co który nieposłucha, to każe próżnować za pańszczyznę.

Chłop wyszedł, a tymczasem nadciągnął Daszkiewicz i powitał mnie mojem nazwiskiem.

Pan Sędzia Piniewski (bo niebyło przypadku, żeby kto w tamte strony z Kobrynia lub Pińska przybyły niebył sędzią, a pan Piniewski był z Kobrynia), pan Sędzia więc Piniewski dowiedziawszy się kto jestem, przywitał mnie mile, niepomnąc na to, że z mojej łaski cała mądra kombinacya tyczek się nieudała i zaprowadził do salonu.

Z zapytań Daszkiewicza dowiedziałem się, że jest i pani Sędzina, ale że od dni kilku Pan Bóg dał jej bliźnięta, i jeszcze niewychodzi. Pan Sędzia ciągle trzepał językiem w coraz

obszerniejsze wchodząc dowody, że mój stryj był farmazon. To ciągłe powtarzanie zaczęło mnie wreszcie nudzić, lecz stary Daszkiewicz przyszedł mi niechcący na pomoc:

— Co tam w gazetach? — zapytał.

— Tęgo biją się Greki! — odpowiedział pan Piniewski — o to u mnie naród!

Ztąd jak zaczął się rozwodzić nad pochwałami Greków i coraz więcej się zapalać, zobaczyłem, że jest w całej rozciągłości Grekomanem. Wszystko greckie było dobre i piękne.

— Dla moich dwóch synów nowonarodzonych — dodał — szukam imion greckich, ale chciałbym coś niepospolitego, — niechno mi pan poradzi.

Na to wezwanie pusta myśl przyszła mi do głowy, udałem że się namyślam jakby dla przypomnienia imion greckich, i rzekłem wreszcie poważnie:

— Jednego nazwać Kaktus, drugiego Rododendron.

— Przedziwnie! — zawołał pan Piniewski, wybiegł do drugiego pokoju, wyniósł pióro i berdyczewski kalendarz z powklejanemi białemi stronnicami. — Jak pan mówi? — zapytał.

— Kaktus i Rododendron.

Zapisał oba imiona i po chwili zawołał:

— Dziękuję panu! przedziwnie! osobliwie drugi Rododendron Piniewski!

— Coś nie bardzo ładnie — rzekł Daszkiewicz.

— Stary, stary, — odpowiedział Piniewski bijąc Daszkiewicza po ramieniu — nie znasz się! Co Kaktus albo Rododendron, to nie Paweł lub Antoni.

— Niech i tak będzie, — odpowiedział Daszkiewicz — ale co na to jejmość powie?

— Jejmość? Co to ona nieumie cenić Greków? co to ona nie Piniewska?

Dowiedziałem się później, że pan Piniewski chciał koniecznie dać te imiona synom swoim, ale pani Sędzina chociaż Piniewska, wezwała na pomoc Proboszcza i lubo z trudnością, skutecznie oparła się temu. Rad nie rad czekając na pojazd, musiałem przenocować w Olarce, i nazajutrz dopiero rano, ruszyłem wreszcie do R... po niezłej piasczystej drodze.

IV.

Godzina prawie upływała od mojego wyjazdu; powiedziano mi, że z Olarki do R... mała tylko milka; droga chociaż piasczysta

pozwoliła jechać kłusem, dziwiłem się przeto, że niewidać R... Nareszcie kiedym wyjechawszy z lasu spostrzegł ogromne łany a przy nich ani znaku mieszkań, zapytałem z niecierpliwością:

— Gdzież ta R...?

— Niby za górą panie — odpowiedział Piotr.

Spojrzałem znowu, pojazd toczył się po obszernej piaszczystej płaszczyznie, ani znaku góry.

— Gdzież ta góra? — zapytałem już prawie z gniewem.

— Przed samą R... — odpowiedział Piotr.

Tak dowiedziawszy się, że R... za górą, a góra przed R..., nie chciałem pytać o więcej; z rezygnacyą schowałem się do budy i zamknąłem oczy, w nadziei że mi się uda przespać tę chwilę niecierpliwości; ale zaledwośmy ujechali paręset kroków, Piotr ucieszony widokiem rodzinnego miejsca, zatrzymał konie i zawołał:

— Ot panie R...!

Stanąłem w pojeździe; postrzegłem że płaszczyzna przez którą przejeżdżałem, kończyła się spadem i formowała jakby brzeg dawnego jakiego jeziora. Pod nogami zobaczyłem ładne miasteczko. Obszerny rynek ozdobiony

trzema dwupiętrowemi kamienicami i kościołem, zaokrąglony był porządnemi karczmami. Wzniosłe topole przedzielały dom jeden od drugiego i uweselały widok, pomimo sterczących kominów spalonego gmachu, który jakem się dowiedział, był pałacem nieboszczyka Stolnika. Na lewo widać było ogromną murowaną budowę, którą wziąłem był za pałac, a która była tylko wejściem do ogrodu. Naprzeciw mnie, zaraz za miasteczkiem, błyszczała rzeka S... oddzielająca miasteczko od obszernej łąki zakończonej jodłowym lasem, na którego ciemno-zielonym kolorze odbijały się szare domki dwóch wiosek o pół mili od R... odległych. Zachwycony tym widokiem, przypatrywałem mu się w milczeniu, a mój koczyk czterema końmi zaprzężony i nieruchomy, tak się musiał wydawać mieszkańcom R... jak nam się wydaje wóz na bramie Tulleryjskiej. Niewiem jakby to długo było trwało, ale koń jeden szarpnął, siadłem tak ciężko, żem zobaczył tysiące iskier, i obudzony z mego zachwycenia, zawołałem: — ruszaj! — Kocz zaczął się spuszczać i wkrótce zatrzymał się przed jedną z kamienic, która zastąpiła była tymczasowie miejsce spalonego pałacu. Widać że z Olarki lub Woli dano znać o moim przyjeździe, bo zastałem dwor-

skich zgromadzonych na ganku. Jak tylko pojazd stanął, człowiek jakiś w czarnym fraku, z ogromnym czerwonym nosem i sinemi wargami przybliżył się, otworzył drzwiczki pojazdu, podał mi rękę abym się na niej oparł wysiadając, i zamruczał:

— Chwała Bogu mospanie, że JWPan przyjechał.

— Któż pan jesteś? — zapytałem.

— Jestem mospanie rządca tutejszy, nazywam się Maliński JWPanie.

Skłoniłem się panu Malińskiemu, a widząc że ludzie uformowali się we dwa rzędy, powitałem ich, i przeszedłszy ten żyjący korytarz, wszedłem do domu. Pan Maliński wprowadził mnie do obszernej sali, zawalonej że tak powiem meblami, w której bez wyboru popostawiano wszystko co ze spalonego domu uratować się dało, tak, że ten bawialny pokój mógłby był w potrzebie i za magazyn uchodzić. Po dosyć długiej rozmowie o gospodarstwie, stanie włościan i t. d. z czem zdało mi się pan Maliński tak jest obznajmiony jak i ja świeżo przybyły, zapytałem nareszcie o sąsiadów.

— Są mospanie — odpowiedział Maliński.

— Ale któż?

— A jest tu Graf Pirrel w Dębicy, Hrabia

Krycki w Widzieńcu, Starosta Kopiński w Taraszu, Marszałek Kopiński w Kaszkach, Deputat Urski w Horodle, Marszałek Lister w Stajniowie.

— Czy bardzo odlegli? — przerwałem.

— Graf Pirrel JWPanie najdalej, będzie mospanie mil siedm, ale po drodze Widzieniec, a trochę z drogi Tarasz.

— I to już wszyscy sąsiedzi?

— Wszyscy panie — jest tu prawda Sokulski, ale to mospanie nie sąsiad, tylko posessor, zaraz za lasem w Lichniówce.

— Sokulski! — zawołałem i zadzwoniłem.

Maliński wytrzeszczył na mnie oczy zadziwione — wszedł lokaj.

— Niech mi okulbaczą konia — rzekłem.

Lokaj wyszedł, a Maliński po chwili milczenia rzekł:

— Jeźli mospanie JWPan chce jechać do Lichniówki, to niema nikogo, wszyscy wczoraj pojechali na jarmark do Włodawy, i ledwo za dni dziesięć wrócą.

Zadzwoniłem więc znowu i z żalem powiedziałem, że już konia niepotrzeba. Ten Sokulski zawsze ze czcią przez ojca mego wspominany, należał był wraz z moim stryjem do towarzystwa przesyłającego pieniądze dla legijonów. Gdy się to wydało, wzięty do wię-

zienia także z moim stryjem, nie tylko że go nieskompromitował, ale nadto przyjął na siebie jakiś ważny zarzut. Tym sposobem tak sprawę mojego stryja ulepszył, że ten mógł się okupić, i zapłaciwszy sześćkroć sto tysięcy ztotych, wrócić do domu — ale biedny Sokulski posłany został na Sybir. Mój stryj wziął w opiekę jego żonę i dzieci, wypuścił im Lichniówkę, i później kiedy Sokulski w skutek ogólnej amnestyi przy wstąpieniu na tron Cesarza Alexandra powrócił, w ścisłej żył z moim stryjem przyjaźni aż do jego śmierci. Wiedziałem był tę okoliczność i ztąd taką chęć miałem pojechać co prędzej do Lichniówki, lecz gdy się to nieudało, sam niewiedziałem co począć. Gospodarstwo tak mało znałem, że nieumiałem rozróżnić żyta od pszenicy, Malińskiemu niechciałem przyznać się do mojej niewiadomości i miałem zamiar wziąść za mentora Sokulskiego. Żeby więc doczekać się jego przybycia niewydawszy się co ze mnie za gospodarz, potrzeba było wyjechać z domu — postanowiłem przeto oddać wizyty sąsiadom. Znałem dwóch synów pana Pirrela, Filipa i Ignacego, postanowiłem więc pojechać do Dębicy, ale żeby ile można korzystać z położenia geograficznego, chciałem wstąpić do Tarasza na moment, ztamtąd do

Dębicy na dłużej, a wracając zatrzymać się chwilę w Widzieńcu. Tak zaledwo parę dni odpocząwszy w R.. znowu wsiadłem do pojazdu i ruszyłem do Tarasza.

Ukołysany jednostajnem i powolnem huśtaniem się kocza, zacząłem był drzemać, kiedy Piotr zawołał:

— Niechno pan patrzy!

— Co to jest? — zapytałem nagle przebudzony.

— O! — odpowiedział Piotr, wskazując ręką na prawo.

Zwróciłem oczy w tę stronę i zobaczyłem mnóstwo ludzi w polu, a przy samej drodze stał człowiek miernego wzrostu, w szarej kurtce i płóciennych szarawarach; w jednym ręku trzymał dyscyplinę, którą groźnie i często potrząsał, a w drugim jakiś sextern, na który czasem tylko spoglądał jakby dla wspierania pamięci; widać jednak było, że to co czytał nie ściągało się do chłopów, gdyż ci zajęci swoją robotą, zdawali się nieuważać na niego. Nareszcie ukląkł, wzniósł ręce do góry i zawołał: — Elwiro! — Zdziwiony tym widokiem, kazałem jechać noga za nogą i zapytałem Piotra; — co to być może?

— Nie wiem panie, — odpowiedział — to ekonom, ale niby waryat.

Wysiadłem z powozu i zbliżyłem się do ekonoma.

— Elwiro! — wołał poglądając na sexternik — twoje okrucieństwo!... A nuże próżniaki — dodał trzesąc dyscypliną — poczekajcie!... — Potem znowu spojrzał na sextern: — Zginąłem! — zawołał, a w tem mnie spostrzegł i powstał:

— Co pan robisz? — zapytałem.

— Niech ją Pan Bóg kocha, — odpowiedział — to komedya.

— Jakto komedya?

— Pani Starościna pisze jakieś komedye, a ja muszę się uczyć.

— To więc jest teatr w Taraszu?

— A jest, bodaj z piekła niewyjrzał!

— Widać że pani Starościna postrzegła w panu talent?

— At, gdzietam panie! Wszyscy ekonomowie, kassyer, leśniczy, pisarz, gorzelany, garderobiana, to wszystko musi się tych głupstw uczyć. W kontrakcie mamy żeby grać komedye; człowiek niewie co to jest, to i podpisuje, a potem biada! Na djabła mi te komedye?

— Kiedyż będzie komedya? — zapytałem.

— A dziś w wieczór, bo to imieniny pana Starosty. O ósmej pani Starościna postroi nas

jak dziwolągi i musiemy prawić a czasem i śpiewać. Już podziękuję za miejsce, chociaż szkoda bo dobre, żeby nie te komedye!

Miałem projekt przejazdem tylko zatrzymać się w Taraszu, ale po informacyi ekonoma postanowiłem asystować fecie. Pożegnałem więc nieszczęśliwego artystę, i w godzinę potem wysiadłem przed domem JW. Starosty.

Wyszedł na przeciw mnie człowiek tak ogromny, że w przypadku mógłby ujść za olbrzyma.

— Czy są państwo w domu? — zapytałem.

— Jest moja żona — odpowiedział olbrzym cieniutkim głosikiem.

Domyśliłem się, że to był pan Starosta, prezentowałem mu się, przywitał mnie uprzejmie i wprowadził do salonu.

— To stara oficyna, — rzekł — ale moja żona ma budować pałac, więc tymczasem tu mieszka.

Salonik dosyć duży tak był zapełniony meblami, że tylko wązkie zostawiono ścieżki do lokomocyi, i trzeba było z wielką chodzić ostrożnością, ażeby czego niestłuc lub niezłamać. Oprócz rozmaitych kanap, kanapek, krzeseł, krzesełeczek, biór, szkatułek, wazoników i t. d., ściany pozawieszane były rozmaitemi pudełeczkami, siatkami, bukiecikami

i t. d. Obok salonu był malutki gabinecik, cały prawie zajęty przez tak nazwany stolik polski, to jest stół z półkami, na których poustawiane były rozmaite cacka. Zbliżyłem się do niego: na środku leżała ćwiartka papieru, na niej odmalowany pączek róży, a pod nim napis: *admirez mais ne touchez pas.* Tak ostrzeżony założyłem ręce w tył i wróciłem do salonu. Pan Starosta zaczął coś piszczeć o wybornym guście swojej żony: w tem we drzwiach gabineciku pokazała się kobieta średniego wzrostu, blada i tak cienka, że zdawało się, że powinna się złamać. Ubiór jej najnowszej mody, zdawał się przesadzać jeszcze żurnale, a jednak jakem się cokolwiek później dowiedział, był tylko doskonałem naśladowaniem, bo pani Starościna tak wiernie trzymała się żurnalów, że nie tylko krój, ale nawet gatunek i kolor sukien na figurkach żurnalowych naśladowała.

— Otóż moja żona! — zapiszczał Starosta.— Moje serce, pan Graf Adolf, nasz sąsiad.

Pani Starościna dygnęła, uśmiechnęła się mile, i siadłszy na kanapie, zaprosiła mnie żebym usiadł koło niej.

Po pierwszych zapytaniach pół po polsku, pół po francuzku robionych, powiedziała mi, że to dzień imienin jej męża, i spodziewam

się dodała: *que vous passerez la journée avec nous.* Co tchu obiecałem zostać; w tem zajechał jakiś pojazd, wkrótce potem drzwi się otworzyły, wszedł człowiek łysy, niesłychanie tłusty, stękając i przewalając się z nogi na nogę. Przystąpił do Starościny i zapytał:

— Jak się masz?

— *Tres bien mon cher*, — odpowiedziała Starościna — prezentuję panu mego szwagra Hieronima.

Pan Hieronim byłto ów marszałek Kopiński, co mieszkał w Kaszkach; siadł przy nas, sapał długo, nareszcie utarł nos i zapytał: — co tam słychać?

— Nic nie wiem, — odpowiedziałem— od dni kilku dopiero przybyłem w te strony.

— *C'est M. le Comte Adolphe* — przerwała Starościna.

— O bardzo rad jestem, że poznaję pana Grafa,— rzekł pan Hieronim — mam nadzieję, że pan i Kaszek nieminiesz.

Przyrzekłem mu moję wizytę; w tem dało się słyszeć przy drzwiach głośne gadanie.

— Gdzież ona jest? — zapytano.

— W salonie — zapiszczał Starosta, który był wyszedł w czasie rozmowy mojej z panem Hieronimem.

Drzwi się otworzyły nagle, wpadł do po-

koju człowiek także łysy, cienki, podskoczył ku Starościnie i zawołał:

— Jak się masz babo! A! i waspan tu panie Hieronimie!

— *Toujours gay* — mruknęła przez zęby Starościna i dodała: — prezentuję panu drugiego brata mego męża, pana Teodora, *Comment se porte votre Femme, viendrat-elle?*

— Djabli ją wiedzą! — odpowiedział pan Teodor — a ty babo wiele głupstw na dzisiaj przygotowałaś?

Starościna zagryzła wargi i zawołała uśmiechając się: — jaki pocieszny!

— Wiele cacek przybyło? — zapytał pan Teodor.

Starościna miała odpowiedzieć, ale usłyszeliśmy dzwonki, bryczka wpadła na dziedziniec; Starosta kogoś witał na ganku, i nareszcie wprowadził pana Asessora Kackiego. Jak wszedł do pokoju i zobaczył tyle mebli, wystrojoną gospodynię a może i mnie, którego spotkał był dosyć nieciekawie u Daszkiewicza, tak się zmięszał: że gdy Starosta zaprezentował go żonie i nam mówiąc, że to jest pan Asessor Kacki, zaczął kłaniać się na wszystkie strony i coraz szpadą to o stolik, to o mebel jaki zawadzając, sam niewiedział co z sobą zrobić. Nareszcie trącił o wazon

porcelanowy, a lubo go niestłukł, tak się samego dźwięku przestraszył, że zaczerwieniał, usiadł w kącie i już się nieruszył przez długi czas.

Coraz to jakiś powóz zajechał — wkrótce salon tak został napełniony, że trzeba było drzwi otworzyć, i część kompanji przeszła do jadalnego pokoju. Nakoniec przyjechał i Filip Pirrel — szczęśliwy byłem żem zobaczył znajomego, a przytem Filip tak zgrabnie ze wszystkiego i ze wszystkich żartował, że cała kompanija nierównie pocieszniejszą mi się wydała.

Dano wreszcie do stołu. Jako nowo przybyły podałem rękę gospodyni i siadłem obok niej, a Filip z drugiej strony. W milczeniu pierwszą i drugą zajadaliśmy potrawę, potem dopiero rzuciłem okiem na około siebie. Stół był wzdłuż zastawiony. Przez całą jego długość stały po obu bokach na przemian to talerze z cukrami, to wazony z kwiatami; na środku ogromna piramida lukrowanych biszkoktów a nad nią dwie litery J. K. to jest Ignacy Kopiński; u dołu kupidynki z naciągniętemi łukami mierzyli do cyfry, a po obu końcach stołu stały półmiski z ciastami, nad niemi także kupidynki na drutach w powietrzu utrzymywane, zdały się lecieć ku cyfrze

i miały do niej wymierzone łuki.— Filip spojrzał na mnie, uśmiechnął się i zapytał Starościny:

— Czy pani chcesz rozstrzelać pana Starostę?

— *Les Fleches de l'amour ne sont pas terribles* — odpowiedziała Starościna.

W tem pan Hieronim powstał, utarł nos, gdyż wszystkie swoje czynności od tego zaczynał, wziął w rękę ogromny kielich i zawołał donośnym głosem: — Solenizanta!

Na dziedzińcu wystrzelono z moździerza, i dała się słyszeć pod oknem dęta muzyka. Kielich przechodził z rąk do rąk, wszyscy go spełniali ochoczo, oprócz Filipa i mnie, którzy pić niemogliśmy. Po każdem spełnieniu strzelono i zagrano— nareszcie podano nową potrawę. Zaraz po niej pan Starosta podziękował; pito za zdrowie dam, gości, potem nowo przybyłego sąsiada, potem Filipa, żon nieprzytomnych i bogdanek, nakoniec wiwat: — kochajmy się!

Jeden z gości, hrabia Krycki, tak był szczerze spełniał toasty, że już mu się język plątał i Bóg wie co prawił. Ciekawy byłem na czem się to skończy — w tem powstał niejaki Władysław Miński, który, jakem się potem dowiedział, życie swoje przepędzał na jeżdżeniu

z fety na fetę, napełnił kielich i zawołał donośnym głosem:

— Zdrowie nieprzytomnego hrabiego Kryckiego!

Wszyscy się zaśmiali, każdy porwał kieliszek przed sobą stojący i razem powtórzyli w uniesieniu: — zdrowie!

Hrabia Krycki porwał był także za kieliszek, ale przysłuchawszy się lepiej siadł, i czyto do reszty rozmarzony, czy przywrócony trochę do przytomności zamilkł. Zdrowie spełniono, Miński znowu się rozśmiał, co tak obeszło hrabiego, że nalał sobie wina i bełkocąc rzekł; — Zdrowie głupiego pana Władysława! — Mimowolnie znowu wszyscy się roześmieli, pan Władysław zaczerwieniał, a tymczasem Hrabia oparł głowę na ręku i zaczął chrapać.

Wkrótce wstaliśmy od stołu, muzyka ciągle grała na dziedzińcu, zasiedliśmy po różnych kątach, wrzawa głośnej rozmowy coraz wzrastała, coraz to ktoś jakie nowe zdrowie wymyślił, palono z moździerzów, nareszcie dał się słyszeć głos pana Kopińskiego, który stał w oknie i rozmawiał z kilku osobami:

— Panie Hieronimie! — zawołał Teodor.

— A co tam? — odezwał się na drugim końcu pokoju pan Hieronim.

— Chodźno waspan tutaj!

— Ale cóż tam?

— Chodźno waspan.

Pan Hieronim wstał stękając, podniósł oburącz brzuch nie pomału obciążony i przytoczył się do okna.

— Cóż tam? — zapytał.

— Głupiś! — odpowiedział Teodor i zaczął śmiać się głośno.

Pan Hieronim nie raz już widać na ten koncept złapany, odpowiedział spokojnie: — ty sam taki — i znowu się potoczył na dawne miejsce.

Zaledwie to się skończyło, zapiszczał Starosta w drugim końcu pokoju:

— Panie Teodorze!

— Cóż tam?

— Patrzajno waspan!

Pan Teodor zbliżył się i zapytał: — cóż tam takiego?

— A o! — odpowiedział Starosta pokazując mu figę i zaśmiał się cieniutko.

Pan Teodor uderzył go po ręku i odszedł, a Starościna rzekła do mnie:

— *Quelle touchante union! comme il s'aiment!*

— *C'est frappant* — odpowiedział poważnie Filip.

W tem muzyka ucięła umówionego widać marsza, bo Starościna wstała, wzięła moję rękę i powiedziała: — *Nous allons au Theatre.*

Przeszedłszy wielki dziedziniec, weszliśmy do ogromnego gmachu, w którym były stajnie, apartament JW. Starosty i teatr. Sala nie źle oświecona, zastawiona była ławkami — kurtyna widać przez miejscowego malarza odmalowana, wystawiała cielę ze skrzydłami, które miało reprezentować Pegaza; orkiestra zasiadła na swoich miejscach i zaczęła grać coś żałobnego. Po chwili milczenia Starościna zawołała;

— *La musique! Oh! la musique!* tak porusza serce!

— Osobliwie w dzień imienin męża — przerwał pan Filip.

— *Vous etes un mechant* — odpowiedziała Starościna, uderzając go wachlarzem po ramieniu. W tem spostrzegła Asessora, który wcisnął się jak mógł najbliżej aby niestracić ani słowa komedyi.

— A pan, — rzekła — czy jesteś amator?

— Nie pani dobrodziejko, — odpowiedział zmięszany Asessor — jestem Franciszek.

— Ale Franciszek amator — rzekł poważnie Filip.

— Jestem Franciszek Salezy.

— Ale odezwał się Teodor — ona się pyta, czy lubisz muzykę? to jest, czy jesteś amator?

— O! kiedy tak, to jestem, jestem amator i wielki!

— Osioł — szepnął Filip.

Asessor zczerwieniał, ale udał że niesłyszy. Nareszcie podniesiono zasłonę, i pokazał się mój znajomy ekonom z piką w ręku.

— Elwiro! — krzyknął — Elwiro! gdzieżeś to!

— Tum jest! — odezwał się cienki głosik, i wbiegła pękata dziewka w trykotowym cielistym stroju, z sahajdakiem na plecach i łukiem w ręku — ratuj mnie Walery! — zawołała.

W tem za nią wbiegło jakieś monstrum okryte baraniemi skórami.

— Ah! Neptun! — zawołała Elwira i zemdlała.

Walery podskoczył, pchnął lancą Neptuna, Neptun się przewrócił, Elwira wstała, wzięli się pod ręce z Walerym i wyszli.

Za długo byłoby opowiadać wszystkie szczegóły tej pociesznej komedyi — Starościna napisała ją naumyślnie na imieniny Starosty. Pamiętam tylko węzeł sztuki, że żona zabiła męża. Nakoniec Elwira, która grała

rolę tej żony, zbliżyła się do kanapy na której spoczywał Walery; po długiem wahaniu się, utopiła w nim puginał, krzyknęła i zemdlała. Słudzy wpadli, porwali zabitego, ale tak nieszczęśliwie, że nogi zostały na scenie, a głowa papierowa na której zapewne trefiono warkocze Starościny, potoczyła się i spadła na parter.

— Co za illuzya! — zawołał Filip.

— *Ah! le Theatre! le Theatre!* to życie! — odpowiedziała Starościna.

Kurtyna zapadła, muzyka zaczęła huczeć i i już wstawaliśmy z ławek, kiedy Starościna zawołała:

— *Un moment Messieurs! encore le Ballet!*

Siedliśmy więc znowu, kurtyna się podniosła i wbiegło na scenę mnóstwo dziewcząt w trykotowych opiętych stroikach, z papierowemi pozłacanemi skrzydełkami. Trzymały w ręku końce gierland, i kiedy większą połowę sceny przebiegły, pokazała się pozłacana beczka, za pomocą tych gierland ciągnięta. Na niej siedział nieszczęśliwy ekonom, reprezentujący Bachusa. Na głowie miał wieniec z dębowych liści, przy ustach trzymał butelkę i czasem ruszał z niecierpliwością ramionami, czyto że butelka była dla formy, czyteż że mu się uprzykrzała rola. Jakkolwiek bądź

dojechawszy do pół sceny, odjął butelkę, wykrzywił się, zaśmiał się pijanym śmiechem i spadł z beczki. W tem wpadło kilka takich monstrów jak dawniejszy Neptun, ze złotemi kijami, powypędzali dzieci, które za sobą pociągnęły beczkę, otoczyli Bachusa, zaczęli skakać, śmiać się, pokazywać palcami, to na niego, to na nas, dotykać go kijami; nareszcie jeden uderzył go, Bachus się zerwał i pobiegł, a oni za nim.

Z drugiej strony wbiegło kilka pasterek w słomianych kapeluszach, a na ich czele ogromna dziewka z bukietem w ręku. Dygnęła nam, Asessor się jej odkłonił, Teodor mruknął: — oto głupi! — a pasterka zaczęła śpiewać wierszyki przez panią Starościnę skomponowane dla męża.

Któż mi powie
Gdzie są tacy
Małżonkowie
Jak Ignacy.

CHÓR.

Jak Ignacy,
Jak Ignacy,
Gdzie są tacy
Jak Ignacy!

Zawsze dobry, zawsze miły,
Zawsze ładny, okazały,

Kocha go też i świat cały,
Kocha żona z całej siły!

Któż mi powie, i t. d.

Chór. Jak Ignacy, i t. d.

Zawsze lepszy niźli drudzy,
Nigdy w życiu się niegniewa,
To też wszyscy chłopi, słudzy,
Wszystko sławę jego śpiewa.

Któż mi powie, i t. d.

Chór. Jak Ignacy, i t. d.

Żyj mężulku długie lata,
Przyjm życzenia czułej żony,
Dla niej do skończenia świata
Zawsze będziesz ulubiony.

Któż mi powie, i t. d.

Chór. Jak Ignacy, i t. d.

Wszyscy zaczęli klaskać w ręce, Starościna obróciła się do męża, wołając: — *Cher Ignace!* W tem pasterka rzuciła bukiet na Starostę, ale tak trafnie, że pan Ignacy porwał się za nos i zapiszczał: — Niech cię djabli wezmą!

Na tem skończyło się widowisko, Staroście podano zimnej wody i serwetę, którą do nosa przyłożył; ja podałem rękę Starościnie i wyszliśmy z sali.

Radbym był wiedzieć jeszcze co będzie się działo nazajutrz, ale Filip rano odjeżdżał do domu, a wiedząc że i ja do jego ojca

jadę, zaproponował żeby razem jechać. Zaledwo przeto moment odpoczęliśmy, pojazdy zaszły, i w parę godzin na wpół śpiący, przybyliśmy do Dębicy.

V.

Zaledwo była piąta godzina, kiedyśmy wjechali na obszerny dziedziniec piękną murawą okryty. Przed nami wznosił się na podmurowaniu stary dom drewniany z wysokim dachem, pochylony trochę na prawo, ale niegrożący blizkiem niebezpieczeństwem, bo silnie kilką grubemi belkami podparty. Po obu bokach dziedzińca długie murowane jednopiętrowe oficyny, czekały upadku starego domu i wzniesienia na jego miejsce pałacu, dla którego były postawione.

— Ja mieszkam w tym starym domu — rzekł Filip — a moi rodzice w tej oficynie na prawo.

— Boję się — przerwałem — żeby nasze pojazdy nieobudziły twoich rodziców.

— Moja matka — odpowiedział Filip — mieszka na tyle, a ojciec wstaje o trzeciej z rana, możemy nawet zaraz pójść do niego.

W samej rzeczy, jakeśmy tylko wysiedli,

poszliśmy do oficyny. Z sieni otworzywszy drzwi szklanne, weszliśmy do obszernego przedpokoju. Na lewo dwaj lokaje w długich szaraczkowych surdutach grali w maryasza kartami tak zatłuszczonemi, że raczej do jakichś szarych tabliczek, niźli do kart podobne były. Naprzeciw stał lokaj twarzą obrócony do ściany i robił sieć z grubych postronków. Była to sieć do polowania na dziki i łosie, zwana parkan.

Jakeśmy weszli, pod jedną ławką zawarczał piesek, mały jak się zdawało po głosie, lokaje wstali, Filip zapytał gdzie jest jegomość, a odebrawszy odpowiedź że w sypialnym pokoju, otworzył drzwi na prawo, i weszliśmy do małego pokoju świeżo wybielonego.

Tuż przy drzwiach na lewo stała sofa zawalona papierami, na prawo łóżko okryte cycową kotarą, a przy ścianie od dziedzińca pomiędzy dwoma oknami stało bióro, przy którem siedział pan Pirrel w szerokim białym pudermantlu i ciągnął kabałę. Słysząc że drzwi się otworzyły, obrócił głowę, a postrzegłszy nieznajomego, wstał i zbliżył się ku nam.

Był to człowiek chudy, wysoki, trochę przez wiek zgarbiony ale czerstwy — zachował był włosy, zęby i wzrok nawet, pomimo

lat ośmdziesięciu. Twarz jego znacząca, okazywała jeszcze, że musiał być jednym z pięknych ludzi swego czasu; czoło wysokie, zmarszczone nad oczami, zdradzało nałóg myślenia, niedając jednak twarzy wyrazu surowości. Pomimo to, przy pierwszem spotkaniu niemiłe sprawiał wrażenie, gdyż ledwie nie za każdym frazesem miał zwyczaj pociągnąć się za prawe ucho, podnieść brwi do góry, uśmiechnąć się i chrapnąć, co wszystko dawało mu minę drwiącą i naturalnie dla nieznajomego nieprzyjemną.

— Prezentuję jegomości — rzekł Filip — naszego nowego sąsiada, Adolfa z R...

— A to i dobrze, — odpowiedział pan Pirrel — teraz jakeśmy jegomości złapali to już, jegomość pozwoli i niepuściem.

Tu pociągnął ucho, podniósł brwi, uśmiechnął się i chrapnął. Chciałem odpowiedzieć, ale twarz jego tak mnie zadziwiła, że zamilkłem.

— Jegomość pozwoli — rzekł znowu pan Pirrel — my to oddawna z ojcem jegomości żyjemy w przyjaźni; jakże się ma? czy nieprzyjedzie kiedy do nas? Chrrr.

— Wątpię, — odpowiedziałem — ciągle jest cierpiący i zapewne wkrótce wyjedzie do Włoch.

— Jegomość pozwoli po co? W naszym wieku to i Neapol nie Włochy! Chrr.

W tem drzwi się otworzyły, wszedł człowiek średniego wzrostu, łysy, fizyognomji otwartej i że tak powiem poczciwej, a za nim lokaj wniósł tacę z kawą. Zasiedliśmy do śniadania we trzech, a nowo przybyły stał przy drzwiach, i widać było, że był oficyalistą pana Pirrela — w rzeczy samej dowiedziałem się później że był marszałkiem dworu, i nazywał się Krajczyński. Twarz jego uderzyła mię była tak, że mimowolnie po kilkakroć spojrzałem w tę stronę. Pan Pirrel postrzegł to i rzekł:

— Niech pan sobie jego weźmie, wszak on tylko pożyczony! Chrr.

— Jakto pożyczony?

— Jegomość pozwoli: nieboszczyk Stolnik wyjeżdżając za granicę zostawił jego u mnie, i niedawno, będzie temu lat trzydzieści! Chrr.

Rozmawialiśmy dość długo, to o moim ojcu i stryju, to o gospodarstwie, to o polityce, pan Pirrel zawsze miał do powiedzenia coś oryginalnego, i trudno było oderwać się od jego rozmowy.

— Jegomość pozwoli — rzekł — pan Stolnik był gospodarz, ale za nadto wielkie miał pomysły i nie zawsze dobrze wychodził, a

pan Podczaszy nie gospodarz, ale jegomość pozwoli tę ma cnotę, że jak dukat wlezie do szkatułki, to już niewylezie! Chrrr.

— Dobre to jest, — odpowiedziałem — i jabym się do tej cnoty przyzwyczaił, ale tak mało znam gospodarstwo, że trudno będzie o te dukaty.

— Jegomość pozwoli nie święci garnki lepią; kiedy zasiać i zaorać pierwszy chłop powie; kiedy przedać, żydki sami trafią z pieniędzmi; o to tylko jegomość się staraj, żeby ci zawsze z roku na rok zostało z intraty dwa złote. Chrr.

Tak gawędząc doczekaliśmy się dziesiątej; Filip wstał mówiąc, że może będę chciał na moment pójść do siebie; pożegnaliśmy pana Pirrela i poszli do starego domu, gdzie dla mnie stancyą przeznaczono.

Zaledwo miałem czas przebrać się, kiedy usłyszałem bębnienie. Myślałem że w miasteczku o parę staj od domu odległem konsystuje pułk jaki, i że koło domu wracają z musztry. Zbliżyłem się do okna, bębnienie ciągle słyszeć się dawało i coraz głośniej, a nikogo widać niebyło; nareszcie zdało mi się słyszeć hałas tuż przy mnie. Schyliłem głowę i zobaczyłem niewielkiego chłopczyka dźwigającego bęben, w który walił z całej siły, posuwając

się ku oficynie mieszkalnej. Patrzałem za nim, obszedł cały dziedziniec w koło, i wszedł do drugiej oficyny. Zaledwo zniknął, środkowe drzwi się otworzyły, dwóch lokai wyniosło na drągach jakby skrzynię blaszaną i poszli z nią prosto do mieszkania pana Pirrela. Starałem się domyśleć co to wszystko znaczy, ale naprożno; niedługo jednak zostawałem w niewiadomości, bo wszedł lokaj i oznajmił, że mnie czekają na śniadanie. Lubo dosyć zadziwiony tem śniadaniem ledwo w parę godzin po pierwszem, pośpieszyłem co tchu za lokajem i przeszedłszy przez pokój, przez który już rano przechodziłem, wszedłem do salonu.

Był to duży kwadratowy pokój, potynkowany i pobielony; na ścianach pozawieszane w złotych ramach nie liczne, lecz przepyszne sztychy. Naprzeciw wejścia ściana składała się z drzwi szklannych, prowadzących do wielkiego i dobrze utrzymanego ogrodu. Na prawo drzwi zamknięte prowadziły do jadalnej sali; na lewo był apartament pani Pirrelowej Zresztą, salon lubo mało ozdobiony, dwoma kanapkami i kilkunastą krzesłami pokrytemi czarną włosiennicą, był jasny i wesoły.

Na środku salonu stał pan Pirrel z dwoma osobami, którychem był jeszcze niewidział.

Jak tylko wszedłem, pan Pirrel postąpił ku mnie i rzekł pokazując jednego z swoich słuchaczy, nizkiego, otyłego i z zadartym trochę nosem:

— Prezentuję panu doktora Zalińskiego, niewiem czy dobry, bo jegomość pozwoli, wolę niezaczepiać. Chrrr.

Zaliński roześmiał się i odpowiedział: — no no, niech pan sobie zdrów żartuje.

— A to — dodał pan Pirrel — pan Droziński.

O ile Zaliński miał minę tego, co u nas nazywają z głupia frant, o tyle Droziński na pierwszą tylko część tej definicyi zasługiwał. Mocno otyły, oczy od ciągłego snu zapuchłe, wejrzenie jakby wole, zdradzały od razu jednego z tych próżniaków, znanych pod imieniem pieczeniarzy. Zaledwo prezentacya się skończyła, drzwi od apartamentu pani otworzyły się, wpadł do pokoju podskakując i szczekając mały mopsik z dzwoneczkiem na szyi, za nim wtoczyła się nadzwyczajnie tłusta szanowna mama jego, za nią wszedł brzydki karzeł zwany Serafin, potem pokazała się dopiero podeszła kobieta, mocno zgarbiona, urożowana; włosy pudrowane, krótkie i tapirowane formowały na jej głowie jakby czapkę. W jednym ręku trzymała mę-

zki kapelusz opasany wstążką, w drugim małą dyscyplinę, przeznaczoną do karania zuchwałości mopsów. Gorsecik opięty z czarnej kitajki, zakończony czarną spódnicą, i pas niebieski z niezmiernie szerokiej wstążki, której końce uformowawszy dwie ogromne kokardy, jednę z przodu, drugą z tyłu, spadały aż do kolan z jednej, a prawie aż do pięt z drugiej strony, składały ubior codzienny pani Pirrelowej.

Pan Pirrel wziął mnie za rękę i prezentował swej żonie.

My dawno już pana spodziewaliśmy się — rzekła grubym głosem pani Pirrelowa.

Chciałem odpowiedzieć, ale otworzyły się drzwi jadalnego pokoju, wszedł pożyczany Krajczyński i doniósł że śniadanie na stole. Podałem rękę pani Pirrelowej i weszliśmy do długiej sali. Stół wązki ale przez całą prawie długość pokoju ciągnący się, zastawiony był talerzami, a na przeciwko drzwi wisiał ogromny zegar, którego cyferblat zdawał się być utrzymywany przez dwóch złoconych aniołków. Jedenasta biła kiedyśmy weszli. Z ostatniem uderzeniem dało się słyszeć głośne syczenie, po którem kuranty z dzwoneczków zagrały coś podobnego do menueta. Spojrzałem na cyferblat i zobaczyłem nad szóstą go-

dziną napis w półkole: „Gugenmus“, pod zegarem stała owa skrzynia blaszana; Pan Pirrel postrzegł że się jej przypatruję i rzekł:

— Jegomość pozwoli, kuchnia daleko, więc kazałem zrobić tę fajerkę.

Zbliżyliśmy się i zobaczyłem blaszaną skrzynię, na dnie jej były węgle, nad węglami krata, na której stało kilka półmisków dobrze przykrytych; skrzynia ta zamykała się blaszanem wiekiem.

— Jegomość pozwoli — rzekł pan Pirrel — o dwie mile każę zanieść ciepły objad. Chrrr.

— Siedliśmy do śniadania, wszedł ekonom, pisarz prowentowy, garderobiana, i stół jakkolwiek duży obsiedli w około. Podano różne rzeczy, nakoniec pokazała się wyborna marynata ze szczupaka. Jak półmisek zbliżył się do pana Pirrela, doktor Zaliński naprzeciw siedzący zawołał:

— Niech pan graf nie je ryby!

— Jegomość pozwoli — odpowiedział pan Pirrel — wszak to moja ryba. Chrrr.

— Ale *mon kier*! — odezwała się pani Pirrelowa — kiedy pan doktor nie radzi.

— Jejmość pozwoli, niech on siebie patrzy.

To powiedziawszy wziął się do marynaty. Tak mu się ręce trzęsły, że zaledwo mógł trafić grabkami w rybę; lecz zdziwiłem się

prawdziwie, widząc że sam sobie nalewa wino, i pomimo to, że z trudnością szyjkę butelki do kieliszka przykłada, ani kropli jednak nierozlał. Dowiedziałem się później, że nawet sam się goli, i nigdy niebyło przykładu żeby się skaleczył, a na polowaniu jak strzelbę do ramienia przyłoży, to lubo ta rozmaite zygzaki w powietrzu wywija, rzadko się zdarza aby strzał był chybny.

Zaledwo wstaliśmy od śniadania, przyjechało kilka osób z Tarasza, a między niemi pan Teodor i hrabia Krycki. Teodor wpadł do pokoju z hałasem, powitał nas wszystkich głośno, zasiadł koło pani Pirrelowej i zaczął rozprawiać, a hrabia Krycki rozmawiał z panem Pirrelem. Małom się był przypatrzył Kryckiemu w Taraszu, teraz więc zwróciłem na niego uwagę. Był to człowiek średniego wzrostu, twarzy przystojnej, ale spojrzenie jego okazywało człowieka ograniczonych władz umysłu. Duża, czarna, kędzierzawa czupryna zajmowała część czoła, a ogromne bakenbardy przecinając policzki na dwie równe części, zdawały się niknąć w ustach.

Musiał postrzedz że zwróciłem na niego uwagę, bo szepnął coś do pana Pirrela, zbliżyli się do mnie, i pan Pirrel mi go zaprezentował. Hrabia Krycki mieszkał jak wiemy

w Widzieńcu, na drodze z R... do Dębicy, i był najbliższym moim sąsiadem. Powiedziałem mu przeto, że chcę oddać mu wizytę, co mile bardzo przyjął, i zaczął był robić nieosobliwsze zapytania, kiedy rozmowa nasza przerwaną została dyskussyą pana Pirrela z Teodorem.

— Jegomość pozwoli — rzekł pan Pirrel — to być niemoże. Chrrr.

— Ale zapewniam pana, że tak jest — odpowiedział Teodor.

— Jegomość pozwoli dwa przeciw jednemu, że to być niemoże. Chrr.

— Ale sam widziałem.

— Jegomość pozwoli, to cztery przeciw jednemu. Chrrr.

Zaśmieliśmy się mimowolnie, Teodor jakkolwiek effront, zmięszał się i odpowiedział: — Jak pan sobie chce — i na tem skończyła się dyskussya.

Pani Pirrelowa zaproponowała wista i zasiedliśmy do gry, po szelągu punkt. Teodor przyzwyczajony do gry drogiej, krzywił się jakby lekarstwo zażywał, proponował rozmaite zakłady, coraz zmniejszając aż do dziesięciu groszy na robra, ale napróżno. Tak minęło parę godzin — Gugenmus wybił drugą i

zabierał się do kurantów, kiedy wszedł znowu Krajczyński i doniósł, że obiad na stole.

Gdyby kto nieznajomy patrzał był na siedzących u stołu, pewnieby się niedomyślił, że już dnia tego po raz trzeci jedzą, ale gdyby zwrócił oczy na Drozińskiego, byłby się założył, że od trzech dni w tym domu objadu niedawano. Apetyt Drozińskiego wzmagał się w miarę jak następowały po sobie półmiski. Zmiatał talerze jeden po drugim niezostawując ani kruszyny, i zdawało się że ostatnią potrawę z większą jeszcze łapczywością połyka niż pierwszą — a kiedy pani Pirrelowa wstała od stołu, spojrzał na nią z takim żalem, jakby mu to śmiercią głodową groziło.

Zaraz po objedzie pan Pirrel przeprosił nas że się oddala, i poszedł się położyć. Zapytałem pani czy nie zdrów, i dowiedziałem się, że co dzień po obiedzie sypia przez cztery godziny.

Zaledwo wyszedł pan Pirrel, żona jego zaproponowała spacer. Przechadzaliśmy się po ogrodzie przez parę godzin, w tem dała się słyszeć muzyka i poszliśmy ku domowi. Między oficyną mieszkalną a starym domem, wznosił się dąb odwieczny, który niezwrócił był mojej uwagi, a pod którym teraz muzykanci ustawieni w półkole wykonywali jakąś

sonetę. Przed niemi stały pulpity z nótami, a o parę kroków naprzód, na wysokim stole stał Serafin między dwoma bębnami, w które uderzał złoconemi pałeczkami. Pani Pirrelowa zaczęła przechodzić się przed muzyką, coraz zawołała na którego muzykanta: „wolniej“ lub „prędzej“ i zdawała się być jedynie zajętą kierunkiem orkiestry. Zaledwo ostatni ton pierwszej sonaty ucichł, dało się słyszeć mocne klekotanie w powietrzu. Spojrzałem w górę i zobaczyłem na wierzchołku dębu ogromne gniazdo, a w niem stojącego na jednej nodze bociana, który klekotał dzióbem.

— To nasz stary przyjaciel — rzekła pani Pirrelowa — już lat piętnaście jak co rok przylatuje na wiosnę i gnieździ się na tym dębie.

— Ale że nieboi się muzyki, — przerwał Teodor.

Pani Pirrelowa zaczęła coś odpowiadać, lecz znowu wzięto drugą sonatę, więc zamilkła i wróciła do dyrekcyi. Tak przeszło nam znowu parę godzin, po których pokazał się pan Pirrel i wróciliśmy do domu.

Jakie było moje zadziwienie, kiedy spostrzegłem w salonie stół nakryty, a na nim kawę, herbatę i ciasta. Wszyscy prawie piliśmy tylko, jeden Droziński połknąwszy babę cukrowaną, która mogłaby była dla nas

wszystkich wystarczyć i wstydząc się zapewne sięgnąć do innych talerzy, powiedział że nielubi ciasta z kawą i prosił o kawałek chleba. Przyniesiono mu więc ogromną porcyą, po której pogodził się z ciastami, i drugi talerz wypróżnił.

— Dziwna rzecz — rzekł do mnie Filip — jak co dzień peryodycznie napada go odraza do ciast, a po chlebie gust do nich powraca.

Droziński musiał to usłyszeć, bo zaczerwienił się, wstał, oparł się o piec, zażył tabaki i podniósłszy oczy w górę, zaczął jedną ręką brzękać pieczątkami przy zegarku wiszącemi, a drugą bębnić palcami po brzuchu. Wist dopiero wyprowadził go z tego położenia.

Około ósmej dano kolacyą, a w godzinę po niej zaczęto wychodzić. I ja więc wstałem, pożegnałem państwa Pirrelów, gdyż chciałem bardzo rano nazajutrz wyjechać.

— Jegomość pozwoli — rzekł pan Pirrel — wszak R.. nieuciecze; jeszcze jegomość zabaw z nami.

— Ale zapewne — przerwała pani Pirrelowa — pan jutro niepojedziesz.

— Inną razą — odpowiedziałem — na dłużej przyjadę, a teraz muszę wracać.

Pani Pirrelowa nic nieodpowiedziała, uśmiechnęła się tylko nieznacznie, skłoniła się

lekko i wyszła. Poszedłem do siebie, przykazałem służącemu żeby mnie o czwartej obudził, a zmęczony bezsennością przeszłej nocy, serdecznie zasnąłem i nieobudziłem się aż o dziesiątej. Zadzwoniłem z gniewem, mój człowiek wszedł uśmiechając się, co mnie w gorszy jeszcze humor wprowadziło.

— Czemużeś mnie nieobudził o czwartej? — zawołałem.

— Bo pan był zmęczony, — odpowiedział lokaj — a jechać niemożna.

— Jakto niemożna?

— Wczoraj w wieczór Piotra zawołano na kolacyą, a tymczasem wszedł do wozowni Krajczyński, zdjął koło z kocza, zamknął u siebie i sam gdzieś pojechał.

Niemogłem niewidzieć w tem dowodu uprzejmości gospodarzy, i rad nierad zgodziłem się z mojem przeznaczeniem. Widać że pilnowano mego obudzenia, bo w tym momencie przyniesieno mi kawę i herbatę, a wkrótce po tem przyszedł sam pan Pirrel.

— Jegomość pozwoli — rzekł — jejmość kazała koła pozdejmować, a Krajczyński niewiem gdzie pojechał, ale przed wieczorem wróci. Chrrr.

Po dosyć krótkiej rozmowie pan Pirrel wstał i wyszedł, oświadczając że mnie czekają. Ubrałem się czemprędzej i wychodząc spotkałem na ganku Filipa, który szedł do mnie, poszliśmy więc razem do państwa Pirrelów.

Zaledwośmy ruszyli z miejsca, pokazał się we drzwiach drugiej oficyny Droziński w zatłuszczonym szlafroku, ziewnął głośno, wyciągnął się i rzekł do stojącego przy nim kucharza, z którym w ścisłej żył przyjaźni:

— Jaki dzień ładny! jak dobrze spać będzie po śniadaniu!

— Ot, na co jemu — rzekł Filip — potrzebny dzień piękny.

— Szczęśliwy człowiek! — zawołałem.

— Zobaczysz zapewne dzisiaj — odpowiedział Eilip — jeszcze szczęśliwsze istoty, niemające fatygi chodzić na obiad i śniadanie, bo go im przynoszą.

— Jak to?

— Mój ojciec ma osobliwszy gatunek świń ogromnych, tak tłuste jak Droziński, i ledwo nie tak jak on wysokie, ale przyznać potrzeba, że niemają takiego jak on apetytu.

Tak rozprawiając i śmiejąc się, zaszliśmy do państwa Pirrelów. Towarzystwo zmniejszyło się było panem Kryckim, ale za to przyszła z miasteczka modna dama, i widać dosyć lubiona od państwa Pirrelów. Pani Pir-

relowa dała mi palce do pocałowania, co było niezaprzeczonym dowodem wielkiej łaski i rzekła:

— Słyszałam, że panu Krajczyński zrobił figla?

— Bardzo mu jestem wdzięczny za tego figla — odpowiedziałem.

— Niech pan będzie spokojny, on dzisiaj wróci, a jutro już pan sobie pojedziesz. Pójdź precz kanalijo! — dodała grożąc dyscypliną mopsowi, który wdrapywał się na kanapę.

— Jak się zowie ten ładny mopsik? — zapytałem.

— Zefir — odpowiedziała pani Pirrelowa.

— Pfe! jegomość pozwoli, pfe! — zawołał pan Pirrel i uderzył chustką Zefira, który odbiegł, a tymczasem Droziński zażył tabaki, i przyznać potrzeba, że w tym razie z wielkim taktem postąpił.

Zaraz po śniadaniu pan Pirrel pokazywał mi swoje konie, psy ogromne brytany, owe sławne świnie tak wielkie jak źrebięta, słowem obeszliśmy całe gospodarstwo, które śmiejąc się i żartując pan Pirrel prowadził.

Coraz więcej rad byłem z jego znajomości, ale niewiedziałem ile był godzien uszanowania. Miał reputacyą skąpego, dla tego zapewne że mieszkał w starych meblach i niemiał

długów. Niewiedziałem czy ta reputacya jest lub nie jest zasłużona; moment rozmowy naprowadził mnie na dobrą drogę sądzenia. Powróciwszy z przeglądu gospodarstwa, weszliśmy do sypialnego pokoju pana Pirrela. Uderzyła mię w oczy mapa wyobrażająca błoto, a w środku jakby kanał. Zapytałem co to jest, i dowiedziałem się, że to jest błoto, które ciągnąc się aż do Pińska, ogromną przestrzeń kraju czyni nieużyteczną. Pan Pirrel przedsięwziął swoim kosztem wybudować w niem kanał. Niektórzy właściciele pozwolili kopać na swoich majątkach, u drugich pan Pirrel kupił to pozwolenie, lubo ono dla nich było pożyteczne więcej niż dla niego, i wtenczas kiedyśmy o tem mówili, już było więcej mili wykopanego kanału.

— Jegomość pozwoli — rzekł pan Pirrel z rozjaśnioną twarzą — z obydwóch stron na pół mili od kanału teraz ludzie koszą siano, a dawniej była trzęsawica! Chrrr.

Takie koszta dla dobra publicznego, bez żadnej innej nagrody jak przekonanie, że się robi rzecz pożyteczną, ponoszone były oddawna przez skąpego pana Pirrela.

Właśnie robiłem sobie tę uwagę, kiedy dał się słyszeć głos pocztarskiej trąbki. Wyjrzałem oknem i zobaczyłem naprzód dwóch

mopsów, potem Serafina na koniu z trąbką przy ustach. Za nim na małym koniku, siedząc po męzku, podskakiwała pani Pirrelowa i pewna była że jej koń galopuje; za nią jechał na ogromnym koniu masztalerz; — kalwakata ruszyła ku bramie.

— Jegomość pozwoli, — rzekł pan Pirrel — to moja żona pojechała na spacer.

Ta przerwa nadała myślom inny kierunek, rozmawialiśmy o rozmaitych rzeczach, nareszcie pan Pirrel zaproponował żeby pójść do salonu, gdzie zastaliśmy panią Szabińską, pana Teodora Zalińskiego i Drozińskiego grających w wista.

— Kto tak widział! — wołała pani Szabińska — ja potrzebuję kozery, a pan mi grasz kier!

— Dajże pani pokój! — odpowiedział Zaliński — zkąd wziąć było kozery?

— Co mnie do tego! trzeba było, tobyśmy byli wygrali.

Byłaby się kłótnia zapewne przedłużyła, gdyż pani Szabińska mocno była zaperzona, ale spostrzegłszy nas ucichła.

— Jejmość pozwoli, — rzekł pan Pirrel pokazując na Zalińskiego — nieumie grać. Chrrr.

— Niech Pan Bóg broni! — odpowiedziała pani Szabińska, wznosząc ramiona.

W tem znowu dała się słyszeć trąbka i pani Pirrelowa powróciła ze spaceru. Dzień ten przeszedł na jedzeniu jak i wczorajszy, z tą różnicą, że po wieczerzy pani Pirrelowa powiedziała mi, że jej mąż niemoże zasnąć inaczej jak słuchając bajek, i że najlepiej te bajki gada Serafin.

— Jegomość pozwoli, — rzekł pan Pirrel — to głupie ale śmieszne. Chrrr.

— Bardzobym rad słyszeć bajkę — odpowiedziałem.

— Jegomość pozwoli, niech przyjdzie Serafin to i powie. Chrrr.

Zawołano Serafina i pan Pirrel rzekł do niego: — Jegomość pozwoli, twoje bajki rozeszły się po świecie, jegomość — dodał pokazując na mnie — chce je słyszeć, to i powiedz. Chrrr.

Serafin czy się zmięszał mając gadać bajkę nieusypiającym, czy niechciał paradować ze swoim talentem, odpowiedział:

— Ja panie teraz nieprzypomnę.

— Jegomość pozwoli, nie bądź głupi, powiedz. Chrrr.

Widać że ta perswazya trafiła do przekonania paną Serafina, bo się już nieupierał, ale dobył chustki z kieszeni, utarł nos, poprawił kołnierzyk i zadarłszy głowę, tak zaczął:

— Była sobie w jednem miasteczku, jakby naprzykład w Dębicy, wdowa, miała ogródek i syna co woził na rynek jarzyny. Raz, wdowa umarła, syn płakał, płakał, płakał, płakał, wreszcie jeść się zachciało, a tu ani grosza. Co tu robić? Wziął nakładł jarzyny we dwa kosze, związał je sznurkiem, powiesił na kobyle i poprowadził ją do miasta. Jak idzie tak idzie, przyszedł aż przed kościół, patrzy, drzwi otwarte; tak myśli sobie: pójdęno ja się pomodlę, może Pan Bóg albo Matka Najświętsza poratuje mnie w smutku. Zostawił kobyłę i wszedł do kościoła. Długo się modlił, msza się skończyła — wychodzi, patrzy, aż kobyła na dwoje przecięta; przód pasie się po jednej stronie, a zad po drugiej.

— Jegomość pozwoli! Chrrr — zawołał ucieszony pan Pirrel.

Serafin widać przywykły do tego przerywania, dalej mówił jakby się nikt nieodezwał.

— A to panie koszyki ciężkie były i sznurek przepiłował kobyłę. Źle mospanie! Co tu robić? Wziął, uciął gałęź z osiki co rosła przed kościołem, zastrugał kołek, zbił obydwie połowy do kupy, wsiadł i pojechał. Jak jedzie tak jedzie, aż kobyła stanęła. Bije ją, bije, to piętami, to pięścią, kobyła wszystko trzepie nogami, widać chciałaby iść a niemoże.

Co to takiego? Patrzy, aż to osika wyrosła aż do nieba i tam się o coś zaczepiła.

— Jegomość pozwoli, aż do nieba wyrosła! Chrrr.

— Tak on myśli sobie: polezęno ja. Jak lezie tak lezie, wlazł aż do nieba. Patrzy, aż tam takie pałace z dyamentów, taki blask, aż strach patrzeć; tak on nazad, aż osikę widać ktoś uciął i już niema. Co tu robić? Chodzi, chodzi, chodzi, chodzi, aż czas już i podjeść, tak myśli sobie: sprobujeno ja, poproszę. Wchodzi do jednego pałacu, patrzy, kuchnia otwarta — woły, krowy, barany na rożnach, aż strach patrzeć.

Tu Droziński oblizał się.

— Kucharz w białej szlafmycy spostrzegł jego i zapytał: — Czego chcesz? — Za kuchcika panie.— Dobrze mój kochany! — Wzięli, ubrali go pięknie i kazali obracać rożen. Był tam długo, dobrze mu się działo, ale zatęsknił za domem. Myślał, myślał, co tu zrobić? nareszcie poszedł do lasu, nadarł łyka i zaczął kręcić powróz. Co dzień kręcił przez lat sześć, nareszcie myśli sobie: już dosyć długi, można spuścić się do domu. Wziął, przywiązał koniec do drzewa, przeżegnał się i zaczął się spuszczać. Spuszczał się, spuszczał, doszedł do połowy, aż niestało postronka. Co

tu robić? Wziął, urwał kawał w górze i przywiązał u dołu, i znowu zaczął się spuszczać.

— Jegomość pozwoli, urwał w górze, przywiązał w dole! Chrr.

— Tak wszystko co urwie z góry, to przywiąże z dołu i spuszcza się. Nareszcie było jeszcze od ziemi łokci z dziesięć, tak myśli sobie: już można skoczyć — puścił postronek i skoczył, aż jak raz w błoto i zagrzązł po szyję. Rusza się rusza, ani razu. Co tu robić? myśli, myśli, myśli, myśli, nareszcie dalej do wsi, pożyczył rydla, co tchu przybiegł i wykopał się.

— Jegomość pozwoli, wykopał się. Chrrr.

Długo jeszcze Serafin prawił, śmieliśmy się serdecznie, nareszcie pożegnałem państwa Pirrelów i poszedłem do siebie. Filip mnie odprowadził, a że było jeszcze nie późno, usiadł i zaczęliśmy miłą gawędkę, często przerywaną pustym śmiechem, gdyż Filip był pełen dowcipu, a feta Taraska przypomnień hojnie dostarczała. Lecz zawsze śmiać się i dowcipkować niemożna, rozmowa więc nasza przybrała później ton poważniejszy; przyszło wreszcie do mówienia o przesądach i obyczajach ludu. Filip takim interesującym sposobem rozprawiał o tem, że godziny mijały niepostrzeżone, a kiedy rzekł nareszcie: —

W twoim majątku niedawno był dość interesujący wypadek tego rodzaju — ciekawość moja tak się wzbudziła, że pomimo bardzo spóźnionej pory, prosiłem go usilnie aby mi to zdarzenie opowiedział.

— Byłoby za długo — rzekł Filip, — jutro masz opętane cztery mile do Kryckich, wolę ci przeto dać notatki, które sobie naówczas porobiłem; czytanie skróci może nudną drogę.

Z radością przyjąłem tę ofiarę, Eilip wyszedł i w moment przyniósł mi notatki, za które mu serdecznie podziękowałem; nazajutrz rano ruszyłem do Widzieńca.

Gawęda wczorajsza długo trwała, położyłem się był późno, bardzo rano wstałem, spałem przeto bardzo mało, to też jak tylko pojazd wyjechał za bramę i wtoczył się na głęboki piasek, oczy mi się zamknęły i tak mocno zasnąłem, żem się nieprzebudził jak ujechawszy już tegą milę. Pierwszy przedmiot który mnie uderzył w oczy, był rękopis Filipa, porwałem go czemprędzej i zacząłem czytać. Lecz to były tylko notatki, jak mnie Filip był uprzedził— znalazłem w nich jednak najdrobniejsze szczegóły tak porządnie zanotowane, że wszystko zostało mi w myśli, jakbym był czytał już ułożone o tym wy-

padku opowiadanie. Podaję go tak, jak mi go pamięć przedstawia.

ANNA.

1.

W głębi wołyńskiego Polesia, niedaleko obszernych bagien zalegających część znaczną powiatu pińskiego, wznosi się mała wioseczka, dziwacznie nazwana Babka. Nikt już niepomni początku ani wioski, ani jej nazwiska, lecz sądząc po widzialnych fundamentach obszernego gmachu, zdaje się że Babka nie tylko była niegdyś ludniejszą, ale służyła nawet za rezydencyą bogatemu i możnemu panu. Dzisiaj kilkanaście nędznych, okopconych domków, ciągnących się rzędem na pochyłości piasczystego pagórka, składają całą wioskę i smutny z daleka przedstawiają widok. Ale zbliżając się, oko postrzega prawdziwie malownicze piękności. Z jednej strony, pasmo piasczystych pagórków, to okrytych wzniosłemi sosnami, to użyźnionych pracą mieszkańców, przedziela wioskę od pól innych. Wprawdzie te pola z przyczyny natury gruntu

niewynagradzają dostatecznie ciężkiej pracy rolnika, lecz mają epoki zachwycającej piękności. Jak je pokryje zieloność rozmaitych cieni, upstrzona to żółtemi bukietami gorczycy, to świetną białością hreczanego kwiatu, to miłym popielatym lnu kolorem i polnych maczków purpurą, rzekłbyś ogromny dywan dziwnego rysunku, bogato ubarwiony i tem świetniejszy, że się odbija na ciemnym kolorze otaczających go lasów.

Z drugiej strony wioseczki, spławna rzeka Ster przerzynając obszerne łąki i nigdzie nieznajdując oporu, zda się wywijać podług kaprysu niezliczone tworząc zakręty; ale że z wolna zmywa podstawę pagórka na którym wznosi się Babka, w miarę jak z dołu unosi część piasku, druga część usypuje się z góry i tym sposobem brzeg w tem miejscu jest wysoki i spadzisty.

Na wiosnę, kiedy stopione śniegi podniosą nagle wody, Ster wychodzi ze swego łożyska, okrywa i użyźnia otaczające go łąki. Wtenczas blizko ćwierć mili szeroki, okryty tysiącem małych wysepek umajonych gęstemi wodnych roślin kłąbami, staje się podobnym do ogromnego dziwnej piękności ogrodu. Tysiące miejsc niezarosłych, otoczonych trzciną, która do znacznej dochodzi wysokości, two-

rzą mnóstwo zielonych altanek, przedzielonych srebrnemi ścieżkami, po których co moment jakby dla ożywienia obrazu, przesunie się to lekkie czółenko rybackie, to jaki ptak wodny z tych niezliczonych rodzajów co się zbierają w to miejsce.

W połowie Kwietnia 1827 roku, Ster doszedł był największej swej szerokości, kiedy wraz ze dniem drzwi jednej chaty w Babce skrzypnęły, i młoda dziewczyna wyszła na podwórze. Widać było że się wybrała w dość odległą podróż, bo się owinęła ciemną siermięgą, jakby dla ochronienia się od zimna dosyć ostrego jeszcze w tej porze roku. Pas czerwony otaczał jej wzniosłą i wysmukłą kibić; postoły z lipowej kory plecione, okrywały stopy i trzymały się za pomocą sznurka także plecionego z kory, który wijąc się aż do kolan, utrzymywał płótno, którem nogi jej były obwinięte. Włosy zaczesane do góry spadały na plecy i dzieliły się na dwa długie warkocze ozdobione u dołu czerwonemi wstążeczkami. Stała czas jakiś spokojnie na pozór, ale na jej twarzy malowała się osobliwsza mięszanina namiętności. Czerwone i nabrzękłe oczy zdradzały łzy świeże. Płeć to blada to mocno czerwona, dowodziła że jakieś gwałtowne uczucia miotały jej sercem, a

wzrok stosownie do myśli, które jedne po drugich przychodziły do głowy, zmieniał swój wyraz; czasem zdawało się że jakieś smutne wspomnienie nadawało mu osłupiałość rozpaczy, to znów jakby jakaś nadzieja nagle powzięta, napełniała go niewypowiedzianą słodyczą, albo gniew ożywiał go ponurym ogniem.

Po chwili wahania się, rzuciła okiem na prawo i na lewo, wprzód z ciekawością, potem niespokojnie, a niepostrzegając przedmiotu który widzieć się spodziewała, skoczyła nagle i to biegąc, to sunąc się z piaskiem, zpuściła się z wysokiego nadbrzeża i stanęła na brzegu wody. Tam zatrzymała się, popatrzyła znowu niecierpliwie, wreszcie jakby instynktem prowadzona pobiegła wzdłuż brzegu i znikła w zaroślach.

Wkrótce pokazała się na powierzchni wody stojąc w czółnie z wiosłem w ręku i zmierzając ku lasowi, który otaczał przeciwny brzeg zalewu. Po półgodzinnej żegludze wyskoczyła na brzeg, wciągnęła czółno pomiędzy trzcinę i ukryła go starannie.

Tak zapewniwszy swój powrót, rzuciła oczy na wszystkie strony dla zobaczenia czy jej kto niespostrzegł, skoczyła z całą żywo-

ścią młodego wieku i znikła w ciemnych zakrętach lasu.

Musiała albo dobrze znać już to miejsce, albo mieć bardzo dokładnie opisane szczegóły, bo żadnej nietrzymała się ścieżki. To przeskakując przez pnie wywrócone, to schylając się aż do ziemi i przesuwając się po pod nachylonemi gałęziami, pewna swej drogi, biegła bez najmniejszego wahania aż do małej polanki, na końcu której wznosiła się nędzna chateczka, otoczona płotem z żerdzi rozmaitej wielkości. Czas zniszczył już był pierwotny kolor i drzewa, z którego chałupa była zbudowaną, i trzciny, która dach jej pokrywała. Wszystko nabrało jednostajnego szarego koloru, tak, że na pierwszy rzut oka zdawało się widzieć ogromną sztukę granitu, zaledwie trochę odznaczonego na tle cokolwiek jaśniejszem drzew ogołoconych z liścia.

Ale młoda dziewczyna poznała cel swej podróży, żywa czerwoność okryła jej lica, jakaś niepewność i zgroza wydały się w ruchach, zdawało się że już ma wrócić nazad, kiedy nagle jakby jakie bolesne wspomnienie dodało hartu jej odwadze— wyprostowała się, iskra dumy błysnęła w jej oczach, ręce ścisnęły się mimowolnie, a twarz tak szczególnego nabrała wyrazu, że pomimo widocznych

znaków różnych namiętności, najbieglejszy znawca niemógłby był zgadnąć która z nich przeważała.

Nareszcie ta walka zaczęła się uspakajać, oznaki uczuć gwałtownych znikały powoli i ustąpiły miejsca wyrazowi przesądnej pobożności. Wargi się zaruszały jak gdyby mrucząc pacierze, przeżegnała się trzy razy zwyczajem chrześcijan greckiego obrządku, dotknęła czołem do ziemi, i tak poleciwszy się opiece wszystkich świętych, dość śmiało weszła do chaty. Popatrzyła naokoło jak gdyby kogo szukała, a widząc izbę próżną mruknęła coś z niecierpliwością i zdała się wahać czy ma wyjść, czy czekać, kiedy drzwi się otworzyły i kobieta lat ze sześćdziesiąt mająca pokazała się na progu.

Młoda dziewczyna nieruszyła się z miejsca, jak gdyby była na kogo innego czekała, a jednak dla widzenia tej starej kobiety przedsięwzięła była swą długą i męczącą podróż — nieruszyła się, bo oczy starej zwrócone na nią, zdawały się ją paraliżować. Po chwili stara, lubo tryumfując bez litości z przestrachu który wzbudzała, zakończyła tę niemą scenę i zapytała groźnie:

— Po coś przyszła Małgorzato?

Młoda dziewczyna napróżno usiłowała od-

powiedzieć, lecz jej nieśmiałość któraby była każdego innego ułagodziła, powiększyła tylko niecierpliwość starej.

— I cóż! niesłyszałaś? — powtórzyła — po coś przyszła?

Ta niezasłużona surowość obrażając młodą dziewczynę, zdała się podnieść jej odwagę.

— Matko! — odpowiedziała — przyszłam się ciebie poradzić.

— Poradzić się! — powtórzyła stara z gorzkim uśmiechem — cóżto, niewiesz że Praxeda przeklęta od Boga i ludzi?

— Matko! — zawołała Małgorzata — ja taka nieszczęśliwa, taka!... — i łzy długo wstrzymywane przerwały jej mowę.

— To ci się zdaje, że ja się będę twojemi głupstwami zatrudniać? Czy to ja niemam co lepszego robić!

— Nie odpychaj mię matko! — przerwała młoda dziewczyna klękając — ja wiem że każda praca powinna być nagrodzoną, i nagrodzę tobie.

Stara wpatrzyła się w twarz Małgorzaty, jak gdyby dla przekonania się czy prawdę mówi, i po chwili zapytała groźnie:

— Cóż mi przynosisz?

— Matko! — rzekła Małgorzata nieśmiało, ak gdyby w tym momencie dopiero uczuła małość ofiary. — Matko! mam tylko dwa złote, ale ty wiesz żem uboga.

— Czegóż chcesz?

— Matko! wszak ty wiesz wszystko, wiesz zatem że kocham Hrycia syna naszego sąsiada.

— I chcesz sposobu żeby ciebie kochał! i za rzecz tak drogą przynosisz mi dwa złote! Idź precz!

— Matko! — zawołała poważnym głosem Małgorzata — nie o to żeby mnie kochał prosiłam, na cóżby mi się to zdało teraz kiedy się już ożenił.

— Ożenił się? — przerwała stara, w której ciekawość przemogła nad gniewem — z kimże? kiedy?

— Wczoraj, z Anną — odpowiedzia Małgorzata.

— Córką młynarza?

— Tak jest.

Zaledwo to potwierdzenie wyszło z ust Małgorzaty, Praxeda zbladła, wyprostowała wysoką kibić zwykle pochyloną, oczy jej zdawały się wychodzić z głowy ponure ciskając błyskawice, włosy rzadkie i białe najeżyły się, a ciało konwulsyjnie się zatrzęsło.

Małgorzata przelękniona patrzała na nią milcząc i niemogąc sobie wytłómaczyć przyczyny tego gwałtownego stanu. Lecz stara

przemogła wkrótce swoje poruszenie i potrafiła przybrać łagodną prawie postać.

— Zdziwiłam się — rzekła — biedne dziecię, jak ty musiałaś cierpieć! ale uspokój się, Praxeda nieopuszcza przyjaciół w nieszczęściu.

Na tę słowa radość zabłyszczała w oczach Małgorzaty i uśmiech szczęścia okrasił jej lica. Tymczasem Praxeda zdawała się szukać sposobu przyjścia jej na pomoc. Twarz jej nabrała powagi, oparła łokieć na stole, otworzyła rękę tak, aby wielki palec mógł utrzymywać brodę, a pierwszy oprzeć się na czole, wpuściła głowę w ten gatunek węgielnicy i zamyśliła się głęboko; czasami tylko jakby mimowolnie wymawiając niezrozumiałe jakieś wyrazy.

Młoda dziewczyna bojąc się przerwać zadumienia Praxedy, wstrzymywała oddech, i przyłożyła rękę do serca, jakby dla pohamowania zbyt gwałtownego bicia. Przez kilka minut obiedwie zostawały w tem położeniu, nareszcie stara powstała, przybrała minę natchnioną, postąpiła żwawo do małego kwadratowego otworu w ścianie wydrążonego, który służył za okno, popchnęła deszczółkę zastępującą miejsce okiennicy, i zapewniwszy się tym sposobem że z tej strony niepodpatrzy jej żadne ciekawe oko, zbliżyła się do pieca,

wyjęła z kryjówki, której Małgorzata była niepostrzegła, niezgrabnie ociosaną paczkę i zaczęła w niej coś szukać. Nakoniec wyjąwszy płócienny węzełek i dając go Małgorzacie: — masz — rzekła — moje dziecię, staraj się dać to wypić młodej parze w jakimkolwiek napoju, a nieszczęście twoje się skończy.

Małgorzata jakkolwiek niewprawna do postrregania, widziała jednak odmianę ktorą sprawiła wiadomość o za mąż pójściu Anny, tak na twarzy, jak i w obejściu się Praxedy. Przychodząc radzić się jej, niezdała sobie samej sprawy z tego czego chciała; uległa temu pierwszemu poruszeniu, które skłania do szukania obrony w nadnaturalnych sposobach, przeciw cierpieniu sprawionemu przez niepodobne do naprawienia nieszczęście. Ktoś wyżej nierównie w towarzystwie położony, w braku snu, kabały lub jasnowidzącej, niepogardziłby był Praxedą, która uchodziła w okolicy za możną czarownicę. Cóż dziwnego, że biedna dziewczyna ludu, cierpiąca i nieoświecona pobiegła do niej z tą nieoznaczoną nadzieją, która nieprzywiązując się do żadnej wyraźnej myśli, przewiduje niczem nieusprawiedliwioną lepszą przyszłość, niemyśląc o sposobach i przeszkodach, lecz i niewątpiąc o niczem, ponieważ niewątpi o potędze nadnaturalnej

władzy, do której się udaje. Małgorzata głęboko zraniona w serce ożenieniem się Hrycia, przybiegła do Praxedy bez żadnego projektu, niemyśląc nawet o co ją ma prosić, lecz jedynie aby jej swoją boleść opowiedzieć i otrzymać jaki nieznany mistyczny sposób do jej złagodzenia. Pomięszanie starej zniszczyło w części illuzyą, odkrywając nadto widocznie ludzkie uczucia; na twarzy Praxedy postrzegła wyraz nienawiści, odgadła zamysły zemsty, przeczuła zbrodnię i przeraziła się skutkami swojego postępku. Ta myśl uderzyła ją nagle i wstrzymała rękę, którą już wyciągała dla wzięcia podawanego pakietu. Ze swojej strony Praxeda nadto pilnie ją uważała, ażeby to wahanie się nieśmiałości jedynie przypisać; twarz jej pomarszczona rozżarzyła się gniewem i oczy piekielnym ogniem zajaśniały. Ale chciała koniecznie dopiąć swojego i potrafiła się zwyciężyć.

— Cóż, moje dziecię — rzekła łagodnie — wróć i zostaw mię.

— Matko! — odpowiedziała jąkając się Małgorzata — ja nie mogę... nie śmiem...

To było za wiele na cierpliwość Praxedy.

— Niemożesz, nieśmiesz! — zawołała — czemuż nieśmiesz?...

Biedna dziewczyna zalękniona, zaledwie mogła wymówić: — Matko!... występek!...

— Występek! — wrzasnęła Praxeda nieposiadając się od złości — cóż to ty sobie myślisz, że ja truję ludzi!

Te słowa lubo z najgwałtowniejszym gniewem wymówione, pocieszyły Małgorzatę — myśl o truciznie najwięcej ją przerażała, a lubo niezupełnie zapewnieniu Praxedy wierzyła, uczuła się jednak trochę spokojniejszą. Ta zmiana nadto była widoczną aby ujść mogła uwagi Praxedy; uczuła że to był moment z którego należało korzystać, i dodała z ironiją:

— Otóż to stworzenie co chce być szczęśliwe, a wszystkiego się boi! Idź sobie, ale pamiętaj: jak drugie dziewki będą gardzić tobą, jak Anna siedząc przy Hryciu będzie szydzić z ciebie, nie wracaj do mnie, bo za całą pociechę kark ci skręcę!

Zwrot ten był zręczny, wyobrażenie Anny szczęśliwej przy Hryciu i żartującej z niej (Małgorzaty) zburzyło krew biednej dziewczyny, a lubo niezniszczyło jej skrupułów, wpłynęło jednak na przekonanie i zrobiło ją skłonniejszą do uwierzenia zapewnieniom starej.

— Cóż tedy! — dodała Praxeda jakby

czytając w myślach młodej dziewczyny — zgadzasz się?...

— Dobrze matko, — odpowiedziała Małgorzata drżącym głosem — ale mnie zapewniasz....

— Że to nie trucizna! — przerwała groźnie Praxeda — pocóżeś przyszła jeźli mi nieufasz.

— Matko, ja ci wierzę, ale....

Stara się uśmiechnęła, a sądząc że nadszedł moment użycia znowu postrachu, ażeby zniszczyć resztę skrupułów Małgorzaty, rzekła poważnie z tą wyrachowaną powolnością, za pomocą której każde słowo dobrze jest usłyszane i pojęte:

— Wątpisz?... idź więc sobie, a pamiętaj że Ster głęboki!...

Te słowa odnowiły całą trwogę Małgorzaty, pojęła w nich okropną przepowiednią i już się sądziła blizką utraty życia za swoje nieposłuszeństwo.

— Posłucham cię matko! — zawołała przerażona.

— I zrobisz co ci kazałam? — zapytała poważnie Praxeda.

— Zrobię — odpowiedziała Małgorzata trzęsąc się cała, bo wyobrażenie trucizny nie znikło całkiem z jej myśli i chciałaby była, tylko nieśmiała się sprzeciwiać.

Stara dokazała swego — czując jednakże że skrupuły Małgorzaty mogły powrócić jak się znajdzie samą, uczuła potrzebę zmniejszenia ich ile można, przybrała więc znowu łagodną postawę.

— Pamiętaj! — rzekła — że ja wiem wszystko, i że potrafię nagrodzić cię lub ukarać, jak na to zasłużysz. Teraz idź moje dziecię spokojnie, wypełnij dobrze moje rozkazy, a będę czuwać nad tobą.

Małgorzata prawie przekonana temi słowami, niedała sobie powtórzyć rozkazu wyjścia; wyskoczyła z chałupy, pobiegła co tchu do czółna i wkrótce po tem zamykała za sobą drzwi swojego domku.

2.

W kilka miesięcy później, o mil dwanaście ztamtąd, w powiatowem miasteczku Łucku niezwykły ruch było widać na głównej ulicy. Żydzi zadyszani snuli się jak złe duchy w rozmaitych kierunkach; urzędnicy postrojeni, to pieszo, to na dorożkach wytykali z bocznych uliczek, zmierzając do domu, w którym mieszkał tymczasowie Wicegubernator przybyły do Łucka dla przyjmowania rekrutów.

Sienie wszystkich karczem napełnione były chłopami okutemi w kajdany, lub przynajmniej w dyby, a przed wrotami mnóstwo starców i kobiet, to napełniali powietrze żałosnemi jękami, to cicho płacząc rozdzierali serca patrzących.

Była już ósma godzina, pan Wicegubernator nie dawno widać przebudzony, w atłasowym szlafroku rozwalił się przed kominem na obszernem poręczastem krześle i dodrzemywał sobie, zapewne źle przepędzonej nocy. W salonie, Marszałek powiatowy, Chorąży, Podkomorzy, Sędzia, Podsędkowie, Horodniczy, Sprawnik, Asessorowie, Strabczy, słowem wszyscy urzędnicy zeszli się byli z uszanowaniem dla dostojnego pana, ale im powiedziano, że Eho Prewoschoditielstwo oczen zaniat, to jest bardzo zatrudniony. Czekali więc na ukończenie ważnego zatrudnienia, i to przechadzali się na palcach, to cicho rozmawiali lękając się zrobić dystrakcyi.

Tymczasem w pokoju Wicegubernatora otworzyły się cicho boczne drzwiczki i wszedł opasły izraelita. Pejsy wijąc się w pierścienie spadały mu aż na piersi, opończa z czarnej ratyny przytwierdzona do brzucha czarnym atłasowym pasem, bóty woskowane, a najbardziej tłuste pyski, zamyślona i jakby pogardzająca mina, dowodziły, że to był jeden z tych majętnych żydów, zwanych moremorejne. Skłonił się nizko, podniósł cokolwiek aksamitną jarmułkę, potem się wyprostował, spiczastą aksamitną czapkę sobolami obszytą włożył pod pachę, jedną ręką zaczął gładzić sobie brodę, drugą za pas wsunął i czekał aż się Jaśnie Wielmożnemu Panu podoba przemówić. — Wicegubernator drzemał sobie dalej jakby gościa niewidział, nareszcie wyciągnął się, ziewnął i rzekł:

— Co słychać Moszko?

— Cóż Jaśnie Wielmożny Panie, chwalić Pana Boga, wszystko dobrze.

— Rekrutów dużo przywieźli?

— Aj wej! nawieźli Jasny Panie pelne miasto.

— I cóż tam?

— Nu! ja przyniosł.

To mówiąc dobył z zanadrza pakiet bomażek i położył na stole.

— A wiele?

— Nu! Jasny Panie jeszcze niewiele, ale to początek.

— Wieleż przecie?

— Trzy tysiące rubli.

— Za wielu rekrutów?

— Za trzydziestu; wypada sto rubli od jednego.

— Od jakich oddawczyków?

— Klasztor dominikański, pan Cześnik z Usiatyn, pan Podstoli z Sobieszowa, pan Xawery z Uhrynia i pan Generałowicz z Woli.

— Dobrze, dziś naprzód tych trzydziestu przyjmę.

— Ale Jasny Panie, jeden rekrut pana Cześnika ma kurzą ślepotę, a jeden dominikański czasem miewa konwulsye, jeden pana Podstolego palca uciął, a kilku pana Łowczego podobno nieprzyjdą do miary, to oddawczyki bardzo proszą Jasnego Pana żeby ich nie brakował.

Wicegubernator potrząsł głową, zdał się wahać, nareszcie spojrzał na stolik na którym leżały bomażki, uśmiechnął się i zapytał:

— A dali co wojennemu Czlenowi i Doktorowi?

— A jakże! Jasny Panie, po pięćdziesiąt rubli od rekruta.

— To przyjmiem, zkąd nabrać takich ludzi żeby im nic niebrakowało.

— Woni bardzo podziękują Jasnemu Panu. Przywiózł swoich i oddawczyk z Rałówki, (to było nazwisko klucza, do którego należała Babka).

— Dobrze— odpowiedział Wicegubernator — on sam ze dwudziestu rekrutów ma oddać.

— Prawda Jasny Panie, ale to głupi — rzekł Moszko i plunął.

— Dla czego?

— Ja już go widział; powiedział: — chłopy jak dęby — i prawda Jasny Panie, aż miło patrzeć.

— Łżesz! — zawołał z gniewem Wicegubernator — na Polesiu niema zdrowych ludzi! na oko dobrze się wydają, ale pewnie we krwi to kołtun, to insza jaka bieda.

— Prawda Jasny Panie, a jeszcze z pozwoleniem Jasnego Pana, ten głupiec myśli, że Jasny Pan darmo się będzie fatygował.

— Maszennik! — mruknął Wicegubernator i rzekł: — powiedz mu, że jutro każę stawić jego ludzi.

— A jak nic nie da Jasny Panie?

— To nie zda ani jednego rekruta, będzie musiał posłać po innych, na sam koniec odłożę pryjom i znowu zbrakuję; niechno potem pojeździ do Żytomierza, to zobaczy co rekrut kosztuje. Stupaj!

Moszko wyszedł, a Wicegubernator pomruczawszy jeszcze: wot sukin syn! wot maszennik! — krzyknął: — Wańka! — Wpadł służący. — Podaj płatie!

Wańka przyniósł suknie, Wicegubernator ubrał się i wszedł do salonu. Wszyscy powsta-

li, on kiwnął od niechcenia głową na wszystkie strony, i rzekł do Marszałka: — Pojediom w pryjom! — To rzekłszy siadł na dorożkę, za nim ruszyli wszyscy i udali się do domu w którym przyjmowano rekrutów.

Ze sto kroków było jeszcze odedrzwi, a już ulica zawalona była kobietami i starcami.

Panie zmiłuj się! — wołali wyciągając ręce, a wśród tego powszechnego okrzyku, z różnych stron wznosiły się głosy łkaniem przerywane:

— Ja jednego tylko mam wnuka!

— Mój syn dopiero się ożenił!

— Oddajcie mego męża!

— Mój brat kaleka!

Furman mimowolnie wstrzymał konie a Wicegubernator rozgniewany wrzasnął: — Stupaj!

— Nie można — odpowiedział furman — droga zastąpiona.

— Pletnieju tych maszennikow!

— Oddajcie mi mego męża! — powtórzyła młoda kobieta.

W tem harap twarz jej rozkroił, krew wytrysnęła i popłynęła po twarzy mięszając się ze łzami. Nieszczęśliwa padła, a furman zaciął konie, wywrócił starca co się nie dość żwawo usunął, i zajechał przed pryjom.

JW. Wicegubernator wysiadł, wszedł do sali, skłonił się przed Zerkałem i zasiadł za ogromnym stołem okrytym czerwonem suknem. Obok niego z jednej strony zabrał miejsce Czlen wojenny, z drugiej Marszałek; Doktor usiadł z boku tak, żeby mógł łatwo wstawać dla obejrzenia każdego rekruta. W środku pokoju postawiono miarę: były to dwa słupki osadzone pionowo w grubą deskę, na której stawiano rekruta; u góry horyzontalna ruchoma sztuka drzewa, zniżała się lub podwyższała, stosownie do wysokości człowieka i oznaczała miary wyryte na pionowych słupkach. Jak tylko skończyły się te przygotowania, Wicegubernator spojrzał na notatkę ktorą położył był przed sobą i rzekł: — rekruty dominikańskie! — Policyant przy drzwiach stojący powtórzył: — rekruty dominikańskie! — W drugim pokoju zawołano znowu: — rekruty dominikańskie! — i wszedł tak nazwany oddawczyk. Od progu zaraz pokłonił się nizko, Wicegubernator uśmiechnął się mile do niego, Czlen wojskowy i Doktor kiwnęli nieznacznie głową, jakby zapewniając że może być spokojny. On też wyprostował się i z wesołą miną stanął przy drzwiach.

Po chwili drzwi się otworzyły i pokazał się człowiek dużym kożuchem obwinięty, zatrzy-

mał się na progu jakby nieśmiejąc dalej postąpić, wszystkie oczy zwróciły się na niego. W tem z tyłu ktoś go popchnął i nieszczęśliwy znalazł się na środku sali, nagi, skurczony od wstydu i strachu; wargi mu się trzęsły, oczy krwią zaszłe i jakby obłąkane zdały się nic niewidzieć, a twarz okryta śmiertelną bladością, nieokazywała żadnego prawie znaku życia. Dwóch policyantów wzięli go pod pachy i postawili do miary.

— Charaszo! — rzekł Wicegubernator popatrzywszy chwilę.

Potem wstał doktor, zginał i odginał mu ręce i nogi, zaglądał w gębę czy ma potrzebne zęby do odgryzania ładunków, nareszcie po kilku zapytaniach na które rekrut nic nieodpowiedział, rzekł: — Zdorow!

Na te słowa biedny rekrut zdał się odżyć, i zawołał z rozpaczą:

— Panie, ja mam konwulsye!

— Nie prawda Panie — przerwał oddawczyk.

Doktor wstał znowu, znowu go opatrzył, dał mu kuksa pod brodę aby podniósł głowę, stuknął go z całej siły w piersi tak, że aż zabębniło w sali i rzekł: — wriosz! (to jest łżesz) — a rekrut padł zemdlony.

— Udaje gałgan — rzekł Czlen wojenny.

— Ja go zaraz otrzeźwię — odpowiedział Doktor. Kazał podać świecę zapaloną, wziął ze stołu laskę laku i zaczął topić go nad zemdlonym. Marszałek odwrócił oczy, skóra biednego rekruta skwierczała pod roztopionym lakiem; już miał całe piersi okapane, a jeszcze sie nieruszał. — To szelma wytrzymała! — rzekł Doktor z gniewem i kopnął go nogą z całej siły w żebra. Rekrut się nieruszył, tylko jakieś drganie nóg i rąk zdawało się zapowiadać powrót życia. Doktor dostał z kieszeni pudełeczko, dobył z niego obcążki i zaczął niemi szczypać skórę. W miarę jak szczypał, krew wytryskała do góry, drganie nóg i rąk coraz się powiększało, nareszcie rekrut otworzył oczy, jęknął boleśnie, popatrzył w około obłąkanym wzrokiem, a po chwili, jakby rozpoznając miejsce w którem się znajdował, zatrząsł się cały i powstał powoli.

— Panie! — zawołał do Wicegubernatora, lecz ten krzyknął: — Łob! — oprawcy porwali nieszczęśliwego żeby mu przód głowy ogolić, co znaczyło że jest przyjęty.

Podobnym sposobem przeszła i kurza ślepota, i niedojście do miary, które Wicegubernator rozwiązał mówiąc: — kurczy się szelma, ale jak mu w pułku dadzą z tysiąc pałek, to się wyprostuje.

Nareszcie wprowadzono chłopa z obwiniętą ręką, a za nim przyniesiono krwawy jeszcze ucięty jego palec.

— Łob! — zawołał Wicegubernator bez examinu.

Oddawczyk ukłonił się na podziękowanie, ale Wicegubernator dodał!—przywóźże prędko innego rekruta na miejsce tego.

— Jakto JWPanie! — zawołał zadziwiony oddawczyk — wszakże ten przyjęty.

— Chcąc zapobiedz — odpowiedziało Jeho Prewoschoditielstwo — żeby sobie chłopi nieucinali palców, co robi szkodę obywatelom i utrudza oddawanie rekrutów, rozkazano takich przyjmować, ale że kaźnia tracić nie może, więc pomieszczyk musi dać drugiego.

— Ale JWPanie, to ja tracę dwóch ludzi za jednego; ten choć z uciętym palcem, zdałby się był w gospodarstwie.

— Wielono! — odpowiedział Wicegubernator, i po tym stanowczym argumencie niemając już dnia tego przyjmować rekrutów, gdyż ten z uciętym palcem był ostatni z trzydziestu opłaconych, wstał i zapytał się: — czy przywieźli rekrutów z Rałówki?

— Przywieźli JWPanie — odpowiedział asystujący pryjomowi oddawczyk Rałowiecki.

— Jutro rano ich stawić! — rzekł Wicegubernator.

Zaledwo to wyrzekł, dało się słyszeć w pierwszym pokoju jakieś szamotanie, jakby gwałtem odciągano odedrzwi kogoś co wejść usiłował.

— Co to jest? — zawołał Wicegubernator.

Jeden z policyantów wyszedł i doniósł wróciwszy, że jakaś podeszła kobieta ma interes do Jeho Prewoschoditielstwa.

— Niemam czasu, — rzekł Wicegubernator — niech jutro rano przyjdzie na kwaterę! — i już miał wychodzić, kiedy odezwał się za drzwiami głos kobiecy:

— Ja tylko słowo mam powiedzieć! nie pójdę ztąd chyba mnie zabijecie!

— Wpuścić ją! — zawołał Marszałek.

Drzwi się otworzyły i weszła ośmdziesięcio-letnia kobieta; w jednem ręku trzymała kijek, którym stukała przed sobą, a drugą ręką osłaniała głowę. Ślepa była na oba oczy

— Czego chcesz? — zawołał z gniewem Wicegubernator.

Staruszka zatrzymała się i rzekła ze spokojną rozpaczą:

— Przyszłam prosić żebyś Pan mię kazał do domu odprowadzić.

— Jak to?

— Niemam już nikogo na świecie, wzięliście mi ostatniego wnuka i nawet zajść sama do pustej chaty niemogę, żeby przynajmniej na swojej umrzeć pościeli!

Wszyscy słuchali w religijnem milczeniu, Wicegubernator nawet zdał się poruszony, ale to nie długo trwało.

— Wot z umaszedsza! (ot waryatka) — zawołał — idź precz babo!

Stara zwróciła się nic nieodpowiedziawszy, a Marszałek coś szepnął do stojącego przy nim młodego człowieka, który wyszedł za staruszką. Później się dowiedziano, że pojechała do domu marszałkowską bryką i miała trochę pieniędzy.

Wicegubernator kontent z siebie wyszedł, wsiadł do dorożki, lecz tą razą zaprosił z sobą Marszałka, bo do niego jechał na obiad.

Nazajutrz znowu sobie wylegał się przy kominku, kiedy wszedł Moszko z naciągniętą miną.

— Cóż tam — zapytał Wicegubernator — widziałeś go?

— Widziałem Jasny Panie, ale to bydle! powiada, że kiedy tak złych rekrutów przyjęli, to jego nie mogą zbrakować. He he he!..

— Uwidit! (zobaczy) — mruknął Wicegubernator, zerwał się z krzesła, krzyknął na

Wańkę, a lubo nie kazał mu był jeszcze przynosić sukien, palnął go w pysk za to, że ich nieprzyniósł, i tak gniew, jak to mówią spędziwszy, ubrał się i pojechał do pryjomu.

Oddawczyk wszedł z wesołą miną jakby pewien swego, Czlen i Doktor spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się, Wicegubernator zmarszczył się i wprowadzono dorodnego parobka. Wyższy był nad miarę, silnie zbudowany, zdawało się że nic przeciw niemu niemożna powiedzieć, ale Wicegubernator rzekł do Doktora: — zdaje się, że jakiś żółty! — Doktor wstał, opatrywał, dawał zapytania, nareszcie postukał palcem w piersi, przybliżył ucho, i rzekł: — jak pójdzie pod karabin dostanie czechotki (suchot).

— Zatyłok! — zawołał Wicegubernator i ogolili mu tył głowy, co znaczyło odrzucenie. Napróżno protestował się oddawczyk, napróżno Marszałek się wstawiał, wymówiony zatyłok niezostał cofniętym.

Drugi miał kiedyś dostać kołtuna, trzeci prędko wzrok stracić, czwartemu miały kiedyś wypadać zęby, słowem wszyscy rekruci z Rałówki za niezdatnych uznani, zbrakowani zostali. Oddawczyk kłaniał się, prosił, przysięgał że zdrowi, nareszcie widząc że nic nie wskóra, podniósł ramiona i wyszedł mrucząc.

— A widzisz Waspan, ja mówił — odezwał się Moszko, który za nim był wyszedł — teraz trzeba posyłać po drugich rekrutów, a może młodzież pochowała się po lasach.

— Zapewne — odpowiedział oddawczyk — trudno drugich takich dwudziestu znaleźć, a kiedy tych nieprzyjęli, to cóż będzie z tamtemi.

— Nu, co będzie! dasz Waspan po sto rubli Jeho Prewoschoditielstwu, a po pięćdziesiąt Czlenowi i Doktorowi, to i przyjmą.

— Niech ich diabli wezmą! — zawołał rozżalony oddawczyk.

— Nu, niech wezmą! — odpowiedział z flegmą Moszko — a zapłacić trzeba.

— Cóż robić, to już i zapłacę! żeby tylko w czas dostawili, bo pewno innych niewzięli.

— To Waspan zaraz poszlij, pryjom ze dwie niedziele pociągnie, to jeszcze czas.

— Bodajeście przepadli! — mruknął oddawczyk, i poszedł do karczmy w której był stanął.

W godzinę potem, konny posłaniec pędził po drodze prowadzącej do Rałówki.

3.

Tymczasem w Babce wielkie porobiły się odmiany. Dawniej Hrycio najbogatszym był z mieszkańców, i używał we wsi tego poważania, które nadają dostatki zarobione pracą pomiędzy ludźmi prostemi i niepopsutemi jeszcze przez styczności z cywilizowanym światem. Oprócz tego, Hrycio był ładny chłopiec, cienki, wysoki, silnie zbudowany, i rzadka była dziewczyna którejby serce niezadrżało, kiedy zwrócił na nią swój wzrok pełen ognia i żywości. Małgorzata była zajęła jego uwagę do tego stopnia, że raz nie tylko przez całą wieczorynkę z nią jedną tańcował, ale nawet w uniesieniu tak ją serdecznie przycisnął, że jej kości zatrzeszczały. Biedna dziewczyna niezdołała oprzeć się tak energicznie oświadczonej miłości, odmówiła Sawce przystojnemu i dość majętnemu chłopcu, który ją dawno już kochał, i oddała serce Hryciowi, którego dalsze postępowanie niedozwalało wątpić, że się z nią wkrótce ożeni.

Anna mniej piękna i niezwróciwszy nigdy oczów Hrycia, rokiem jeszcze przed epoką o której mówimy, opuściła była wioskę i poszła do dworu na służbę. Jedną razą na innej

wieczorynce pokazała się niespodzianie. Spódnica jak śnieg biała, opięty czerwony gorsecik, włosy z gustem utrefione, obejście się mniej więcej naśladowane z osób, które widywała na dworze, wszystko to nadawało jej blask nadzwyczajny i czyniło z niej jakby wyższą jaką istotę pomiędzy prostemi, niezgrabnemi i źle ubranemi wieśniaczkami.

Hrycio niemógł widzieć jej bezkarnie, głowa mu się zakręciła, a biedna Małgorzata została ze swoją miłością i swojemi nadziejami.

Anna wiedziała, że Hrycio jest wyborną partyą; jego miłość, jego postawa trafiły do jej serca, może nawet odsunięcie zaręczonej już prawie a najpiękniejszej we wsi rywalki, pochlebiało jej miłości własnej, słowem prędko się zrozumieli, i wkrótce nastąpiło to wesele, którego widok tak ubódł Małgorzatę, że aż do Praxedy pobiegła. Z początku nic się niemogło porównać ze szczęściem młodej pary! momentu żyć bez siebie niemogli, razem w polu, w cerkwi, w karczmie, nietracili siebie z oczu i uchodzili we wsi za błogosławionych, których nieszczęście dosięgnąć niezdoła.

Jednakże przyszło niedługo! Zaledwie dwa tygodnie minęły, a już tę miłość gwałtowną zastąpiła nienawiść. Raz Hrycio wyszedł z do-

mu, oświadczając że niewróci, dopóki Anna w nim będzie. Ona ze swojej strony bojąc się aby niepowrócił, wyszła natychmiast i osiadła przy swoich rodzicach. Ani jedno, ani drugie niemogło powiedzieć co ich poróżniło; ale żadne perswazye, żadne namowy, niezdołały ich pogodzić.

Każdy tłómaczył po swojemu to niespodziane zdarzenie, które przez czas długi było przedmiotem rozumowań w karczmie i na wieczorynkach; Małgorzata tylko ciągle była ponura, zamyślona i milcząca. Nieraz jakby lękając się przypadku, długo szła za Hryciem, który straciwszy ochotę do pracy, włóczył się ciągle jaby dla uniknienia bolesnej i nieodstępnej myśli która go dręczyła, ale nigdy nieśmiała się zbliżyć. Nieraz widziano ich jak dwa cienie posuwające się w jednym kierunku, ale o kilkadziesiąt kroków od siebie odległe. Czasem słyszano melancholiczny śpiew kobiecy, lub przytłumione łkania ciężkiem przerywane westchnieniem. Nadeszła jesień; wpośród pól błyszczących tysiącem kolorów, postrzedz można było smugę czarną — to było niezasiane pole Hrycia. Zima nieprzyniosła żadnej odmiany. Opinija zdecydowała, że oczarowano to nieszczęsne młode małżeństwo, i wkrótce uważać na to przestano.

Wreszcie nadeszła wiosna i Ster znowu przybrał całą swoją piękność. Jednego wieczoru Hrycio przechadzał się na brzegu, jeżli można nazwać przechadzką chód przerywany, to prędki, to powolny i ograniczony odległością zaledwo stu kroków. Czasem ze spuszczoną głową, założonemi rękami zatrzymał się na chwilę, i wtenczas na twarzy jego głęboka malowała się boleść, to znowu machnął gwałtownie ręką i podbiegł, to znowu zwolnił krok tak, że zaledwo zdał się postępować; słowem widać było, że uczucia gwałtowne i bolesne miotały jego sercem, ale powoli te nagłe ruchy zaczęły się uspokajać, kroki były równiejsze, twarz bardziej zamyślona niż cierpiąca. Kiedy niekiedy zwracał oczy ku rzece, za każdym razem dłużej je zatrzymywał, nakoniec wpatrzył się w nią zupełnie i stał nieporuszony, jakby przykuty do miejsca myślami, które go trapiły.

Bo też Ster nadzwyczajny wtenczas przedstawiał widok. Noc była zaszła, mnóstwo rybaków z otaczających wiosek błąkali się po zalewie na czółenkach ozdobionych kagańcami i z oszczepami w ręku, starali się podejść uśpione ryby. Cichość i obroty tej podstępnej wojny, te światełka biegające w różnych kierunkach, powaga ciemnego nieba odbijającego

w wodzie miliony gwiazd błyszczących, ponure milczenie nocy, czasem tylko przerywane to odgłosem oszczepu ciśniętego w wodę, to tym romantycznym lasu szmerem, co zda się zdradzać duszę pod grubą drzew powłoką; chrapliwy nawet krzyk kaczek dzikich odlatujących spiesznie od blasku który ich przebudził, wszystko przemawiało tym tajemniczym i pocieszającym językiem, który tak silnie porusza duszę. Hrycio doznał ulgi pomimo gwałtownych namiętności, które nim miotały; zdawało się że spokojność nocy udzieliła się jego sercu, mimowolnie prowadził oczy za płynącemi światełkami, i wpadł w to słodkie i głębokie zadumanie, które jeżli nie zupełnem szczęściem, to chwilowem zapomnieniem bolesnych myśli obdarza.

W tem głos kobiecy obił się o jego uszy— był to głos młody i świeży, ale smutny i jakby rozżalony, nucił płaczliwą dumkę tym przenikliwym tonem, prawdziwem echem duszy, którego każda nóta wyraża skargę bolesną, którego każda zmiana długie zawiera opowiadanie — zdawał się co raz przybliżać, wreszcie słowa słyszeć się dały:

Horeż myni hore! neszczasływa dołe,
Zasijała diwczynońka mysłenkami połe,

Czornymi oczkami taj zawołoczyła,
A drobnymi słozońkami wsiu rolu zrosiła.

Hrycio jakby nagle przebudzony zwrócił się w tę stronę; słuchał naprzód z ciekawością i dla tego tylko, że ta melodya miłe na sercu jego sprawiała wrażenie — powoli niektóre tony zdawały się przynosić mu wspomnienia. Zaczął głos rozpoznawać, nakoniec podniósł żywo głowę i zawołał: — to ty Małgorzato!

Głos ucichł, głębokie westchnienie obiło się o uszy Hrycia, potem dał się słyszeć odgłos lekkiego ale żywego stąpania, jak gdyby ktoś spiesznie oddalał się. Hrycio skoczył żwawo w tę stronę, zatrzymał się, słuchał przez chwilę i znowu podbiegł, ale napróżno. Wrócił więc na dawne miejsce, a lubo omylony w swej nadziei, raz jeszcze nadstawił ucha, kilka omdlałych tonów przeleciały przestrzeń, ostatni zaledwie doszedł do uszu i zostawił go samotniejszego niż dawniej.

Jednakże to zdarzenie bieg myśli jego zmieniło, po czarnym smutku nastąpiło rozczulenie. Poznał był młodą i cierpiącą istotę, która zdawała się z nim sympatyzować, jakieś uczucie pełne przychylności i słodyczy weszło mu do serca, i w tej chwili byłby się może

rzucił w objęcie Małgorzaty, ale młoda dziewczyna daleko już była i myśl Hrycia przeniosła się mimowolnie do Anny. Obraz przeszłego szczęścia stanął mu przed oczyma, ale razem niepojęta jakaś odraza zatrzęsła nim gwałtownie — wspomniał na obecne swoje położenie. Łez kilka przecisnęło się przez wpół zampnięte powieki, a serce jego napełniło się to cierpką goryczą, co skargi i narzekania w gwałtowną zmienia potrzebę.

— Anno! — zawołał rozdzierającym głosem — Anno! świat mi zawiązałaś!

— Nie prawda! — odezwał się głos mocny i jędrny.

Hrycio wstrząsł się i obrócił się ku wiosce, w nadziei zobaczenia natręta.

Chaty Babki odbijając się na jaśniejszem tle, nieba, wydawały się jakby plamy czarne pomiędzy błyszczącemi światełkami, które zdobiły firmament. Wszystko zatopione było w tej ponurej cichości, co tak czuć daje zarodek zniszczenia we wszystkich dziełach człowieka, i tak podobnem czyni miasto do cmentarza! Jednakże bystry wzrok Hrycia postrzegł na środku wioski jakieś żyjące stworzenie, które zdaleka, zdało się błąkać jak cień jaki pomiędzy grobami. W miarę jak się zbliżało formy jego stawały się widoczniejsze, poznać można

było ciemne odzienie, pas i jakby punkcik biały błyszczący na piersiach. Powoli ten punkcik co raz się rozszerzał i zmienił się w długą, białą brodę; nakoniec pokazał się starzec wysokiego wzrostu lubo zgarbiony, fizyonomji poważnej ale łagodnej, na której znawca cokolwiek mający wprawy, łatwoby poznał był ślady, które po sobie długi nałóg myślenia zostawia.

Musiał zdaleka przychodzić, bo pomimo kija na którym całym ciężarem się wspierał, stąpał ciężko, powoli, każde ruszenie zdawało się mu wiele kosztować. Z czołem kilką zmarszczkami wpoprzek sfałdowanem, z policzkami podniesionemi dla ściśnienia promieni wzroku, starał się przebić okiem ciemność co go otaczała, czy dla poznania domu do którego zmierzał, czy też dla postrzeżenia człowieka na którego narzekania był odpowiedział; nareszcie postrzegł Hrycia i zwrócił ku niemu.

Hrycio zdawał się patrzeć na starca z niespokojnością, zeszedł nawet na bok aby go uniknąć, ale starzec niestracił go z oka.

— Czy tak — rzecze — przychodniów we wsi waszej przyjmują?

Hrycio z kwaśną miną podniósł ramiona i nic nieodpowiedział.

— Dla czegoż mnie unikasz? — dodał starzec — czyliż lubo zdrów i młody lękasz się starca obarczonego wiekiem i strudzonego podróżą?

Na tę wymówkę twarz Hrycia zapłonęła gniewem.

— Kto tam u licha boi się ciebie! — odpowiedział — idź sobie gdzie chcesz a daj mi pokój.

— Chcę pójść do chaty Antoniego młynarza, — rzekł starzec — zaprowadź mię to i przestanę ci dokuczać.

— Ja! — zawołał Hrycio — ja mam zaprowadzić ciebie! Daj mi pokój.

— Tak ci to trudno oddać posługę starcowi coby mógł być twoim dziadem! — rzekł starzec, a głos jego więcej jeszcze zdawał się czynić wyrzutów niż słowa. — Powiedz mi przynajmniej w której stronie jest ta chata?

Hrycio osobliwszego doznał poruszenia, już nawet pomyślał uledz prośbie starca, lecz na tę myśl samą zbladł i zamilkł.

— Szkoda! — dodał starzec — często szczęście przychodzi wtenczas, kiedy najmniej spodziewane.

— Ja i szczęście nigdy się już niespotkamy — odpowiedział Hrycio z nerwowem poruszeniem. — Nie obracaj noża w mem sercu!

oto chata młynarza — dodał pokazując palcem światełko, co się przebijało przez źle zamkniętą okiennicę — idź i zostaw mnie!

— Jak chcesz — odpowiedział starzec oddalając się — jednak nieżegnam cię, wkrótce się obaczemy.

Hrycio odwrócił się, a starzec poszedł do wskazanej chaty.

— Niechaj będzie Bóg pochwalony! — rzekł drzwi otwierając.

— Na wieki wieków — odpowiedziano podług zwyczaju.

Człowiek ze czterdzieści lat mający z ciemnemi włosami, które w długich kosmykach spadały jak frędzla w około głowy podgolonej z dołu, z miną otwartą ale pomięszaną, siedział na przypiecku i patrzał na drzwi, jakby dla zobaczenia kto wchodzi, ale oczy jego zdawały się machinalnie zwrócone w tę stronę, bo na twarzy niewidać było tej ciekawości, której naturalnie doświadczać był powinien. Obok niego siedziała kobieta średniego wieku, zgięta we dwoje, łokcie miała oparte na kolanach, a ręce twarz jej zakrywały. Tak była zatopiona w myślach, iż ani postrzegła że ktoś wszedł do chaty, ani słyszała słów swego męża na odpowiedź starcowi wyrzeczonych. Naprzeciw młoda kobieta siedząca na

wywróconym cebrze, wlepiła swe oczy w ziemię bez najmniejszego ruchu. Możnaby ją było wziąść za jaką nieżywą istotę, gdyby ciężki oddech i pełne łez oczy niezdradzały były głębokiego poruszenia. Widać było że niedawno odbyła się jakaś scena, ale nic niewskazywało jej rodzaju i przyczyny. Na małej kratce zawieszonej u sufitu, reszty łuczywa przeznaczonego do zastąpienia świecy, to żywym płomieniem jaśniały, to tlały mdłem światełkiem, a trzęsienie się cieniów sprawione przez wahanie się płomienia, nadawało wszystkim przedmiotom okropną jakąś ruchawość.

Starzec zatrzymał się moment, jakby niepewny czy zostać, lub w inne miejsce pójść szukać schronienia, lecz wkrótce czy dla tego że to wahanie z innej jakiej pochodziło przyczyny, czy też że się zdecydował zostać, postąpił na środek izby i rzekł poważnie:

— Przychodzę prosić was o nocleg.

— Zostań ojcze! — rzekł człowiek siedzący przy piecu i znowu pogrążył się w myślach.

Starzec wodził oczami po trzech mieszkańcach chaty, przypatrywał się im pilnie, czasem potrząsał głową, czasem życzliwy uśmiech pokazał się mu na ustach, a twarz jego musiała nabrać niezwyczajnego wyrazu, bo

właściciel chaty popatrzywszy na niego przez chwilę, powstał i stał nieporuszony, lękając się przerwać uwagi starca, jak gdyby się po niej spodziewał ważnych i pomyślnych skutków, nareszcie sam starzec przerwał milczenie.

— Widzę — rzecze — że nieszczęście nawiedziło tę chatę.

Nikt mu nic nieodpowiadał.

— Jednakże nieodmówiliście przytułku starcowi, niech was Bóg błogosławi i nagrodzi.

Starsza kobieta podniosła głowę, wpatrywała się w starca i zawołała:

— Niemasz już pociechy na nasze stare lata!

— Bluźnisz Marto! — rzekł groźnie starzec.

Na te słowa Marta powstała żywo i przystąpiła do niego, pilnie mu się przypatrując.

— Tak jest, bluźnisz Marto! — powtórzył — czyż to niewiesz że Bóg wszystko może, i że dobrego uczynku bez nagrody niezostawia.

Marta tak była wpatrywaniem się w starca zajęta, że zdawała się niesłyszeć co do niej mówił. Niespokojna ciekawość która się była zrazu na jej twarzy pokazała, ustąpiła zadziwieniu; nareszcie zawołała:

— Zkąd wiesz jak się ja nazywam?

— Co ci do tego — odpowiedział starzec spokojnie.

Marta wciąż na niego patrzała w nadziei,

że pamięć przyjdzie jej na pomoc, lecz starzec uśmiechnął się i rzekł:

— Nie poznasz mię, boś mię nigdy niewidziała.

— Jakże wiesz moje nazwisko?

— Dosyć tych pytań, znam was wszystkich i dosyć. Dla was nawet przyszedłem tutaj.

— Dla nas? — zawołała Marta coraz bardziej zdziwiona.

— Dla was; — odpowiedział starzec — jeźli więc myślisz — dodał stukając palcem w czoło — że znajdzie się jaka mądrość pod temi siwemi włosami, to mi opowiedz twoje zmartwienie.

— Nic temu niepomożesz — odpowiedziała Marta, siadając znowu w tej samej co dawniej pozycyi.

— Nic niepomogę! — zawołał starzec — po cóżbym przychodził gdybym pomódz niemógł.

Marta podniosła głowę i jakby jaką nadnaturalną siłą wzruszona, wstała z uszanowaniem, otarła ręką łzy co napełniały jej oczy, i stała nieporuszona nowego czekając zapytania; a starzec, jakby zwierzenie się już było umówionem, rzekł łagodnie: — słucham cię.

Oto moje zmartwienie! — zawołała Marta, pokazując ręką na córkę.

— Dla czego martwisz twą matkę? — zapytał starzec surowo.

Młoda kobieta podniosła ramiona, nic nieodpowiedziała i nawet niezmieniła pozycyi.

— Odpowiesz mi Anno? — rzekł starzec znowu.

Młoda kobieta spojrzała na niego trochę zadziwiona, zwróciła natychmiast oczy ku ziemi i rzekła:

— Daj mi pokój, niemam ci nic powiedzieć.

— Jak chcesz — odpowiedział starzec i poszedł ku drzwiom.

— Wymawia mi — zawołała spiesznie Marta, żem ją wydała za męża, którego cierpieć niemoże!

— Na cożeś ją za tego męża wydała? — zapytał starzec wracając na swoje miejsce — czyżto mało jest młodych ludzi we wsi, a twoja córka czyż niedosyć ładna, żeby zrobić mogła wybór podług swego serca?

Młoda kobieta uśmiechnęła się mimowolnie i rzuciła okiem na starca, a Marta zawołała:

— Któż to mógł przewidzieć! tak się kochali, tacy byli szczęśliwi! O czemuż się to odmieniło, lub czemu nieumarłam wprzódy!..

To rzekłszy, zaczęła szlochać niemogąc słowa przemówić.

Starzec przyzwyczajony widać do zgłębia-

nia ran serca, zdał się stanu Marty niewidzieć. Pomyślał trochę i zapytał spokojnie:

— Jak dawno ta odmiana nastąpiła?

— Widać że niebardzo dawno — odpowiedziała Marta — kiedy ja żyję jeszcze.

— Ależ przecie! — przerwał starzec zniecierpliwiony — czy myślisz że ja czas będę tracił na wyciąganiu ci z gęby słowa po słowie! Jak i kiedy to nastąpiło?

— Kilka miesięcy temu — odpowiedziała Marta przemagając z trudnością swoje poruszenie, i zatrwożona imponującym starca tonem. — Poszli razem do karczmy trzymając się za ręce jak zwykle; czekałam na nich żeby jak codzień nacieszyć się ich szczęściem przed zaśnięciem!

— Dobrze, dobrze — przerwał starzec — cóż się stało w karczmie?

— Czy ja wiem, — odpowiedziała Marta — idąc tam tak się kochali! Ale biada mnie! jakże wrócili, odwracało się jedno od drugiego, mierzyli siebie oczami jak zawzięci nieprzyjaciele, a jak przyszła godzina spoczynku, Hrycio położył się na ławie. Od tego czasu co raz się więcej niecierpieli; jak jedno wchodziło, drugie wychodziło z chaty, wreszcie córka przyszła do mnie. Niemogłam dziecka

mego odepchnąć, i widzę ją nieszczęśliwą i umrzeć niemogę!

— Powiedzże mi Anno — rzekł starzec — jaka jest waszej kłótni przyczyna?

Anna obróciła się hardo, ale, czy już była rozczulona przez narzekania swej matki, czy też widok starca sprawił i na niej takie wrażenie jak na Marcie, powstała, hardość zniknęła z jej czoła i odpowiedziała łagodnie:

— Żadnej kłótni, ojcze niebyło. Siedzieliśmy za stołem, Hrycio napił się wódki, ja tylko umoczyłam wargi w jego kieliszku, zaraz taki mi się wydał straszny, że spojrzeć na niego nie mogę!

— Czy byliście sami? — zapytał starzec.

— Sami z Małgorzatą — odpowiedziała Anna.

— Z Małgorzatą! — mruknął starzec marszcząc czoło. — Taka młoda... lecz nie... — dodał — to nie ona!.. — Potem jakby nową myślą uderzony, zapytał żywo: — Antoni, czy masz nieprzyjaciół?

— Nieprzyjaciół! — odpowiedział Antoni przeniknionym głosem — za cóżbym miał nieprzyjaciół? nikomu złegom niezrobił.

— Tylko młodej dziewczynie, — przerwał starzec — młodej dziewczynie z którą miałeś się żenić, a którą porzuciłeś dla Marty!

— Boże! — zawołał Antoni drżąc cały — Praxeda!

— Tak jest, Praxeda! Ale teraz nie czas przypominać dawne rzeczy, pójdź zawołaj mi Hrycia.

— Jakże go zawołać — rzekła Marta — czyto my wiemy gdzie on jest? i czy można mu powiedzieć żeby przyszedł?

— Jest niedaleko — rzekł starzec spokojnie — nad brzegiem rzeki, idź po niego Antoni.

Na te słowa Anna zadrżała, śmiertelna bladość pokryła jej lica, oczy wydawały nadzwyczajny przestrach.

— Jeżeli on tu przyjdzie — zawołała idąc ku drzwiom — to ja niezostanę.

— Zostaniesz! — zawołał starzec piorunującym głosem, na który wszyscy zadrżeli. — Czy chcesz walczyć ze mną? Strzeż się żeby ciebie niespotkało nieszczęście!

Anna padła drżąca na ceber, a Antoni wyszedł spełnić rozkazy starca.

Czy rozczulenie zmiękczyło było charakter Hrycia, czy pomnąc na starca, sądził że odmówienie jest niepodobnem, poszedł za Antonim. Wszedł z obłąkanym wzrokiem, twarzą pomięszaną i odwracając głowę od miejsca gdzie zwykle siadywała Anna, która w nim niezwyciężoną wzbudzała odrazę. Anna za-

drżała, twarz sobie zakryła, a jej rodzice patrzali na starca z niespokojnem i bolesnem oczekiwaniem.

— Co ci zrobiła ta kobieta? — zapytał starzec wskazując na Annę.

— Nic mi niezrobiła — odpowiedział Hrycio kwaśno i jakby mimowolnie.

— Za cóż jej nienawidzisz?

— Bo nienawidzę! zresztą co ci do tego?

— Zobaczysz — rzekł starzec biorąc do ręki kalitkę, która mu u pasa wisiała. Wyjął z niej jakiś liść suchy, który wybrał pomiędzy wielu innemi, podniósł go do ust, pomruczał jakąś modlitwę i rzucił go w ogień na kracie (o której mówiliśmy) tlejący. Dym gęsty napełnił izbę tak, że znajdujący się w niej, niewidzieli jedni drugich. Po chwili starzec odsunął żywo deszczułkę zastępującą miejsce okiennicy i dym wyszedł przez ten otwór.

— Bądźcie szczęśliwe moje dzieci! — zawołał starzec — a zły duch niechaj przepadnie!

Na ten głos Hrycio zwrócił głowę do swej żony i łza czułości błysnęła mu w oczach. Anna zdawała się z głębokiego snu przebudzić, wyciągnęła się jakby dla rozprostowania skurczonych długą spokojnością członków, przetarła oczy i spostrzegłszy Hrycia, który na nią patrzał, wyciągnęła ręce ku niemu; on

skoczył do niej i przycisnął ją do serca, a Marta tymczasem przywoływała na starca błogosławieństwo Boskie.

— Obiecałem wam, — rzekł starzec — gościnność wasza wynagrodzona, jednak to niebył główny cel mego przybycia. Chcę was ostrzedz, że wielkie nieszczęście wisi nad wami.

— Jeszcze! — zawołały obiedwie kobiety, Marta patrząc na starca, a Anna zarzucając ręce na szyję Hrycia, jakby szukając odpowiedzi w jego oczach czule na nią zwróconych, i w których malowała się pogarda dla jakiegokolwiek nieszczęścia od chwili ich pogodzenia.

— Jeszcze! — odpowiedział starzec — ale innego rodzaju; to co zrobiłem już się nieodmieni.

— Mniejsza o resztę! — zawołała Anna.

— Mniejsza? — przerwał starzec — czyż to ja dla małej rzeczy bym przyszedł?

Młoda kobieta zmięszała się, a starzec dodał: — trzeba ci będzie odwagi, czy będziesz ją miała dla twojego męża?

— Czy będę ją miała, i dla niego? — zawołała obrażona prawie Anna — któż o tem śmie wątpić?

— Dobrze, — rzekł starzec — pamiętajcież moje słowa — i dalej zwolna mówił: — jak

przyjdzie na was nieszczęście, jak będziecie potrzebowali pomocy, przyjdźcie do mnie, a doświadczycie przyjaźni starego Benedykta.

Na to imie wszyscy osłupieli, zadziwienie odmalowało się na twarzach, i wszyscy jakby niewidomą jaką siłą popchnięci, razem padli do nóg Benedykta.

Bo Benedykt był znachor, nie z tych znachorow co tylko psoty wyrządzać umieją, ale znachor z urodzenia. Miał dar przewidywać przyszłość i nadnaturalne rzeczy robić. Uważany był w okolicy jak opiekuńczy gieniusz, który na dobre tylko swojej potęgi używał; wynajdował bydlęta lub rzeczy skradzione, niweczył szkodliwe czary, ostrzegał o nieszczęściach i dawał ratowania się sposoby. Można jego opieka uwalniała na zawsze młodą parę od wpływu Praxedy, to też jak tylko się nazwał, jęk bolesny dał się słyszeć przy oknie, i jakaś młoda dziewczyna uciekała przelękniona.

— Biedna Małgorzata! — rzekł starzec.

— Marta podniosła głowę, znachora już niebyło. W tej chwili drzwi chaty otworzyły się gwałtownie, trzech silnych chłopów rzuciło się na Hrycia, związali mu ręce i poprowadzili pomimo oporu i krzyku obudwóch kobiet.

Jak znikli, Anna nagle się uspokoiła, rzekłbyś, albo że upadła pod ciężarem nieszczęścia które się na nią zwaliło, albo że heroiczną odwagą natchniona, coś wielkiego przedsięwzięła. — Otóż to jest przepowiedziane nieszczęście, — rzekła spokojnie, i po chwili wyskoczywszy z domu, pobiegła za mężem.

4.

Była to właśnie niedziela. Ekonomowie z wiosek należących do klucza Rałowskiego zjechali się do Komissarza, na tak nazwaną sessyą, dla zdania tygodniowych raportów i wzięcia rozkazów. Dziesiętnicy, sotnicy, gumienni z karbami stali w jednym rogu izby, a w drugim zebrali się chłopi, co przyszli z rozmaitemi interesami. Komissarz siedział na środku pokoju za dużym stołem, przed nim leżały księgi ekonomów, którzy czekając na zaczęcie sessyi, szeptali sobie do ucha opodal stołu.

W tem drzwi się otworzyły i wszedł parobek mocno zapylony i zbryzgany błotem— widać było że z dalekiej przybywa podróży.

— Zkąd człowiek? — zapytał Komissarz.

— Z Łucka panie — odpowiedział posłaniec wyciągając list z zanadrza.

— Panie Wasylewski! — rzekł Komissarz do stojącego najbliżej drzwi ekonoma — daj mi też list.

Ekonom wziął pismo, spojrzał na adres i rozśmiał się.

— Cóż tam śmiesznego?

— Zaadresowano — odpowiedział Wasylewski — do Jaśnie Wielmożnej Administracyi Rałowskiej, Jaśnie Wielmożnej Pani i najosobliwszej Dobrodziejki.

— Widać panie Wasylewski — rzekł Komissarz — żeś przybył niedawno, inaczej poznałbyś był po adresie, że to od oddawczyka Zelskiego. Przeczytaj! a wy oddalcie się dzieci — dodał obracając się do chłopów.

Chłopi wyszli, Wasylewski rozpieczętował pismo i zaczął czytać:

„Jaśnie Wielmożna Administracyo, najosobliwsza Dobrodziejko!"

„Niech to wszyscy djabli wezmą! Moszko, Wicegubernator, Czlen i Doktor — a co gorsza, że ludzi zbrakowali i jeszcze trzeba 150 rubli od jednego — a nie! to drugich zbrakują. Jechać do Żytomierza, to gorzej. Proszę więc o rezolucyą, i mam honor zostawać z największą niecierpliwością i desperacyą Jaśnie Wielmożnej Pani i najosobliwszej Dobrodziejki, smutnym i najniższym sługą — Zelski."

Ekonomowie w głos śmiać się zaczęli, Komissarz sam tylko zachował powagę.

— Śmieszne to, — rzekł — ale Zelski ma racyą: niech to djabli wezmą! Sessyą na jutro odłożemy, teraz niech każdy jedzie do swego folwarku i pobierze nowych rekrutów, nim się chłopi dowiedzą.

Ekonomowie wyszli co tchu, powskakiwali w niewyprzężone jeszcze wózki i odjechali, a Komissarz sam zostawszy z ekonomem miejscowym, począł się naradzać kogo wziąść będzie można. Z tej narady wypadło, że między innemi Hrycio, jako zupełnie niedbały i niemający dzieci, pójdzie w rekruty. Jak tylko więc noc nadeszła porwano go, jakeśmy to widzieli w poprzedzającym rozdziale.

Noc była ciemna, ale zdaleka słychać było stąpanie oddalających się chłopów. Anna więc posłuchawszy cokolwiek, pobiegła w tę stronę. Już się zbliżała, już widzieć mogła zdaleka ciemną grupę za którą dążyła, zbliżającą się do domu gdzie zwykle zamykano rekrutów. Drzwi zaskrzypiały i po chwili stuknęły jakby gwałtownie zamknięte. Hrycio wszedł był do więzienia! W tym momencie niedaleko na stronie krzyknięto, i ktoś żywo biegł ku Annie.

— Kto tam? — zawołała Anna.

— To ty Anno! O! zabij mię albo przebacz! Ja winnam wszystkiemu!

To mówiąc Małgorzata, padła u nóg Anny.

— Nie czas tobie żałować — rzekła Anna — a mnie robić wymówek; daj mi pokój!

— Nie odpychaj mnie Anno! żebyś wiedziała od jak dawna ja cierpię! Gdybyś wiedziała jak przeklinam ten moment, kiedy niemiałam odwagi oprzeć się Praxedzie, tobyś miała litość nademną.

Łzy gorzkie przerywały jej mowę, a głos tak wydawał szczerość żalu, że Anna wzruszoną została.

— Czegoż chcesz odemnie? — rzekła — przebaczam, więcej zrobić niemogę.

— O! wiele możesz! — odpowiedziała Małgorzata, całując i oblewając łzami ręce Anny — pozwól mi razem z tobą czuwać nad nim, razem z tobą starać się aby go uratować.

— Biedna dziewczyna! — mruknęła Anna.

— To myślisz — zawołała Małgorzata — że go jeszcze kocham? nie bój się, zgryzota wygnała wszystkie inne z serca mojego uczucia. Przewiniłam i chcę postępek mój naprawić. Niech tylko będzie wolny, niech tylko zobaczę że znowu jesteście szczęśliwi, więcej mi niepotrzeba.

Mówiła z tą prawdziwą wymową, którą serce obdarza i która trafia do serca.

— Pójdź więc, — odpowiedziała Anna — nateraz dosyć nam wiedzieć to, że w rekruty go wzięto i gdzie się znajduje, resztę znachor nam powie.

Pogodzone nieszczęściem młode kobiety, uściskały się jakby dawne przyjaciółki, wzięły się za ręce i jedna drugiej dodając odwagi zwróciły ku lasowi, przez który szła droga prowadząca do znachora.

Nazajutrz troje młodych ludzi około jedenastej w nocy wychodzili z Babki. Naprzód szły dwie kobiety, a za niemi przystojny parobek z rydlem na ramieniu. Kobiety drżały, czasami jakby dreszcz po nich przechodził, a parobek miał tę postać poważnie zamyśloną, którą zwykle nadaje zbliżający się moment wykonania niepospolitego przedsięwzięcia. Szli czas niejaki, jedną razą obie kobiety mocno się wstrzęsły i mimowolnie stanęły.

— Co to jest? — zapytał Sawka (tak się zwał idący z niemi parobek).

Małgorzata wskazała na lewo, wszyscy oczy zwrócili w tę stronę, ale nic więcej widać niebyło jak czerniący się wysoki krucyfix, a w koło niego bielące się u dołu kamienne krzyże.

— I czegóż się dziwicie? — rzekł Sawka — wszak do cmentarza idziemy, wiedziałyście że on tutaj.

— Prawda — rzekła Małgorzata żegnając się — o mój Boże!

— Małgorzato, kto inny byłby za tobą nieposzedł, — rzekł znowu Sawka — jeżeli ma być nieszczęście, to na mnie spadnie najpierwej. Ale chciałaś, niech się dzieje wola Boża!

Małgorzata zwróciła oczy na Sawkę i zaraz je odwiodła, ale w tem przelotnem spojrzeniu widać było zadziwienie, że tak przystojny, że ją tak szczerze kocha i od tak dawna, a że ona tego dotąd niepostrzegła, i jakby żal za tak wielką wyrządzoną mu niesprawiedliwość. Było to ziarno czułości wrzucone w jej serce; lecz obecne położenie niedało mu się rozwinąć. — Anno — rzekła — chodźmy! — Wszystko troje przeżegnali się trzy razy i poszli: Sawka z smutną determinacyą, Anna z bojaźliwą niecierpliwością, a Małgorzata śmiało i niewiedząc sama przyczyny tej śmiałości, to jest niewiedząc, że Sawka zajął w jej sercu miejsce Hrycia, i że przy nim niczego bać się niemoże.

Weszli na cmentarz, Sawka spuścił rydel na ziemię, a odgłos ten zdał się odbić w sercach młodych kobiet, bo razem padły na kolana i zaczęły się modlić. Po chwili wstały, i nieśmiało postępując, zdały się szukać miejsca które im było opisane. Nareszcie zatrzymały się, zawołały Sawki i wszyscy troje uklękli przy jednej mogile.

Widać stosownie do poleceń znachora Anna zaczęła nucić na ton żałobny i bijąc się w piersi:

O! przebaczcie straszne cienie,
Święte stróże tej mogiły,
Miejcie wzgląd na to cierpienie,
Co przechodzi moje siły.

A Małgorzata i Sawka dodali razem:

Przebaczcie jej święte cienie,
Miejcie wzgląd na jej cierpienie!

ANNA.

Niech cię boleść moja wzruszy,
Nieśmiertelny wielki Panie!
Niechciej karać mojej duszy,
Racz usłyszeć me wołanie!

CHÓR.

Nieśmiertelny wielki panie!
Racz usłyszeć jej wołanie!

Tu wstali i Sawka zaczął rozkopywać mogiłę. W miarę jak się zmniejszała, odwaga młodych kobiet zaczęła także się zmniejszać. Drżały jak liście i przysunęły się jedna do

drugiej, jakby dla stawienia silniejszego oporu, na wszelki przypadek. W tem rydel stuknął w trumnę, Sawka się cofnął, a kobiety jakby zmysły straciwszy zaczęły mruczeć: — O! przebaczcie święte cienie — i żegnać się. Najpierwej Sawka przyszedł do siebie. — Niech się dzieje wola Boża! — zawołał, skoczył w dół wykopany, oderwał na wpół zbutwiałe wieko trumny i odkrył leżący w niej szkielet.

— Teraz na ciebie kolej! — rzekł do Anny, lecz ta się nieruszała. — Pomnij na nieszczęście Hrycia, — dodał — jutro już będzie za późno!

— O! chodź, — zawołała Małgorzata, składając ręce — wszak słyszysz, jutro już będzie za późno! — a widząc że Anna się nierusza, dodała z niecierpliwością: — o czemuż ja tego zrobić niemogę! czemuż koniecznie tobie znachor to przykazał!

Niesłusznie Annę posądzili o bojaźń, modliła się nie o nadanie odwagi, ale o to, aby jej zamysł szczęśliwie się powiódł; to też skończywszy modlitwę, obrażona prawie rzekła do Małgorzaty:

— Nic byś lepszego niezrobiła, i ja umiem kochać, a tylko niezapominam, że Bóg z tym, kto z Bogiem. Teraz jużem spokojna, zróbmy więc co przykazał znachor.

Na to znowu wszyscy uklękli, Anna zaczęła się bić w piersi i zanuciła melancholicznym tonem:

Duszo święta! coś te kości
Ożywiała na tym świecie,
Nie odmawiaj swej litości
Błagającej cię kobiecie.
Wszak nieprzyszłam jak przeklęta,
Gwałcić groby przez swawolę;
Więc mię nie karz duszo święta,
Lecz chciej skrócić mą niedolę.

Wszyscy za nią powtórzyli:

Wszak nieprzyszła przez swawolę,
Chciej więc skrócić jej niedolę.

Potem spiesznie Anna spuściła się do trumny, jeszcze modliła się chwilę nad szkieletem, nakoniec jakby ostatnich sił dobywając, wzięła oburącz palec jego lewej ręki, ułamała go, wyskoczyła z grobu i padła.

— Uwolnisz Hrycia! — krzyknął jej do ucha Sawka.

To imie zdało się ją otrzeźwić, siadła, ale na nogi stanąć niemogła. Małgorzata usiadła przy niej aby ją utrzymywać, a Sawka przykrył trumnę i zaczął przysypywać ją ziemią. Nim skończył, Anna przyszła do siebie, wstała i wszyscy troje milcząc wrócili do domów.

Nazajutrz jak tylko dnieć zaczynało, obie młode kobiety już były przy drzwiach domu w którym był Hrycio zamknięty. Lecz jakież było ich zadziwienie, kiedy zobaczyły Sawkę na straży. Sawka byłby niechciał i niemógł odmówić wejścia Annie, gdyż tej pociechy przynajmniej nieodmawiano nieszczęśliwym w Rałówce, ale ucieczkę Hrycia chciał na inną godzinę odłożyć, jak kto miejsce jego zastąpi, lecz później ludzie zaczęliby chodzić po ulicy i ucieczka byłaby prawie niepodobną. Młode kobiety mrugnęły więc na siebie i zrozumiały się — Anna weszła do więzienia, a Małgorzata została z Sawką.

W dużej izbie ze dwudziestu ludzi siedzieli na słomie, a nogi ich pozamykane były w dyby. Jak weszła Anna, zwrócili na nią głowy, żaden jej nie powitał i znowu do dawnej wrócili pozycyi, jak ludzie których już nic nieobchodzi. Hrycio wyciągnął do niej ręce, ona rzuciła się w jego objęcia, dała mu jakiś papierek i szepnęła do ucha, aby go niewypuszczał z ręki, potem zbliżyła się do pieca i wrzuciła w ogień palec szkieleta. Niewyszło kilka minut, wszystkie głowy zaczęły się schylać, gdzie niegdzie dało się słyszeć chrapanie, nareszcie wszyscy twardym snem zasnęli. Hrycio tylko niespał i ciągle o niczem

niewiedząc z Anną rozmawiał; ona rzuciwszy pilnem okiem na śpiących, zbliżyła się do drzwi i lekko zastukała, potem wróciła do Hrycia, rozbiła jego dyby i razem oboje stanęli przy drzwiach. Przez ten czas Sawka widząc Małgorzatę przychylniejszą, zbliżył się do niej.

— O! czemuż — rzekł — niechciałaś pójść za mnie, ja ciebie tak szczerze, tak stale kocham!

— Niewierzę ja — odpowiedziała Małgorzata — wy wszyscy tak kochacie jak chcecie biedną dziewczynę obałamucić, a potem?

— O Małgorzato! czyż ty mnie jeszcze nie wierzysz? czyż ja dla ciebie niepopełniłem świętokradztwa?

— Słuchaj Sawku, jeźli mnie szczerze kochasz, to pójdę za ciebie, ale mi trzeba dowodu.

— Dowodu, mów jakiego?

— Trzeba Hrycia wypuścić.

Sawka stanął oniemiały. — Czy wiesz — rzekł — co mnie czeka? mogą mnie wziąść na jego miejsce.

— Jesteś wolny i możesz uciec, jeźli to zrobisz, pójdę za ciebie; ale ty mnie niekochasz.

— Ja ciebie niekocham! — rzekł wzruszony Sawka — a jak mi potem odmówisz?

— Niechaj mnie Bóg opuści, jeżeli ciebie opuszczę — rzekła poważnie Małgorzata głaskając go po twarzy.

— Niech się dzieje wola Boża! — zawołał uszczęśliwiony Sawka.

Małgorzata klasnęła w dłonie, drzwi się otworzyły, Hrycio i Anna wyszli. Po krótkiej naradzie Hrycio przyrzekł, że niepowie nigdy o której godzinie uciekł, i tak uspokoiwszy Sawkę, ruszył do lasu, a obie kobiety poszły do domu. Tymczasem kilka wart zmieniono; ekonom ledwo około południa przyjechał, a lubo Hrycia niezastał, niemógł wiedzieć kto był na warcie kiedy uciekł. Rekrutów wysłano, oddawczyk tą razą zapłacił i oddał ich.

Z jego powrotem przeszło niebezpieczeństwo i Hrycio wrócił do domu. Ale w dni kilka przyjechał Asessor z oświadczeniem, że w skutek doniesienia od kobiety zwanej Praxeda, że w Babce pogwałcono groby, ma zrobić śledztwo dla wykrycia winnych i odesłania ich na Sybir. Rzecz ta nadto była ważna, żeby mogła niedojść do dziedzica. Doniesienie Praxedy wymieniało osoby, kazał więc przyprowadzić Hrycia, Annę, Małgorzatę i Sawkę. Ci padli mu do nóg i wszystko szczerze wyznali. Asessor uznawszy że donos fałszywy, odjechał z pięciuset rublami, a wkrótce potem

Anna i Hrycio serdecznie wycinali hołubca na weselu Sawki z Małgorzatą.

Dziedzic rozkazał wypędzić Praxedę. Posłano do niej, ale chata była zawalona i ludzie mówili, że dnia tego około północy, widzieli coś czarnego przelatującego po nad Babką na miotle.

Przekonałem się, że w samej rzeczy nic tak nieskraca drogi jak czytanie. Rękopis Filipa tak mnie zajął, że zdziwiłem się jak Piotr zawołał: — ot panie, Widzieniec! — Wolałbym był żeby jeszcze z ćwierć mili było drogi, bo kilka stronnic zostało mi do czytania; ale już byliśmy pod bramą, schowałem więc notatki i zajechaliśmy przed ganek.

Pan Hrabia Krycki uwiadomiony o mojem przybyciu, przygotował się widać do przyjęcia mnie, bo dziedziniec był zamieciony, niektóre szyby w oknach starego domu do lamusa podobnego, świeżo białym papierem pozaklejane, sama nakoniec Hrabina lubo jeszcze było rano, ubrana już siedziała w salonie. Była to kobieta przystojna, i znać było, że dawniej przywykła była do dobrego towarzystwa. Zresztą czasami można było do-

strzedz, że pożycie z człowiekiem bardzo ograniczonym, zaczęło na nią wpływać.

— Wczoraj — rzekła — spodziewaliśmy się pana.

— Byłbym przyjechał — odpowiedziałem — gdyby można było jechać na trzech kołach.

— Ohn! — zawołał pan Krycki — to pewnie Pirrelowa kazała zdjąć koło. A dobrze się pan bawił?

— Bardzo dobrze, pan Pirrel jest człowiek miły i oświecony. Ona sama....

— Prawda, prawda — przerwał Krycki — a coto za Lapończyk.

— Lapończyk? — zawołałem.

— Czyżto pan nieuważał? czasem jedno słowo powie, a utnie jak siekierą.

— Prawda — odpowiedziałem — ale dla czegoż ma być Lapończyk?

— To pan niesłyszał o tych ludziach coto mało gadali, i dla tego nazywano ich Lapończykami.

Domyśliłem się po tych słowach co chce powiedzieć pan Hrabia i rzekłem: — to pan chce mówić lakoniczny?

— Czy tam lakoniczny! — odpowiedział Hrabia — to na jedno wychodzi.

Hrabina uśmiechnęła się i chciała sama zacząć rozmowę, ale Krycki wciąż paplał.

— Dawno pan przyjechał? — zapytał.

— Od kilku dni dopiero — odpowiedziałem.

— To piękny majątek, to panie wieki składały; trzydzieści wsi i miasteczko w kupie, to nie żarty! Ale to widzę pana niezajmuje, pan pewnie woli literaturę?

— Bardzo lubię literaturę, ale...

— To pan musiał wiele czytać?

— Dosyć czytałem.

— Proszę pana, wiele też jest książek?

— Dotąd bardzo małą mam bibliotekę.

— Ale ja pytam, wiele na świecie jest książek?

Myślałem że ze mnie żartuje, ale taką miał minę naturalną, że niepodobna było wątpić, iż bardzo szczerze pyta. Zdziwiony, nieznalazłem nic innego odpowiedzieć jak to, że niewiem.

— Ale gdzietam! jakby to pan niewiedział. To niech mi pan przynajmniej powie, jaka jest najlepsza książka?

— Kucharz doskonały — odpowiedziałem poważnie.

— Ale bez żartu!

— Bez żartu.

Widziałem że Hrabina cierpi słysząc tę rozmowę; postrzegłszy przeto fortepian, zapytałem czy grywa, i prosiłem żeby się dała

słyszeć. Wstała natychmiast, siadła przy fortepianie i zaczęła grać wcale nie źle. Mąż jej tymczasem bębnił palcami po stole, nareszcie zawołał z niecierpliwością:

— Nie nudź waspani pana Grafa, cotam to brząkanie; ot lepiej co zaśpiewaj.

Hrabina byłaby skakała raczej, niż pozwoliła na dłuższą mądrą rozmowę Hrabiego, natychmiast przeto nic nieodpowiedziawszy, wzięła nóty i zaczęła śpiewać. Głos jej był miły, sztuki niewiele, ale można było z przyjemnością ją słyszeć. Zaledwo skończyła, Hrabia zerwał się z kanapy i zawołał:

— Pan może myśli, że i ja nieumiem śpiewać, a nawet po włosku!

I to powiedziawszy zaczął fałszywym głosem beczeć:

Selery, pory,
Kalafiory,
A któż nieprzyzna,
Że to włoszczyzna.

Śmiałem się szczerze, gdyż nigdy jeszcze takiego oryginała niewidziałem.

— Ale ale! — zawołał Hrabia — dobrze pan trafił, właśnie wczoraj przyjąłem Włocha. Hej! — zawołał.

Wszedł lokaj.

— W moment potem przyszedł człowiek

obdarty, brudny, widać było że długo nędznie wędrował, i zdało mi się, że jak wiele innych cudzoziemców, przyszedł do nas szukać jakiegokolwiek losu, niemając żadnego u siebie. Pan Hrabia przyjął go dla tego tylko że Włoch, ale nieumiał wytłómaczyć mu jaka ma być jego funkcya, a Włoch też niebardzo się dopytywał, bo rad był że znalazł kąt ciepły i obiad. Jak tylko wszedł, Hrabia rzekł do niego:

— Śpiewaj waspan.

Włoch wytrzeszczył oczy.

— A cóż niesłyszysz? Spiewaj waspan!

Włoch trząsł głową.

Hrabia zniecierpliwiony, zawołał z gniewem:

— Oto osioł! nic nierozumie. Niech pan jemu powie żeby śpiewał.

Obróciłem się więc do Włocha i powiedziałem mu żądanie Hrabiego. Słysząc swój język Włoch, podskoczył z radości i zaczął gadać tak prędko, z takiemi gestami, że widać było iż od dawna niemiał tej przyjemności. Hrabia słuchał nas przez czas jakiś, nareszcie zapytał:

— Proszę pana, czy to po włosku?

— Po włosku — odpowiedziałem.

— Nigdym niesłyszał — rzekł Hrabia — jaki język, ani słowa zrozumieć niemożna. Niechno pan jeszcze zagada.

Wdałem się więc z Włochem w rozmowę, z której się dowiedziałem, że żąda jakiejkolwiek służby, bo niema z czego żyć. Został był ranny po ostatniej kampanji Napoleona, niemiał się o czem dostać do domu, i chciał służyć, zarobić sobie cokolwiek (jak to już mu się parę razy udało), żeby przybliżyć się do swojej ojczyzny. Przystawał na służbę, uzbierawszy cokolwiek grosza, ujechał tyle mil na ile mu wystarczyło, i znowu przyjmował służbę; tym sposobem od Moskwy dostał się był aż do do Hrabiego Kryckiego. — Hrabia słuchał z początku ciekawie, lecz ponieważ ani słowa nierozumiał, zniecierpliwił się i przerwał naszą rozmowę.

— Niech pan będzie łaskaw — rzekł — powie mu żeby śpiewał, bo ja go na to przyjąłem.

Powtórzyłem żądanie Hrabiego, ale Włoch odpowiedział, że nigdy nieśpiewał. Oznajmiłem tę smutną wiadomość Hrabiemu, co go w wielki gniew wprowadziło.

— Czegoż ty gałganie zwodzisz! — zawołał.

— Jakto? — przerwałem — czy mówił że umie śpiewać?

— Nie, ale powiedział że Italiener.

— On Włoch w samej rzeczy.

— Co mnie pan gada! co to ja niewiem. Jaki on Włoch kiedy nieśpiewa? Idź precz łotrze! — dodał drzwi otwierając.

Włoch przelękniony wyszedł, a pan Hrabia mocno rozżalony, zaczął się rozwodzić obszernie nad złą wiarą i oszukaństwem Włochów. Jakkolwiek z początku bawiła mnie pocieszna oryginalność Hrabiego, wkrótce jednak mocno się znudziłem, i jużem myślał jakby się wymknąć, kiedy mały jakiś wózek zajechał na dziedziniec i wkrótce potem wszedł do pokoju człowiek pękaty i nizki; pod brodą wisiała mu wola, ledwo nie tak wielka jak głowa. Ukłonił się Hrabinie, a Hrabia zawołał:

— Prezentuję panu mego sąsiada, pana Wojskiego Ryńskiego. Cóż tam panie Wojski, co słychać?

Pan Wojski potrząsł głową i rzekł: — Co tu do nas dojdzie, taki kąt zapadły; jednakże przyjechał tu jeden z Warszawy i powiada, że Wielki Książe dał mundury sekretnej policyi.

— Słyszałem — odpowiedział Hrabia — jakieś sieraczkowe; a Leopold powrócił?

— A powrócił, wolałby był niejeździć. Trzysta rubli srebrnych mnie kosztował, a wie tyle jakby z domu niewyjeżdżał.

— Leopold — rzekł do mnie Hrabia — jest syn pana Wojskiego i jeździł teraz na wo-

jaż do Warszawy. Jakże — dodał obracając się do Wojskiego — i nic nie wie?

— Jak w rogu! — odpowiedział Wojski — pytam go o łatwe rzeczy, co to każdy powinien wiedzieć, na wszystko niewiem papo, a tymczasem moje woły poszły na wojaż.

— Może mu pan — rzekłem — takie zadawałeś pytania, których w samej rzeczy nie mógł rozwiązać?

— Gdzie tam! Pytam jak Wielki Książe nazywa Cesarza, kiedy gadają sam na sam? powiada niewiem. Myślę sobie, młody człowiek mógł co i prześlepić, bo widzi pan, ojciec zawsze ojcem i rad syna wyexkuzować, tak znowuż mówię: wieleż jest dorożek w Warszawie? a on mi znowu, niewiem. A pocóżeś głupcze jeździł? Ot biada, biada z młodemi!

To rzekłszy pan Wojski potarł sobie czoło, a Hrabia rzekł:

— At, co tam o tem, dawno pan byłeś na polowaniu?

— A byłem wczoraj, ale niech to djabli wezmą!

— Cóż takiego?

— Takem się nastraszył, jak nigdy.

— Czegóż?

— WR... Pobereżnicy *) postawiali budki na cietrzewie niedaleko mojej granicy. Ja myślę sobie: dziedzic może nie prędko przyjedzie, może i nielubi polowania, cotam że ja jakiego cietrzewia zabiję. Tak przededniem siadłem na szpaczka, niedaleko budek przywiązałem go, a sam skradam się. Przychodzę do jednej budki, rozgarniam chwast żeby wleźć we środek, już wsadzam głowę, aż w budzie słyszę: — a kiedy? — Myślę sobie czy żmija, czy co, tak nazad do szpaczka i dalej do domu.

Zacząłem śmiać się do rozpuku, Hrabia tymczasem szepnął coś w ucho Wojskiemu, ten uderzył się w czoło, mruknął: — tam do djabła! — i zbliżył się do mnie:

— Przepraszam pana Grafa — rzekł — że na pańskim gruncie chciałem polować, ale bo...

— Niema nic złego — przerwałem, i zaprosiłem go na polowanie, za co mi serdecznie podziękował.

Tak doczekaliśmy się obiadu. Ja miałem zaraz po obiedzie odjechać, wnet więc podano herbatę. Naprożno usiłowałem wyprosić się, połknąłem ją przeto krzywiąc się, gdyż trąciła siankiem, jednakże widziałem moment w którym będę musiał połknąć i drugą fili-

*) Strażnicy leśni.

żankę, ale na szczęście pan Hrabia nalał sobie soku Wiśniowego do swojej filiżanki, i czyto przez menaż, czy przez łakomstwo oblizał szyjkę butelki, przy której wisiała kropla soku. To zobaczywszy, a także z sokiem pijąc herbatę, postanowiłem nie dać się uprosić, i w parę godzin potem przybyłem do domu.

VI.

Dosyć zmęczony moją włóczęgą, byłbym rad w domu odpoczął, ale w takim razie niepodobna było niewejrzeć w gospodarstwo. Sokulski jeszcze niepowrócił, niewiedziałem od czego zacząć, postanowiłem przeto ruszyć w drugą stronę i oddając wizyty, doczekać powrotu Sokulskiego. Poleciłem więc, żeby nazajutrz pojazd był gotów do Kaszków. Wizyty które oddawałem dotąd, były z tej strony rzeki S... od której przyjechałem, i jakotako można było jeździć koczem, ale Kaszki były z drugiej strony rzeki; Piotr ostrzegł mnie, że kocz pewnie się połamie i radził jechać wózkiem. Wsiadłem więc do wózka tak małego, że Piotr prawie był na moich kolanach, i ruszyłem o ósmej z rana. Przez parę

godzin zdało mi się, że w samej rzeczy wygodniej jechać wózkiem niźli koczem, gdyż nie tak gwałtownie rzucany byłem na boki, ale wkrótce suche podrzucanie wózka tak mnie zbiło, że dłużej wytrzymać niemogłem, i rozpytawszy się Piotra o drogę, poszedłem naprzód piechotą. Uszedłem był może z pół mili, kiedy las zaczął się przerzadzać, zobaczyłem pole, a za niem miasteczko. Nadzieja spoczynku dodała mi siły, przeszedłem dosyć żwawo przestrzeń która mnie od miasteczka przedzielała i wszedłem na most długi, dwa skręty S... obejmujący.

— Jak się zowie to miasteczko? — zapytałem chłopa który stał na moście i patrzał na wodę, jakby tam spodziewał się coś nadzwyczajnego zobaczyć.

Spojrzał na mnie zdziwiony że można niewiedzieć jak się zowie to miasteczko, i zawołał:

— Pan niepoznał, tożto panie Koski!

— A tam kto mieszka? — zapytałem znowu pokazując mały, czysty domek na prawo za mostem.

— To doktor Grabski, panie.

Poszedłem więc ku domkowi z zamiarem odpoczęcia w nim, póki mój wózek nienadciągnie. Zbliżyłem się do drzwi, stuknąłem,

nikt nieodpowiedział; stuknąłem znowu, milczenie. Myślałem zrazu że niema nikogo, ale okiennice poodmykane i dym z komina wychodzący, zdawały się dowodzić, że dom nie pusty. Zacząłem więc znowu stukać i wkrótce usłyszałem suwanie i klapanie, jak gdyby ktoś zbliżał się w pantoflach. Drzwi się uchyliły i pokazała się kobieta zaledwo okryta jakimś płaszczykiem, nagle widać na plecy wrzuconym. Nogi bose, bujały w ogromnych męzkich pantoflach, a nocny czepek na bakier skręcony, dowodził że nagle i w tym momencie zerwała się z łóżka. Postrzegłszy dobrze ubranego nieznajomego człowieka, zmięszała się, ścisnęła płaszczyk pod szyją i rzekła mocno zaczerwieniawszy:

— Przepraszam pana, że się prezentuję tak oklep!

To rzekłszy pobiegła nazad, a że drzwi zostawiła otwarte, więc wszedłem do sieni. Drzwi na prawo były tylko przymknięte, za niemi usłyszałem głos tej samej kobiety:

— Proszę pana tutaj, zaraz będę służyć!

Wszedłem więc do czystego saloniku i zasiadłem na kanapie, czekając powrotu jak się zdawało gospodyni.

Nie trudno było po tem pierwszem spotkaniu widzieć, że w rozmowie sadziła się na

wyszukiwanie osobliwszych wyrazów, to mi obiecywało chwilkę wesołą i z niecierpliwością jej czekałem Wkrótce pokazała się moja gospodyni. Na głowie miała ogromny czepiec czerwoną wstążką opasany, szlafroczek z perkaliku dziwnie w zygzaki pomalowanego, pończochy niegdyś białe i ogromne trzewiki z szarej skóry. Zdziwiłem się, że się tak prędko ubrała, ale wkrótce zadziwienie moje przeszło, gdyż postrzegłem że opuściła była w swojej toalecie rzeczy mniej potrzebne, to jest umywanie i czesanie głowy.

— Czy zastaję pana Grabskiego? — zapytałem.

— Niema mego męża, — odpowiedziała — co dzień tak hasa od chorego do chorego, że i ja go mało widuję.

— Czy pani pozwoli mi moment odpocząć, póki nienadejdzie mój wózek?

— I owszem, a zkąd pan?

— Z R....

— A dokąd pan jedzie?

— Do Kaszek.

— Do pani Marszałkowej Kopińskiej?

— Tak jest.

— A ztamtąd znowu do R.... A cóż czy niezgadłam?

— Niewiem.

— To pan dziedzic R...?

— Tak jest.

— Jakże mój mąż będzie żałował! Niechże pan siada. Czy niemożna będzie czem służyć? — To mówiąc strzepnęła chustką kurz ze stolika. — To przecie pan przyjechał! Oto pani Marszałkowa będzie pląsać jak pana zobaczy; ona taka ciekawa!

Bóg wie jak długo trwałaby była jeszcze taka rozmowa, ale widząc że pani Grabska z affektacyą co raz na siebie spogląda, uczułem konieczną potrzebę powiedzieć jej co o toalecie.

— Co za prześliczny perkalik! — rzekłem.

— Ładny, bo to proszę pana jak ja patrzę na ten daseń, to mi się zdaje że świeci księżyc, a ja sobie siadam na czółno i płyniemy z Teodorem, a tu ryby skaczą, a ja sobie myślę, a tu słowik śpiewa, a ja wtóruję, a tu....

Myślałem że dostała manji i chciałem zmienić rozmowę, ale tak byłem zdumiony, że mi nic nowego do myśli nieprzyszło, i mimowolnie znowu o tem samem zacząłem.

— I to — rzekłem pokazując kanapę — ładny perkalik.

Pani Grabska skrzywiła się, podniosła ramiona i odpowiedziała: — Taki to i perkalik, jak wilk zmokły pod dębem!

Kiedy to mówiła, dał się słyszeć turkot i wózek mój pokazał się przed domem. Zastukałem w okno, Piotr postrzegłszy mnie zajechał przed ganek, pożegnałem panią Grabską i obiecawszy zajechać do niej wracając, ruszyłem do Kaszek.

Z drugiej strony Kosków jest grobla z ćwierć mili długa, i obyczajem poleskim nigdy albo bardzo rzadko naprawiana. Z trudnością wlókłem się po niej, bo mój wózek jakkolwiek lekki, po osie w błoto zapadał i konie wyżej kolan grzęzły. Piotr właśnie robił mi uwagę, żem dobrze zrobił słuchając jego rady i biorąc wózek, kiedyśmy spostrzegli o paręset kroków przed nami pochylony pojazd. W miarę jakeśmy się zbliżali, poznaliśmy kocz prawie wywrócony ze złamanem kołem. Furman po kolana stojąc w błocie, wyprzęgał konie, klnąc groblę i dziedzica; koło niego uwijał się mały kozaczek w granatowych szarawarkach i pąsowym kaftaniczku, zielonym pasem opasany, a na brzegu grobli dwóch dobrze ubranych ludzi, rozmawiali żywo, co raz to na pojazd, to na groblę pokazując. Jeden z tych panów, cienki, miernego wzrostu podskakiwał z niecierpliwością; drugi otyły, wysoki zdawał się go uspokajać. Przybliżywszy się o kilkadziesiąt kroków, poznałem w tym

drugim panu dobrego znajomego. Był to niejaki Xawery M..., widywałem go był w Kijowie i lubiłem jego towarzystwo. Wesoły, mówiący często nadzwyczajnym sposobem bardziej dla śmiechu niż przez affektacyą; dowcipny, pisywał ładne wierszyki, a szczególniej sławny był z trafnych i wybornych odpowiedzi. Wyskoczyłem z wózka i zapytałem zdziwiony:

— Co tu robisz?

— A cóż, — odpowiedział — siedziałem spokojnie w domu, ale temu panu zachciało się żenić i wiezie mię w swaty.

— Daleko?

— Mila ztąd, ale Bóg wie kiedy dojedziemy. — To mówiąc nakładał lulkę i zawołał: — Iwan! knadzieży prometeusza!

Kozaczek pobiegł do kocza, dobył krzesiwko i zapaliwszy kawałek hubki, przyniósł ją do lulki. Przez ten czas drugi podróżny kręcił się około kocza, podskoczył z niecierpliwością i zbliżywszy się do nas, zawołał rozżalonym głosem:

— Dziś nieprzyjedziemy, a tymczasem Szczucki figla mi wypłata!

— Nie bój się, — odpowiedział Xawery — nie taki straszny djabeł jak go malują! Prezentuję panu Cyryla B... — dodał.

— Jeźli panom tak pilno — odpowiedziałem — to ja panów zawiozę.

— O! dziekuję! — zawołał Cyryli, bojąc się żeby Xawery nieodmówił — ztąd tylko milka.

Ulokowaliśmy się przeto jak można na wózku, Cyryli wziął lejce, Xawery siadł koło mnie, Piotr został przy koczu i ruszyliśmy. Przez drogę dowiedziałem się, że panna i ojciec są za Cyrylim, ale że matka, której wola wszystkie inne przeważa, proteguje Szczuckiego. Ztąd Cyryli w desperacyi, umyślił ostatni raz spróbować szczęścia i zaprosił w pomoc Xawerego. Jakkolwiek było niedaleko, przed wieczorem dopiero zajechaliśmy do mieszkania państwa Dozowskich. Ładna twarzyczka pokazała się w oknie, Cyryli zawołał: — Olesiu! — i jakby niewidomą jaką siłą popchnięty, zeskoczył z wózka. Konie niekierowane już dyszlem zmierzały w okno, kiedy Xawery mruknąwszy: — to waryat! — uchwycił lejce i zajechał przed ganek. W sieniach zastaliśmy Cyrylego stojącego przy drzwiach salonu.

— Czemuż niewszedłeś? — zapytał Xawery.

— Nieśmiem — odpowiedział Cyryli.

— Czegożeś zeskakiwał z wózka?

— Ja sam niewiem, coś mnie podrzuciło.

Kiedyśmy tak rozmawiali, dał się słyszeć w pokoju głos kobiecy:

— Nic z tego nie będzie, — mówiono groźnie.

— Ale mamo!

— Cicho waspanna.

Tu Xawery otworzył drzwi i weszliśmy do salonu. Na kanapie siedziała podeszła kobieta; obok niej ładna młodziutka panienka z czerwonemi zapłakanemi oczami; naprzeciw człowiek lat ze trzydzieści mający, twarzy surowej, poglądał na panienkę z gniewem; był to konkurent Szczucki. W kącie siedział stary, siwy człowiek, rzucał oczami to na córkę, to na żonę, a wzrok jego naprzemian to rozczulenie, to bojaźń okazywał.

Jakeśmy tylko weszli, pani Dozowska uśmiechnęła się złośliwie, Szczucki wstrząsł się, Olesia spojrzała na Cyryla, a stary wzniósł oczy do góry i westchnął.

— Szkoda — rzekła pani z przygryzkiem do Xawerego — żeście panowie po obiedzie przyjechali, był właśnie wyborny harbuz *).

— Nic nieszkodzi mościa dobrodziejko — odpowiedział Xawery — był taki co go zjadł — dodał pokazując na Szczuckiego,

*) Harbuz był odmówieniem konkurentowi.

Szczucki zagryzł wargi i wyszedł, a Xawery tymczasem zasiadł koło gospodyni i zaczął rozprawiać jakby się było nic niestało. Pomimo gniewu, pani Dozowska czasem się mimowolnie uśmiechała, i wreszcie tak się udobruchała, że zapytała czyśmy jedli objad.

— Wczoraj mościa dobrodziejko! — odpowiedział Xawery.

Jejmość wstała i wyszła zadysponować, a ja dotąd nieznajomy świadek tej sceny, przypomniałem Xaweremu zeby mnie prezentował. Dopełnił tego jak tylko jejmość wróciła. Nieszczęściem ta prezentacya zniszczyła dla mnie całą przyjemność mojej wizyty, bo pani Dozowska na najmniejszą alluzyą o interesie, odpowiadała: — później o tem pomówiemy.— Byłbym widząc to natychmiast wyjechał, ale i Piotra niebyło, i w samej rzeczy wczoraj jeszcze jadłem objad, niepodobna więc było myśleć o wyjezdzie. Jakkolwiek bądź, serdecznie zacząłem się nudzić, kiedy zajechała bryczka, wytoczył się z niej człowiek nizki a gruby i wszedł do salonu. Mógł mieć lat ze sześćdziesiąt; na papużym żupanie kontusz miał granatowy, pas biały złotem haftowany formował ogromny węzeł na brzuchu, a czerwone bóty i biała z czarnym barankiem czapeczka, strój jego uzupełniały.

— Jak się ma pan Podstoli? — zawołała pani Dozowska.

— Jeszcze żyję mościa dobrodziejko — odpowiedział Podstoli.

— Dawnośmy pana niewidzieli.

— Byłem na kontraktach we Lwowie.

— Że teżto pan zawsze w drodze.

— Cóż robić mościa dobrodziejko, człowiek rusza się jak może.

To rzekłszy, dobył nagle chustki i kichnął.

— Sto lat zdrowia! — zawołał jakby ze snu przebudzony pan Dozowski.

— Proszę na pogrzeb — odpowiedział Podstoli.

— Cóż tam pan słyszał na świecie? — zapytała gospodyni.

— Nic nowego mościa dobrodziejko, wszystko po staremu.

W tem dano znać do stołu. Gospodyni podała mi rękę, co nie mało Podstolego zadziwiło, bo przywykł był sam panią Dozowską prowadzić; widziałem tylko że coś szepnął do Xawerego, ten mu cicho odpowiedział, on kiwnął głową i zasiedliśmy do stołu.

Jak zwykle, głęboka naprzód panowała cichość, lecz po drugim czy trzecim kieliszku pan Podstoli zaczął być mowny.

— Zapraszam cię na komedyą — rzekł do

mnie cicho Xawery, i dodał głośno: — złamaliśmy dziś pojazd na grobli pod Koskami; nieuwierzy pan Podstoli w jakim byliśmy ambarasie.

— Znam ja to — odpowiedział pan Podstoli. — Raz pamiętam byłem we Lwowie na kontraktach i miałem ztamtąd jechać do Tarnowa. Pan wiesz Tarnów, miasteczko Sanguszków, cyrkuł; przedziwny był Komissarz cyrkularny, bywało nie raz cięliśmy węgrzyna, boto ztamtąd niedaleko i książe Elishazy, co roku przysyłał mu beczkę kapki. Ten Elishazy mieszka niedaleko Tręczyna, tam kąpiele siarczane; ale pani nieuwierzysz, jedna ogromna wanna, w której wszyscy się kąpią. Piękne miejsce, góry, bo to i ja tam bywałem. Raz nawet tylko com się nieożenił, tak mi była wpadła w oczy jedna węgiereczka, ale trudno było, bo jeszcze żyła moja nieboszczka żona, Panie świeć nad jej duszą. Pani znała moję żonę, z domu Sańska, z pierwszemi domami skolligacona.

— Ale — przerwał Xawery — cóż to się panu we Lwowie zdarzyło?

— Mnie we Lwowie! — odpowiedział zadziwiony Podstoli. — A! pamiętam; miałem tedy jechać do Tarnowa, kazałem bryczkę zaprządz, i z przyjaciołmi poszedłem na śniadanie do Żorża. Żorż najpierwszy restaurator

we Lwowie, dobrą miał kuchnią, a wina tak wyborne, że trudno wysłowić. Prawda, że trzeba było czasem i dziesięć dukatów za butelkę węgrzyna zapłacić, ale też jak bywało odetknę, to w pokoju jak zakadził, wino jak oliwa, czepia się po kieliszku, a myszkę w drugim pokoju słychać, to też węgrzyn miał już lat z pięćdziesiąt. Niech sobie co chcą mówią, na świecie niema już takiego kordyału. Bywało jak się człowiek napije, to taki zdrów, taki lekki!

— Więc tedy państwo poszliście do Żorża na śniadanie? — przerwał Xawery.

— Tak jest — odpowiedział Podstoli — wyborną miał kuchnią: mięsiwo świeże, leguminy przedziwne i niedrogo; bywało za dwadzieścia ryńskich to niczego niebraknie. Ryński szejn, to naszych pięćdziesiąt groszy, a są drugie ryńskie co ich nazywają dobre pieniądze, taki jeden wart naszych złotych cztery. To jak mówiłem, za dwadzieścia ryńskich bywało da pięć potraw.

— I pan miał jechać do Tarnowa — przerwał Xawery.

— Tak jest — odpowiedział Podstoli — bryczka zaszła, my tego niesłyszeli, ale wpadł do pokoju Azor. Miałem Azora ogromnego pudla, taką miał wełnę jak baran, a

jakie umiał sztuki! drugi chłop niema tyle rozumu. Ja go miałem od niejakiego Szanaskiego, co miał sławne gniazdo pudlów na Ukrainie. Miał i gończe, i harty, bo wielki był myśliwy, bywało jak wsiądzie na konia przedniem, to w nocy powraca. Te stepy ukraińskie! co krok to zając; wszystko heco i hejże! heco i hejże! a co raz to zając albo lis w torbie. Jednego razu pamiętam, uszczuliśmy sarnę hartami; co to była za radość! całą noc piliśmy za jej zdrowie.

— Ale pan — zawołał Xawery — nie na Ukrainę, ale podobno do Tarnowa miał jechać?

— Tak tak! — odpowiedział Podstoli. — Zaszła bryczka czterema gniademi zaprzężona; jeden był ze stada Sanguszki, nóżka biała od wsiadania, na czole strzałka, chrapy rozdęte, śliczny był koń! Nieboszczyk książe raz przy obiedzie był rzekł: — Mospanie, niema koni jak Branickiego! — Co tam ta turecczyzna — odpowiedziałem — u mnie polskie konie to grunt! — Książe miał polskie stado, ucieszył się i rzekł: — Kiedy mospanie Podstoli, waspan lubisz polskie konie, to ja waspanu daruje źrebca. — Przyjąłem, i we trzy lata potem ślicznego miałem konia, bo źrebiec miał lat cztery, a Sanguszkowskie konie w siódmym roku się formują. Ale go też

menażowałem, jadł otręby oparzane, prowadzili go na spacer, ale do lat siedmiu nigdy niebył zaprzęgany, a taki był zmyślny, że jak go pierwszy raz zaprzęgli, to tak poszedł jak stary.

— Już lat trzydzieści opowiada tę historyę — rzekł do mnie Xawery — a jeszcze ani razu niewyszedł od Żorża.

— Drugi — mówił dalej Podstoli — także gniady, ze stada Iwanowskiego. Piękne stado, ogiery miewał po pięćset i tysiąc dukatów; raz....

W tem drzwi się otworzyły, wszedł Piotr i doniósł że kocz przyprowadzono. Wstaliśmy od stołu, co widząc Podstoli, obiecał wieczorem dokończyć historyi. — Szkoda — rzekł — że niema czasu, bo ciekawy miałem wypadek.

Przyznam się, że niechętnie wracałem do salonu, bojąc się kontynuacyi historyi Podstolego, i bardzo niecierpliwie czekałem na Xawerego, który coś pisał ołówkiem w pugilaresie. Szczęściem obawa moja była próżna, Podstoli grał w maryasza z Dozowskim, a w drugiej stronie salonu siedziała gospodyni z córką i dwaj konkurenci. Xawery zbliżył się do nich i rzekł do gospodyni, że radby z nią moment pomówić.

— Ale z tego nic nie będzie! — odpowiedziała pani Dozowska.

— Czy pani wiesz, o czem ja chcę mówić?

— A kiedy tak, to co innego.

Odeszli o kilka kroków, widziałem że Xawery żywo coś gadał, a gospodyni co raz głową trzęsła jakby niewierząc. Zawołała nareszcie:

— Ale mówiłam panu, że z tego nic nie będzie.

Xawery znowu coś szepnął.

— To być nie może! — zawołała gospodyni.

— A jak ja przekonam?

— Radabym widzieć.

— Nic łatwiejszego — odpowiedział Xawery, dobył pugilares, otworzył go i dał w ręce gospodyni.

Pani Dozowska czytając, to bladła, to czerwieniała, co raz ruszyła ramionami, wargi jej się trzęsły, nareszcie zmarszczyła czoło i rzekła niby spokojnie:

— Czy to tak! Olesiu! — Biedna dziewczyna wstała drżąca. — Chodź tutaj! — Matka wzięła ją za rękę i rzekła znowu: — Panie Cyryli! — Młody człowiek przyskoczył. — Daję panu moję córkę — rzekła pani Dozowska, i podała mu rękę Olesi.

Oboje młodzi uklękli przed nią, a Szczucki zerwał się zaperzony i zawołał:

— Czy to pani tak słowa dotrzymujesz?!

— Pan piszesz wiersze — odpowiedziała pani Dozowska — chwalisz się że naprzód matkę bałamucisz, żeby pewniej córki dostać; niech więc się pan bawi i szuka matek co się dadzą bałamucić, a Olesia pójdzie za pana Cyryla.

— Ale mościa dobrodziejko!

— Stało się. Mężu pobłogosław nasze dzieci!

Dozowski zerwał się od maryasza.

— Niech was Bóg błogosławi! — zawołał i uściskał ze łzami w oczach córkę i Cyryla.

Rozczulony tą sceną, niepostrzegłem był że Szczucki wyszedł i już więcej niepowrócił.

— Co to było? — zapytałem.

— Napisałem na babę wierszyki i powiedziałem że Szczuckiego kompozycyi.

— Jakże mogłeś to zrobić?

— Co tam! Szczucki ustawicznie się stara, chodzi mu o to, żeby jaki posag złapać, a Cyryl poczciwy chłopiec, szczerze kocha dziewczynę, ona jego nawzajem i będą szczęśliwi.

Podstoli wystąpił z powinszowaniem i życzeniami, rozczulił się i rzekł:

— Pamiętam jakem się starał o moję nieboszczkę, pojechałem był do Lwowa na kontrakty, miałem ztamtąd jechać do Tarnowa....

— Dobranoc! — co tchu zawołał Xawery, pożegnaliśmy gospodarzy i szczęśliwą parę, a na drugi dzień raniutko wyjechałem do Kaszek.

Zajechałem przed bramę, i nim ją otworzono rzuciłem okiem przed siebie. Dom jednopiętrowy żółto pomalowany, miał wystawę na czterech grubych kolumnach opartą. Nad kolumnami wystawa formowała trójkąt, w którym spostrzegłem napis: *Cnocie i Przyjaźni.* W tem bramę otworzono, wjechałem na dziedziniec; na lewo zobaczyłem oficynę kuchenną w której mieszkał gospodarz, a na prawo gmach duży, w którym były stajnie i wozownie. Między oficyną i domem wznosiły się cztery lipy gęstym liściem okryte i formowały altanę. Pod niemi siedział pan Marszałek i rozmawiał z arendarzem, któremu jakem się później dowiedział, nigdy na ważnych i ciekawych wiadomościach niezbywało. Wysiadłem z kocza, pan Marszałek wstał stękając i chciał podejść ku mnie, ale go uprzedziłem i wprzód nim się ruszył przyszedłem pod lipy.

Zrazu rozmowy prawie żadnej niebyło; ja oglądałem się na około żeby się obeznać z miejscem, a pan Marszałek widać szukał

jak zacząć rozmowę. Czasem tylko, to otarł pot z czoła, to się klapnął po łysinie i zabił komara. Jedną razą znalazł frazes, ruszył się nagle, krzesło zatrzeszczało i rzekł:

— Jakie bestye uprzykrzone te komary!

Spojrzałem na niego, nad głową wznosiła się chmura komarów i brzęcząc przypuszczała szalony atak do marszałkowskiej łysiny, krwawemi plamami upstrzonej; kilka komarów drgało jeszcze na pobojowisku, a zniecierpliwiony Marszałek machał chustką z całej siły.

— Prawda, — odpowiedziałem — ale czemuż pan głowy nienakryjesz?

— A niech Pan Bóg broni! — zawołał Marszałek — zarazbym dostał apoplexyi.

W samej rzeczy, głowa jego zdała się wprost z pleców wychodzić; policzki czerwone i tłuste, kończyły się dwoma ogromnemi podbródkami spadającemi na piersi; brzuch spoczywał na kolanach, a krótkie nóżki zaledwo dotykały ziemi, lubo na dość nizkiem krześle siedział. Przypatrywałem się ciekawie tej massie, kiedy drzwi domu skrzypnęły, wybiegła młoda dziewczyna w czerwonym kaftaniczku, białej spódnicy, stanęła przed Marszałkiem i rzekła:

— Pani Marszałkowa kazała powiedzieć, że pan głupi.

To rzekłszy zaśmiała się i pobiegła. Ledwo zniknęła, z tychże samych drzwi wybiegła druga dziewczyna podobnież ubrana, i oświadczyła Marszałkowi, że osioł; w moment trzecia przybiegła go uwiadomić, że błazen. Zdziwiony tą sceną nieznalazłem słów i milczałem, a Marszałek trzepnął chustką, zawołał z niecierpliwością:

— A to bestye komary! — i dodał spokojnie — to haftarki mojej żony.

Zaledwo się dowiedziałem tej ciekawej wiadomości, znowu się drzwi otworzyły, wyszła kobieta lat ze czterdzieści mająca, dosyć brudno ubrana i przyszła do nas. Spostrzegłszy mnie, zwróciła się nagle i pobiegła ku oficynie.

— Elżusiu! Elżusiu! — zawołał marszałek.

Elżusia stanęła opodal i patrzała na nas, jakby niemogąc się zdecydować, czy się zbliżyć, czy też oddalić. Marszałek wstał stękając i potoczył się ku oficynie.

— Chodź moje serce! — zawołał — to nasz sąsiad pan Grat Adolf z R....

— Czemużeś mnie głupcze nieostrzegł! — zapiszczała głośno Elżusia.

— Dopiero przyjechał moje serce, — odpowiedział marszałek — chodźże!

— Dopiero przyjechał, już będzie z kwandrans; zawsze będziesz głupi!

Marszałek niezrażony bynajmniej cierpkim tonem Elżusi, chciał ją wziąść za rękę, ale Elżusia tak go pięścią w brzuch stuknęła, że aż odstąpił parę kroków.

Widząc że nieuda się Marszałkowi przyprowadzić Elżusi, podszedłem naprzód i prosiłem żeby mnie żonie prezentował. To rzekłszy, skłoniłem się Marszałkowej, ale wprzód nim się wyprostowałem, Elżusia zawołała:

— A pfe! ja taka brudna, niech mi pan da pokój! — odwróciła się i znikła w ofiicynie.

Wróciliśmy przeto pod lipy. Lubo dopierom był przyjechał, to co już widziałem i słyszałem obiecywało mi okropne nudy, i zacząłem przemyślać nad pretextem do skończenia wizyty. Byłbym nawet może do pierwszego lepszego się przyczepił i wyjechał, ale zaledwośmy zasiedli, zajechała bryczka czterema końmi zaprzężona. Z niej wysiadło dwóch młodych ludzi: jeden z przesadą wystrojony, przyszedł pod lipy, i marszałek mnie uwiadomił, że to jest jego sąsiad Zakosiński; drugi dawał jakieś rozkazy furmanowi. Po pierwszem przywitaniu Zakosińskiego zobaczyłem, że z jego pomocą czas mi jako tako przejdzie, bo affektacya z jaką wysiadł, ukłonił się i był ubrany, wskazywała coś oryginalnego. Drugi przybyły był wysokiego

wzrostu, twarzy bladej, widocznie przez cierpienia schudzonej.

— Prezentuję panu — rzekł Marszałek — pana Midzewskiego.

Midzewski skłonił się lekko, coś mruknął pod nosem i usiadł, ale zdawało się, że to wszystko dopełnił machinalnie, nieprzerywając ani na chwilę zadumania w którem był pogrążony.

— Jak się pan masz teraz? — zapytał go Marszałek.

Midzewski skłonił się i nic nieodpowiedział.

— To osobliwsza słabość! — rzekł Zakosiński.

— Pan nieuwierzy — przerwał Marszałek — że pan Midzewski choruje na sny. Jak Boga kocham!

Midzewski zatrząsł się, wstał i odszedł zwolna, a Marszałek tak dalej mówił:

— Cały dzień zdrów, a jak tylko zaśnie to mu się takie straszne snią dziwolągi, że aż zachorował z tego. — Tu sądząc zapewne że niejestem przekonany, dodał: — Ale jak Boga kocham! niech pan wierzy, niech powie pan Floryan, on u niego mieszka.

Mimowolnie zwróciłem oczy na Floryana Zakosińskiego, który w tym momencie małą

szczoteczką gładził sobie bakenbardy. Dokończywszy tej ważnej operacyi rzekł:

— Prawda! wczoraj mu się śniło że był bułką i że go piekarz wsadza do pieca. Obudził się krzycząc tak, że nas wszystkich przestraszył.

— A widzi pan! — odezwał się Marszałek — ale czasem jeszcze śmieszniejsze sny miewa. Co to było panie Floryanie, co to mi przeszłą razą opowiadałeś?

— Ha ha ha! o tej babie! To śniło mu się że był kądziołką, a jakaś straszna baba z czerwonemi oczami przędła go; powiada że czuł jak z niego nić ciągnęła, i że strach jak to przykro.

Kiedy to mówił, pokazała się między lipami blada twarz Midzewskiego. Przerwałem więc tę rozmowę i nagle rzekłem:

— Jaki piękny dom ma pan Marszałek.

— Piękny on piękny — odpowiedział Marszałek — ale też i kosztuje. Nie tak dom jak umeblowanie, bo to Elżusia jak pojedzie do Warszawy, to końca niema, kupuje a kupuje.

Tu Zakosiński zaczął nucić pod nosem:

Idą wozy za wozami,
Idą wozy za wozami,
Nadybali....

— Prawda — przerwał Marszałek — ry-

chtyk jak ta piosneczka. Nakupuje fatałaszek tak, że ich niema gdzie podziać; nakoniec musiałem wystawić w ogrodzie lamus.

W tem dało się słyszeć mocne klapnięcie, Marszałek podniósł rękę do łysiny w którą go uderzono, a za nim odezwał się cieniutki głosik pani Marszałkowej:

— Łżesz waspan!

Po tym ustępie Marszałkowa siadła między nami, każdy z nas coś do niej przemówił, ale nikomu nic nieodpowiedziała. Mąż tylko, wiele razy zagadał do Elżusi, niezostał bez odpowiedzi, krótkiej wprawdzie ale dobitnej: — nie prawda, łżesz, głupiś lub milcz. — Tak przeszła dobra godzina, po której Marszałkowa wstała i rzekła kwaśno do męża:

— Czemuż niezaprosisz tych panów do pokoju?

— Ale Elżusiu! nie gniewaj się, pójdziemy.

To mówiąc Marszałek stęknął, wstał i zaczął przymilać się do żony, bokiem ku niej przyskakując. Ta się cofała, piszcząc co moment: — oto głupi! patrzcie państwo, oto głupi! — nareszcie trafiwszy plecami na lipę mimowolnie się zatrzymała. Tymczasem Marszałek zbliżył się i pogłaskał ją pod brodę. Marszałkowa wrzasnęła: — Idźże sobie! — palnęła mu policzek i pobiegła, a Marszałek

potarł twarz i obróciwszy się do nas rzekł: — Służę państwu, ale tam będzie bardzo gorąco! — I tu tobie nie chłodno — pomyślałem i weszliśmy do domu podzielonego na małe klateczki i dziwnie upstrzone. Podobnie jak w Taraszu, salonik zapełniony był rozmaitemi rzeczami: mury pozawieszane koszykami i kwiatami, między któremi wisiało kilka olejnych obrazów, zapewne przez miejscowego artystę zrobionych. Obok wizerunku Matki najświętszej, ustrojonej w jakąś ogromną pozłacaną czapkę, i trzymającą Pana Jezusa w peruce, wisiał Sąd Salomona. Salomon w honfederatce, w kontuszu, litym pasem opasany, miał przy boku karabelę i groźnie spoglądał, a kat z dobytym mieczem trzymał jakieś widełki, które miały przedstawiać dziecko. Na trzecim obrazie siedziała w dużem krześle małpa reprezentująca pana Marszałka, czego z resztą po dość trafnie naśladowanych podbródkach, łatwo domyślić się można było. Dalej portret pani Marszałkowej, w niebieskim kapeluszu z ogromnemi piórami, w jasno-zielonej sukni i żółto-gorącym szalu, zdawał się wykrzywiać na trzy pejzaże obok zawieszone, przedzielające go od Pana Jezusa Nazareńskiego w cierniowej koronie, złotą szarfą opasanego.

Pan Marszałek pokazywał mi te obrazy, i zapytał który mi się najlepiej podobał. Sam niewiedziałem co odpowiedzieć, w tem Floryan przyskoczył do jednego pejzaża i zaczął nacierać go palcami; tęż samę operacyą powtórzył i na innych, i nareszcie zawołał pokazując środkowy pejzaż:

— Ot, ten najlepszy!

Spojrzałem w tę stronę i zobaczyłem na dnie jasno-niebieskiem zieloną plamę, utrzymywaną na czterech orzechowych kreskach, utkwionych jak się zdawało w jakiejś żółtej przestrzeni ożywionej kilką istotami, o których niepodobna było powiedzieć z pewnością, czy miały wyobrażać świnie, konie lub barany; domyśliłem się jednak, że to był widok Kaszek i ulubione lipy pana Marszałka, gdyż z boku wznosił się dom z napisem cnocie i przyjaźni.

— Ja mam — rzekł Floryan — niezawodny sposób sądzenia o obrazach, mógłbym nawet niewidzieć ich, bylem się dotknął.

— Jakże tę dobroć namacać? — spytałem zadziwiony.

— Jak tylko — odpowiedział Floryan — grubo nałożono farby, to niech pan będzie pewny, że obraz jest dobry, a im grubiej tym lepszy. Nauczył mnie tego niejaki Panegnini,

sławny włoski malarz, co był u nas i robił portret mojej matki.

— To na portrecie musi być farba grubo nałożona? — zapytałem.

— O! powiadam panu, że to dziwo! na pół cala nad płótnem, a oczy takie, że z której strony pan zajdzie, to zdaje się mama patrzy.

— Pani Marszałkowa taki sam gust ma w ubraniu pokojów — rzekłem do gospodarza — jak i pańska bratowa na Taraszu.

— Bo to siostry rodzone, Pryńskie z domu.

Siliłem się jak mogłem, żeby admirować ten gust familijny, kiedy wszedł lokaj z listem, a za nim Marszałkowa. Marszałek list przeczytał i spostrzegłszy żonę, zawołał:

— Elżusiu, ty niewiesz!

— No, cóż tam takiego? — zapytała kwaśno Elżusia,

— Przyjeżdża twoja matka, pani Stolnikowa Pryńska.

— A ona tu po co? Ja nie chcę!

— Elżusiu!

— Milcz głupcze, to sobie ją przyjmuj!

To rzekłszy wyszła, a wkrótce potem dano znać do stołu. Obiad był nie zły; po czwartej potrawie będąc już syty, odmówiłem piątą.

— Ale proszę pana — rzekła Marszałkowa.

— Prawdziwie już jeść nie mogę.

— Ale proszę pana.

— Upadam do nóg pani.

— To może złe?

— Nie wątpię że wyborne, ale już niemam apetytu.

— To pewnie złe! Bo ty głupcze — dodała obracając się do męża — psujesz tego Grzesia; ja mu każę dać w skórę.

To mówiąc wstała od stołu.

— Już będę jadł! — zawołałem — niech pani siada.

— Niechże pan je — rzekła Marszałkowa i włożyła sama na mój talerz przynajmniej dwie porcye, ktore musiałem połknąć rad nierad.

Jeszcze ze trzy potrawy podano, każdą zrazu odmówiłem, ale Marszałkowa za każdą razą powstawała wołając: — To pewnie złe! i musiałem się upokorzyć. Sam niewiem jakem się nieudusił; połykać już niemogłem, nareszcie postanowiłem opuścić obronę Grzesiowej skóry, ale przecie na tem się skończyło i pani zaprosiła nas do ogrodu. Niesłychanie opakowany, przewalałem się z nogi na nogę jak Marszałek, i z trudnością dążyłem za gospodynią. Przyszliśmy nareszcie do dosyć obszernego placu! na środku wznosił się słup ogromny, na nim ruchome dwie belki na krzyż

w niewielkiej odległości od ziemi horyzontalnie osadzone, miały na każdym końcu krzesełko, a w koło placu na nizkich słupkach stały papierowe popiersia w zawojach z ogromnemi wąsami. Marszałkowa zasiadła na jednem krzesełku, ja na drugim końcu tejże samej belki. Druga belka dźwigała Floryana z jednej, a haftarkę z drugiej strony, gdyż Marszałek niemógł, a Midzewski niechciał usiąść. Podano każdemu z nas cztery dzirydy, a dwóch lokai zaczęli kręcić belki; chodziło o to, aby dzirydami rzucać i trafiać w Turków. Po przymuszonym obiedzie jak mnie zaczęto kręcić, głowa mi się zawróciła, w oczach się zaćmiło tak, że tam gdzie był Turek, zaledwo jakiegoś bielącego się bałwana widziałem. Rzuciłem dziryd, który Bóg wie gdzie poleciał, a Marszałkowa śmiać się zaczęła, wołając: — Jaki pan niezgrabny! — Zakosiński po mnie wymierzył w tego samego Turka, a dziryd jego utkwił w brzozie o dwa kroki ztamtąd odległej.

— I ten taki! i ten taki! — zaczęła wołać Marszałkowa. — Ot, tak pan rób! — dodała rzucając dziryd, który także na bok poleciał i utkwił w piasku.

Zdekoncertowana Marszałkowa śmiać się przestała, ale za to Marszałek się zaśmiał, co

ją w taki gniew wprowadziło, że zamierzyła drugim dzirydem na niego, wołając: — Milcz głupcze, bo zobaczysz! — Marszałek co tchu się uchylił, dziryd przeleciał przez miejsce na którem stał pierwej.

— A widzisz! — zawołała Marszałkowa — do takiego baryły łatwiej trafić niż do Turka!

To rzekłszy podniosła drugi dziryd; Marszałek zaczął wołać: — Daj pokój Elżuniu, nie żartuj! — tymczasem dziryd świsnął mu koło ucha, on uchylił się raptem, a widząc że Marszałkowa trzeci do góry podnosi, potoczył się co tchu za krzak obok rosnący.

— Oto tchórz! — zawołała Elżusia — jak tobie nie wstyd panie Hieronimie.

Ale pan Hieronim nieczuły na te żarty, ruszył sobie do domu, a Elżusia tryumfem swoim ucieszona, zapomniała o przygodzie, i dosyć wesoła poprowadziła nas dalej w ogród. Chodziliśmy ze dwie godziny. Marszałkowa co raz to się zatrzymała i popatrzała to na jakie drzewo, to na łączkę, to na kwiat, ale to były jedyne zachęty do admiracyi, gdyż zresztą trudno się było słowa od niej dopytać. Tak chodząc zbliżyliśmy się ku dziedzińcowi. Usłyszałem głos dzwonków i pasterskiej dudy; zdziwiony przyspieszyłem kroku i zobaczyłem na dziedzińcu dwie tyrolskie krowy

z dzwonkami na szyjach; za niemi chodził pasterz z długą drewnianą dudą, w którą dął z całej siły. Bóty miał ze sztylpami, spodnie paliowe, pąsową kamizelkę i frak niebieski, lecz to wszystko tak szerokie, iż od razu zgadnąć można było, że marszałkowska garderoba dostarczyła pasterskiego stroju. Kapelusz tylko dobrze do głowy przystawał, opasany był czerwoną wstążką, której końce wiatrem poruszane, o parę łokci od głowy w powietrzu bujały.

— Widzi pan jaki Tyrolczyk? — rzekł Marszałek, który się był przybliżył widząc że Elżusia niema już w ręku dziryda.

— Milcz waspan! — ofuknęła Marszałkowa — właśnie to pan Graf niewie i niewidział Tyrolczyków.

— Nie gniewaj się Elżusiu.

— Idź precz! czego tu? tu ja robię honory.

Marszałek umilkł, a Marszałkowa podała mi rękę i weszliśmy na dziedziniec. Zaledwośmy uszli kroków ze dwadzieścia, wystrzelono z moździerza, Marszałkowa krzyknęła i przysiadła aż do ziemi.

— Co pani jest? — zapytałem

— Boję się — odpowiedziała.

Znowu strzelono, Elżusia znowu krzyknęła i przysiadła. Taka scena trwała z pół godziny,

co raz to strzelono, gospodyni krzyczała i przysiadała, nareszcie umęczony ustawicznem podnoszeniem jej, poradziłem żeby kazała przestać strzelać.

— Co to ja niewiem — odpowiedziała — jak takich gości przyjmować? Pal! — zawołała z całej siły.

Moździerz wystrzelił, ona puściła moję rękę i przysiadła na ziemi krzycząc przeraźliwie. Przyszedł nareszcie wieczór, przestano strzelać i pani Marszałkowa zaprosiła nas na podwieczorek.

— Pójdziemy — rzekła — do kijosku.

Podałem jej znowu rękę i wróciliśmy do ogrodu; zbliżyliśmy się do zapowiedzianego kijosku. Był to chiński daszek oparty na sześciu kolumnach w koło ustawionych; pomiędzy kolumnami wznosiły się nizkie słupki, a na nich statuy naturalnej wielkości. Zdaleka uderzyła mnie białość marmuru i dokładność rysunku, co mnie nie mało zdziwiło, gdyż niespodziewałem się widzieć coś doskonałego w tym domu, gdzie zacząwszy od gospodarzów, same tylko były parodye.

Weszliśmy bo kijosku. Na środku stał stół okrągły, który naprzód ściągnął uwagę moję, z przyczyny mnóstwa świec na nim ustawionych. Zasiedliśmy, podniósłem oczy i zoba-

czyłem pomiędzy dwoma kolumnami przedemną będącemi obraz wystawiający pasterkę z snopem pszenicy w ręku. Dwie świece paliły się przed obrazem, a cienie tak mi się wydały szczególne, jakby to była rzeźba lub portret matki pana Floryana. W tem obraz mrugnął!... Ruszyłem się mimowolnie, Marszałkowa śmiać się zaczęła, Marszałek sobie, portret sobie, i wtenczas dopiero w obrazie poznałem tę haftarkę co to z rana przyszła była oznajmić Marszałkowi, że głupi. Kaftaniczek miała pąsowy, białą spódnicę i wielki słomiany kapelusz; siedziała oparta o snop zboża, a drugi trzymała na kolanach. Zdziwiony tym konceptem spodziewałem się już czegoś nadzwyczajnego i rzuciłem oczy na statuy. Stały w rozmaitych trudnych pozycyach i trzęsły się, a mruganie oczów tak robiły ten widok niemiłym, że zdało mi się asystować bankietowi Don Jouana. Po chwili, te szczególniej statuy co albo stały na palcach, albo miały ręce do góry podniesione, tak się trząść zaczęły, że mi żal się zrobiło i prosiłem Marszałkowej żeby ich uwolniła.

— A niech idą do djabła! — odpowiedziała Marszałkowa.

Statuy pozeskakiwały ze słupów i pobiegły. Spojrzałem za niemi, długo gdzie niegdzie

pomiędzy drzewami to dał się słyszeć szelest, to zabieliła się biegnąca figura. Ktoby niewiedział co to było, niewątpiłby że jest przy łysej górze i widzi upiory.

— Jak to wybornie naśladuje marmurowe statuy — zawołał Floryan. — Jak pani to robi?

— Nic łatwiejszego, — odpowiedział Marszałek — dziewkę gliną posmarują, pobielą i statua.

Niewierzyłem moim oczom, i tak mnie ta myśl osobliwsza dziwiła, że w milczeniu doczekałem końca podwieczorku. Marszałkowa myśląc zapewne że jestem w tak wielkiej admiracyi, nieprzerywała mojego milczenia; Marszałek popijał sobie winko z Floryanem, a Midzewski co raz się wzdrygał, myśląc zapewne o zbliżającej się nocy i nowej przykrości jaką mu sen przyniesie. Nareszcie Elżusia wstała, podała mi rękę i rzekła: — Służę panu! — Poszliśmy ku domowi. Jakeśmy się zbliżyli do ganku, dał się znowu słyszeć strzał z moździerza, Marszałkowa przysiadła i krzyknęła; drzwi się otworzyły i weszliśmy do sali rzęsisto oświeconej, napełnionej mnóstwem ludzi w rozmaitych strojach. Żydzi, Cyganie, Szwajcary, Krakowiacy i t. d. kręcili się po sali; pasterz który niedawno był chodził z dudą za krowami, stał teraz pod pie-

cem z długim cybuchem w ustach i reprezentował Turka, a pasterka z kijosku okryta łachmanami udawała cygankę i przepowiadała przyszłość patrząc na ręce. Zbliżyła się do nas, wzięła rękę marszałkowej, popatrzyła chwilę i rzekła:

— Pani będziesz szczęśliwa, bo jesteś piękna, dobra i rozumna. — Potem wzięła moję rękę: — Ty! — rzekła — niedawno przyjechałeś; pani tego domu bardzo tobie rada, jesteś kawaler.

Tu Marszałek przerwał i rzekł podając rękę: — A mnie co przepowiesz?

Marszałkowa szepnęła jej coś do ucha, cyganka obracała rękę na wszystkie strony, nareszcie rzekła:

— Ty jak byłeś tak i będziesz głupi!

Cała zgraja się zaśmiała, a Marszałek z zimną krwią zapytał: — Cóż dalej?

Marszałkowa znowu szepnęła, a cyganka rzekła: — Co dalej? roztyjesz się jeszcze lepiej i kiedyś pękniesz!

Marszałek schował rękę do kieszeni i odszedł spokojnie, jakby się było nic niestało. Poszedłem za nim, Floryan przyłączył się do nas, i zaczęliśmy rozmawiać usiadłszy w kącie, a Marszałkowa tymczasem organizowała angleza.

— Ja zawsze wino kupuję u Nysona w Łucku — rzekł Marszałek.

W tem przybiegła Krakowianka i zawołała: — Pani pana prosi!

— Nie mam czasu — odpowiedział Marszałek i dalej mówił: — Sklep ma duży, sam jeździ do Węgier i zawsze...

— Pani pana prosi! — zawołała Szwajcarka.

— Nie mam czasu! i zawsze kilkadziesiąt beczek przywozi.

W tem podeszła Marszałkowa i palnęła w twarz mężulka.

— Niemówiłem że tak będzie? — rzekł z flegmą Marszałek nacierając policzek, i dodał: — Można być przynajmniej pewnym, że wino czyste i niefałszowane.

Kiedy Marszałek tak rozmawiał o winie niezważając na ustępy, dał się słyszeć turkot pojazdu, drzwi się otworzyły i weszła co krok dygając, ośmdziesiąt letnia kobieta; kaftaniczek niebieski ściskał jej cieniutką talią; szeroka fałdowana spódnica, jakby rogówkami utrzymywana, ogromny krąg około niej zajmowała; włosy siwe podniesione do góry i tapirowane, formowały nad czołem jakby tarczę, w środku której błyszczał kieszonkowy zegarek; z boku głowy splecione warkocze trzymały się kupy za pomocą srebrnej łyże-

czki od kawy, użytej zamiast strzały, któremi czasem damy włosy swoje zapinają.

— Cóż to za maska? — zapytałem Marszałka.

— To nie maska — odpowiedział — to pani Stolnikowa Pryńska.

To rzekłszy marszałek potoczył się do pani Stolnikowej, a ja korzystając z dobrej chwili wyniosłem się z sali, poszedłem do mego pokoju, rozebrałem się i odetchnąłem, myśląc że już przecie ta nieszczęśliwa wizyta przeszła. Spałem wybornie, kiedy około trzeciej z rana zaczęto stukać do drzwi i obudzono mnie.

— Kto tam? — zawołałem.

— To ja! — zapiszczała Marszałkowa — niech pan otworzy.

— Ale leżę w łóżku.

— To nic nieszkodzi, niech pan otworzy.

— Daj pokój panu Grafowi Elżusiu! — odezwał się Marszałek.

— Milcz waspan! czego tu, idź gości bawić. Niech pan otworzy.

Wziąłem więc szlafrok i otworzyłem, Marszałkowa weszła rozgniewana.

— A to pięknie! — zawołała — porzucił pan nas i spi; jak można być takim leżuchem.

— Zmęczony jestem.

— To nic nieszkodzi, niech się pan ubiera. Już dali kolacyą.

— Ale już nie mogę jeść więcej.

— Ja ztąd nie pójdę póki się pan nieubierze.

Widząc że opór jest próżny, obiecałem zaraz przyjść na kolacyą; Marszałkowa poszła, a ja wzdychając ubrałem się, kazałem żeby mój wózek zaraz zaszedł i stał za bramą w sekrecie, i poszedłem do salonu.

Pani Stolnikowa poszła już była do siebie, haftarki i officyaliści kostiumowani rozeszli się, więc sami tylko zasiedliśmy do stołu Po długiej kolacyi na której jeszcze musiałem jeść wszystko co podano, wprowadziłem Marszałkowę do Salonu i moment pokręciwszy się poszedłem ku drzwiom. Jużem ostróżnie przykładał rękę do zamku, kiedy nagle zapiszczał głosik Marszałkowej:

— Gdzież pan idzie? czy pan się jeszcze niewyspał?

Cofnąłem rękę, jakbym był na jakim złym uczynku złapany i rzekłem:

— Nigdzie mościa dobrodziejko, zaraz wrócę.

— Niechże pan czapkę zostawi.

Położyłem więc czapkę na kanapie, i jakem tylko drzwi zamknął za sobą, kopnąłem się co żywo do bramy, wskoczyłem do wózka,

obwiązałem głowę chustką, i nieoglądając się ruszyłem z kopyta.

Później dowiedziałem się, że za moję ucieczkę Marszałek dostał parę szturchańców, ale przyznam, że mnie to nie wiele zmartwiło. Tego samego dnia w wieczór przybyłem do domu, gdzie się dowiedziałem z radością, że już nareszcie Sokulski powrócił. Zapowiedziałem więc że nazajutrz pojadę do Lichnówki, i z rozkoszą położyłem się żeby odpocząć po fecie kaszkowskiej.

VII.

Nazajutrz jak tylko pozbyłem się Malińskiego, który raniutko przyszedł był niby z uszanowaniem, ale w istocie z zamiarem spróbowania do jakiego stopnia można rachować na moję nieznajomość rzeczy a może i niedbałość, wyjechałem do Lichnówki. Była już jedenasta kiedym stanął przed domem drewnianym, tem tylko różniącym się od zwykłych folwarków, że okna miał duże. Z jednej strony były zabudowania gospodarskie, dziedziniec zakończony kaplicą i za nią dosyć obszerny fruktowy ogród; z drugiej ogródek

angielski, w środku którego błyszczała malutka sadzaweczka okryta gęsiami i kaczkami. Tuż przy sadzawce stał poważnie na jednej nodze zamyślony chowany żóraw z oczami na w pół zamkniętemi i spuszczonym dziobem, jakby się nad jakim ważnym problematem zastanawiał i wraz z nieufnością poglądał na krzykliwego gałaguckiego koguta spacerującego ze swoim dworem.

Jak tylko wózek mój zatrzymał się przed domem, firanki zaruszały się w oknach i pokazało się kilka ładnych twarzyczek Człowiek siwy nizkiego wzrostu, po polsku ubrany wyszedł na ganek, i niedając mi czasu zaprezentowania się, zapytał:

— Czy nie pan Graf z R..?

— Ja to sam jestem — odpowiedziałem.

Starzec podskoczył żywo, uściskał mię i zawołał: — Matuszka! matuszka!

Drzwi się otworzyły, weszła na dziedziniec kobieta lat ze sześćdziesiąt mająca, nadzwyczaj chuda, broda podniesiona do góry, nos znacznie opuszczony na dół, zaledwie niedotykały się do siebie; na popielatym szlafroczku fartuszek miała czarny z kieszonkami, w których ciągle spoczywały jej ręce; przy pasku wisiało na kruczku stalowe kółko, a na niem mnóstwo kluczyków różnej formy i wiel-

kości. Czepek muślinowy bez żadnych prawie ozdób przystawał do głowy, a z pod niego niewyglądał ani jeden włosek, co dowodziło że już była siwa; zresztą twarz jej żywem promieniem rozjaśniona, była przyjemna i miła. Była to pani Sokulska. Jak tylko się dowiedziała kto jestem, zawołała:

— Chwała Bogu, że już pan przecie przyjechał! Ja takim malutkim pana widziałam — dodała schylając rękę do ziemi — proszę pana do pokoju.

Weszliśmy więc do sieni, pan Sokulski otworzył drzwi do dosyć obszernego pokoju, który był salonem a razem i sypialnym pokojem części licznej familji pana Sokulskiego. Trzy łóżka biało zasłane stały pod ścianami i w tym momencie służyły za kanapy — kilka kobiet siedziało na tych łóżkach, a dwóch młodych ludzi opartych pod piecem rozmawiali z sobą. Jak tylkośmy weszli, trzy kobiety powstały, a pani Chorążyna Sokulska rzekła:

— Prezentuję panu moje córki. To najstarsza Julija — dodała pokazując wysoką, szczupłą, niemłodą już pannę — to Katarzyna....

— A to Sybiroczka! — przerwał Sokulski gładząc po twarzy trzecią lat ze czternaście mającą panienkę.

Katarzyna nieuderzała ani brzydkością, ani pięknością, lecz Sybiroczka biała, rumiana, przypominała twarze aniołków Rafaela.

— Mąż mój — rzekła pani Sokulska — najmłodszą córkę naszę Nastusię nazywa Sybiroczką, bo się urodziła w rok po powrocie jego z Syberyi.

Panny dygnęły: Julija dosyć niezgrabnie i jakby ze złym humorem, Katarzyna od niechcenia, a Sybiroczka z ogromnym rakiem, z którym schowała się za siostry, gdzie za nią zwrócił się i wzrok Sokulskiego; widocznie to było ulubione dziecko.

— To moi synowie — rzekł pan Sokulski wskazując na dwóch młodych ludzi rozmawiających pod piecem — Jan i Leon.

Jan mały, chudy, czarny, nadzwyczaj brzydki i przez żywość ruchów przypominający małpeczki, spojrzenie miał bystre i dowcipne, znany był w okolicy pod nazwiskiem Kościanego Dziadka; kochano go powszechnie dla miłego i wesołego humoru. Leon nierównie wyższy, twarzy pospolitej, flegmatyk, ciągnął słowo jedno po drugiem, lecz pomimo tego naciągania, zawsze pokazało się na końcu, że niebyło czego słuchać. Reszta kompanji zebrała się także koło nas i zaczęła się znacznie powiększać. Co moment zajechał jaki wózek,

i wkrótce małe pokoiki zapełnione zostały. Myślałem że to czyje imieniny, alem się wkrótce dowiedział, że tak co niedzielę sąsiedzi zjeżdżali się do powszechnie szanowanego pana Sokulskiego. Przypatrywałem się tym wszystkim figurom, i już miałem prosić gospodarza ażeby mię poznał z niektóremi osobami, które mi się były więcej podobały, kiedy zajechała krakowska buda.

Jan spojrzawszy w okno zawołał: — Pan Tomasz! pan Tomasz! — i wybiegł na ganek. Wkrótce wrócił ciągnąc za rękę gościa lat ze czterdzieści mającego. Gość ten ubrany był cały sieraczkowo, jak gdyby umyślnie dobierał koloru do włosów, które także zaczęły już być sieraczkowe.

— Pani Chorążony Dobrodziejki! — rzekł pan Tomasz postępując ku pani Sokulskiej.

Ta dała mu rękę, do której głośnego przyłożył całusa i poważnie na wszystkie strony się ukłonił. Widziałem po sposobie jakim go otoczono, że musiał zwykle przywozić nowinki, i dla tego samego przyjazd jego był zawsze pożądany.

— Cóż tam słychać panie Tomaszu? — zapytał Chorąży.

— Nic ciekawego, — odpowiedział pan Tomasz — Napoleon miał piękną mowę.

— Napoleon! — zawołał Sokulski — wszak on już na świętej Helenie.

— To nieprzeszkadza, dla tego miał piękną mowę; była w jakiejś francuzkiej gazecie Depate.

— Cóż to takiego? — przerwał Jan.

— A śliczna! co prawda to prawda! Do Francuzów, ale powiedział...

To rzekłszy zbliżył rękę do ust i pocałował się w palec.

— Niebyło tam co o nas? — zapytał poczciwy Sokulski, i wszyscy razem przystąpili żeby usłyszeć odpowiedź.

— Było, było i niemało! — odpowiedział pan Tomasz.

— Zmiłuj się, czy niepamiętasz?

— Zdaje mi się że przypomnę.

To rzekłszy zamilkł, potarł sobie czoło, a wszyscy zdawali się zatrzymywać oddech żeby niestracić i słowa z mowy, w której spodziewali się znaleźć powody do ożywienia nadziei w każdem polskiem sercu wiecznie tlejącej.

— Pamiętam! — zawołał pan Tomasz — prześlicznie! Bo to powiada: Narodzie! mówi narodzie!... Ty mówi narodzie!... zaraz zaraz —tu klapnął się w czoło. — Narodzie! powiada... rzecze: Ty mówi narodzie! Ty powiada... A! bardzo pięknie, ale więcej niepamiętam.

— Jak to można takiej rzeczy niepamiętać! — zawołał Sokulski — gdzież to było?

— Powiadam panu w Depate.

— Co to za Depate?

— To taka gazeta francuzka.

— Czy nie Journal des Débats? — przerwałem.

— Oto to! zgadł pan — odpowiedział pan Tomasz i wlepił we mnie oczy.

— Uśmiechnąłem się mimowolnie, a Jan podskoczył i zawołał:

— Prezentuję panu naszego przyjaciela, pana Tomasza. To pan Graf Adolf.

Pan Tomasz wypalił mi obszerny komplement i także oświadczył, że niewiem dla czego bardzo niecierpliwie na mnie czekał.

— Jakże się o tej mowie dowiedziałeś? — zapytał Jan z uśmiechem — bo jednak po francuzku nieumiesz?

— I cóż z tego — odpowiedział pan Tomasz — ale mam w domu takiego co umie, to tak jak bym sam umiał.

— I dla tego zapewne tak dobrze ją pamiętasz?

— Wielka rzecz żem się zaciął, to się każdemu wydarzy, czyto ja niemam o czem myśleć. Ot i przypominam sobie — dodał — mówi Narodzie stanąłeś.... powiada stanąłeś

mówi narodzie... — tu zaczęto się znowu zbliżać, lecz pan Tomasz uderzył się w czoło i zawołał: — ot znowu zapomniałem!

— Zdaje mi się — rzekłem — że Napoleon w rozkazie dziennym użył tych słów, mówiąc: że naród polski stanął w publicznej opinji pomiędzy heroicznemi narodami; to było w Journal des Débats, ale już kilka lat temu.

— A nie, panie, to bardzo świeże, ja wczoraj czytałem, chyba na nowo przedrukowali, bo czego to Niemcy niewymyślą.

— Jakżeś dostał tej gazety, — zapytał Jan — bo podobno nieutrzymujesz jej?

— Ktoby ją tam utrzymywał, posłałem do Łucka po mydło i przysłali mi go w tej gazecie zawinięte.

— A to bardzo świeże! — szepnęła Sybiroczka i upiekła raka.

— Kiedyż już niema Napoleona — rzekł Jan.

— Niema, niema! — odpowiedział pan Tomasz — znajdzie się on jak będzie trzeba; co to jego w kieszeń schować?

To rzekłszy pan Tomasz odwrócił się poważnie i poszedł od jednej do drugiej damy z komplementami; ja tymczasem usiadłem koło jednej pani lat ze trzydzieści mającej, w dużym słomianym kapeluszu. Jan zbliżył się do nas i rzekł:

— Prezentuję panu panią Korecką, trzymają tu niedaleko posessyą, a to pan Korecki — dodał, pokazując tłustego baryłę, który się do nas przytoczył.

Nie bardzo wiedziałem jak zacząć rozmowę, ale nareszcie zapytałem pani Koreckiej, czy kontenta z swojej posessyi?

— Majątek piękny — odpowiedziała — i bardzom kontenta, chociaż się do niczego niemięszam, mój mąż wszystkim się trudni. Wszak prawda duszko? — dodała obracając się do męża. Duszka otworzył gębę, ale żona niedała mu słowa przemówić i rzekła: — Ja tylko zgaduję jego myśli. Wszak prawda duszko? — Duszka znów się zabierał do odpowiedzi, ale pani Korecka dodała: — Ot widzi pan że prawda. Łany mamy dobrze wyrobione...

— Tak — odezwał się Korecki.

— Tak jest — przerwała pani — ale co też to my mieli kłopotu pókiśmy przyszli do tego! To bywało gnój wozim a wozim....

— Ale... — rzekł Korecki.

— Mój mąż ma racyą, udało się nam, ale wiele było kłopotu.

— To też... — rzekł znowu Korecki.

— Dobrze mój mąż powiada, to też mamy nagrodę i teraz dobrze nam idzie.

— Już... — rzekł Korecki.

— Prawda — przerwała żona — już dwa lata jak trzymamy te posessyą, a co roku łany lepiej rodzą

— Ale....

— O też to, ale za to drób nam się niewiedzie — przerwała pani Korecka wzdychając — widać jakaś bestya dusi.

— Już... — rzekł Korecki.

— W samej rzeczy, już odmienialiśmy i kury i koguty, wszystko zdychają a zdychają.

— Niech....

— Niech się dzieje wola Pana Boga — przerwała znowu pani Korecka — gęsi trochę lepiej.

— Ale... — przerwał Korecki z niecierpliwością.

— Ale — rzekła pani Korecka niezważając na tę niecierpliwość — jędyka ani jednego niemogliśmy się dochować. Prawda duszko?

Korecki podniósł ramiona i odszedł, a ja lękając się dalszego opisu gospodarstwa, poszedłem za nim i usiadłem przy Nastusi.

— Pani Sędzina — rzekłem uśmiechając się — szczególny ma dar zgadywania myśli swego męża.

— Czy pan temu wierzy? — odpowiedzia-

ła złośliwie Julija — wciąż mężowi gada że ma racyą, a robi co jej się podoba.

— Cóż na to pan Korecki?

— Cóż, milczy i tyje, a co większa, zdaje mu się że on panem w domu.

Kiedyśmy tak rozmawiali, zbliżyła się pani Sokulska i zaproponowała ażeby pójść do ogrodu. Pan Sokulski opowiadał mi bijografiją każdego drzewa, nareszcie zbliżyliśmy się do rozłożystej jabłoni.

— Widzisz pan — rzekł — to drzewo już było suche, a teraz najpiękniejsze w ogrodzie, a jak zarodzi to trzeba gałęzie podpierać, bo by się połamały. Pamiętasz matuszko?

— Pana to może dziwi — odpowiedziała Chorążyna — że mię mąż matuszką nazywa, ale to tak zmoskalał na Sybirze. Przez lat kilka nauczył się tego jednego słowa i niechce go zapomnieć.

— Dosyć tego dla pamiątki — odpowiedział Sokulski — zdaje się gdybym dwa słowa jedno po drugiem tym językiem powiedział, tobym się udławił.

— A jabym cię wtenczas dla ratunku serdecznie w kark biła — rzekła Chorążyna.

— I dobrzebyś zrobiła — odrzekł Chorąży.

— Długo pan byłeś na Syberyi? — zapytałem.

— Cztery lata, — odpowiedział Sokulski — dopiero jak Cesarz Alexander wstąpił na tron, tak nas uwolniono.

— Jakie prześliczne grusze, zkąd to pan podostawał takich gatunków? — zapytał pan Tomasz zbliżając się do nas.

Sokulski zaczął mu odpowiadać, a ja widząc że na ten raz nieuda mi się prowadzić dalej rozmowy tak dla mnie interessującej, odszedłem na bok. Jan Sokulski zobaczywszy żem się odwrócił, przyskoczył do mnie i zaczął prawić. W momencie dowiedziałem się całej jego biografji, z niej wpadł w literaturę i zacytowawszy kilku pisarzy, zawołał:

— I ja też zacząłem pisać!

— Cóż takiego?

— Pochwałę Generała Fiszera. Nieznają tego człowieka; ja świadek jego wojennych planów najlepiej potrafię oddać mu sprawiedliwość.

To rzekłszy dobył z kieszeni pomięty papier i przeczytał mi znajdujące się na nim kilka wierszy, z których dowiedziałem się ważnego szczegółu, że się Generał Fiszer urodził.

— Widzi pan, — zawołał Jan — jużem zaczął.

Uważałem był pierwej z kilku słów przez Jana wyrzeczonych, że był w wojsku pol-

skiem, ale niedałem na to uwagi, teraz słowa „ja świadek jego wojennych planów“ uderzyły mię, i zapytałem czy długo służył?

— A więcej sześciu miesięcy.

— W jakiejże randze?

— Byłem sierżantem, Fiszer bardzo mię lubił, raz nawet jechałem z nim od Piotrkowa do Warszawy.

— To zapewne w tej podróży kommunikował panu swoje plany? — zapytałem, z trudnością wstrzymując się od śmiechu.

— Nie — odpowiedział Jan poważnie — zapewne byłby co powiedział, bo czasu było dosyć, ale trudno było rozmawiać, bo on jechał w karecie, a ja na koźle. Ale czyż to się człowiek nie domyśli.

Radziłem mu żeby skończył zaczęty panegiryk i przyspieszyłem kroku dla dopędzenia kompanji wracającej do domu, a od której byliśmy się oddalili.

Już było około drugiej, zastaliśmy stół nakryty, i skosztowawszy wybornej piołunkówki zasiedliśmy do obiadu. Zrazy, kaszę, pierogi, skrapiano to piwkiem, to wybornym miodkiem; w końcu pokazało się parę buteleczek niezłego węgrzyna, i w pół godziny już byliśmy na nogach. Wchodząc do pokojów bawialnych zobaczyłem przygotowane dwa stoliki do kart, a na trzecim stós filiżanek i ogromny ciemno-orzechowy garnek z kawą, otoczony mnóstwem małych garnuszeczków napełnionych wyborną śmietanką. Pani Chorążyna wyszukała pomiędzy swemi kluczykami jeden malutki i otworzyła cukierniczkę, panny Sokulskie zbliżyły się do stolika i zaczęły częstować gości, a to tak uprzejmie, tak miło, że niepodobna było odmówić.

Przy jednym stole zasiadły cztery panie, a z niemi pan Tomasz i zaczęli grać w ćwika; przy drugim rozpoczęła się pula w maryasza. Z początku grano w cichości, ale wkrótce przy ćwikowym stoliku usłyszałem głos:

— Pan masz racyą, ale któż widział tak się zasadzać!

— Ja mościa... — odpowiedział zdekoncertowany pan Tomasz.

— Masz pan racyą, tak niemożna z tuzem i królem niećwikować.

— Nie... — rzekł znowu pan Tomasz.

— Niegodzi się, wpadłam w płatkę z pańskiej winy, kto tak gra?

Zbliżyłem się ażeby lepiej przysłuchać się wymówkom pani Sędziny, w tem przy drugim stoliku zawołano:

— Ze czterdziestu! Wzięłaś dublę matuszko.

— Jak to dubla? co waspan gadasz! Miałam czterdzieści maryasza, dzwonki i czerwieni.

— Cóż robić matuszko, wzięłaś dublę i kwita.

— Ale to być nie może!

Przeliczono karty i pokazało się, że matuszka w samej rzeczy wzięła dublę.

— A to rzecz niesłychana! — zawołała Chorążyna — ze czterdziestą maryasza wziąść dublę, to koniec świata!

— Pomagam! — odezwał się pan Tomasz.

— Może znowu z tuzem i królem? — rzekła pani Sędzina.

— Nie pani.

— W ten, w ten, tuz czerwienny i kralka! O to dobrze! Pan nic niewziął i w płatce; tak Pan Bóg karze kto się zasadza.

Pan Tomasz postawił płatkę, a ja trochę znudzony tym widokiem przeszedłem do drugiego pokoju, gdzie reszta kompanji znajdowała się. Kobiety siedziały osobno, a kilku mężczyzn skupionych pod piecem, pomiędzy sobą rozmawiali. Wszyscy mówili głośno, a ztąd powstawał szmer jednotonny i niezrozumiany; kiedy niekiedy przeleciało przez pokój wyraźniejsze słówko, czasem się zaśmiano, to na moment wszystko ucichło i znowu szmer powracał. Stałem we drzwiach niepostrzeżony, gdyż wszyscy zajęci rozmową niepatrzali w tę stronę i z przyczyny krzyżowania się wyrazów, osobliwsze zdało mi się słyszeć frazesa.

— Paskudna baba! — rzekła Julija.

— Tak ładnie pachnie — odezwał się w drugim końcu pokoju głos Nastusi, która mówiła o jakimś kwiatku.

— Dwa stogi siana mospanie! — zawołał gruby głos pod piecem.

— Ani jednej kozery! rzekł za mną pan Tomasz.

— Masz pan racyą, mam trzy lewy.

— Tak było pięknie — odezwała się jakaś panienka.

— Jak kosić było? — przerwał głos pod piecem.

— I cóż się stało? — zapytała Nastusia.

— Ze dwudziestu! — zawołano przy maryaszu

Namyślałem się w którą pójść stronę, żeby się do jakiej szczegółowej rozmowy przyczepić, w tem znowu zajechał pojazd, wszyscy umilkli, Julija spojrzała w okno i rzekła: — to Hrabina! — Wkrótce drzwi się otworzyły: weszła staruszka trzęsąca się, lat ze siedmdziesiąt mająca. Pani Chorążyna wybiegła na przeciw niej i posadziła ją wygodnie.

— To już przecie pani wracasz? — rzekła.

— Już też dawno wyjechałam — odpowiedziała Hrabina.

— Ale pani przenocujesz? Do Widzieńca mil cztery a droga nie bardzo dobra.

— A dobrze, to i przenocuję.

Chorążyna wybiegła żywo żeby urządzić nocleg Hrabiny, a ja tymczasem zapytałem Jana kto to jest, i dowiedziałem się, że to Hrabina Krycka, matka tego Kryckiego, co znajdował że pan Pirrel Lapończyk. Niewidziałem był jej odwiedzając Hrabiego, bo parę niedziel bawiła u innych Kryckich w powiecie Pińskim.

Panny Sokulskie zbliżyły się powitać Hrabinę, ona każdą pocałowała w czoło i przeżegnała; w tem dało się słyszeć mocne dzwonienie, wpadł na dziedziniec wózek trzema końmi zaprzężony, dwóch mężczyzn wyskoczyło z niego i pokazał się nam pan Asessor Kacki z jakimsiś Kapitanem od piechoty.

Pan Kacki posunął się zrazu, ale postrzegłszy mnie, świadka niepowodzeń jego w Taraszu, stanął jak wryty, a pan Kapitan przy drzwiach kiwnął głową, i spokojnie po nas wszystkich spoglądał. Sokulski wszedł do pokoju, Kacki ochłonął trochę z pierwszego wrażenia i powitawszy gospodarza, rzekł:

— Prezentuję panu Kapitana Bykowa, konsystuje w Czortysku.

— Pan niedawno przybył do Czortyska? — zapytał Sokulski.

— Da — odpowiedział Byków.

— Już na stałą konsystencyą?

— Niet.

— Piękne miejsce Czortysk.

— Da.

— Niechże pan siada.

— Niet.

Panny śmiać się zaczęły, a Chorąży widząc że nieuda mu się rozmawiać z Kapitanem rzekł:

— Może pan pozwoli szklaneczkę miodu?

— Da.

Podano mu ogromną szklankę, którą nic niemówiąc duszkiem wychylił i skrzywił się.

— Możeby pan wino wolał? — rzekł znowu Sokulski.

— Da.

Przynieśli więc szklankę wina, która tym samym sposobem zniknęła jak miodek.

— Czy wino lepsze? — zapytał Sokulski.

— Niet.

— To może jeszcze miodku?

— Da.

Tak nic niemówiąc połknął kilka szklanek

to miodku, to wina, zaczerwieniał i nareszcie sam poprosił o starkę. *)

Jak tylko połknął duży kielich starki, język mu się rozplątał i zaczął być niesłychanie mowny.

— Kto eta diewuszka? — spytał Sokulskiego, pokazując palcem na Nastusię.

— To moja córka.

— Prekrasna! a eta? — dodał zwracając palec ku drzwiom, w których stanęła była pani Korecka.

— To pani Sędzina Korecka.

— Skwiernaja roża. A eta? — rzekł pokazując na Hrabinę.

— To pani Hrabina Krycka.

— Nie możet byt, ja znakom Grafini Kryckiej, ona mołoda.

— Pan znasz żonę Hrabiego Kryckiego, a to jego matka z domu Jałowicka.

— Jałowicka! — zawołał Kapitan i przyskoczył ku niej. — Imieju cześt — rzekł — predstawit siebia Waszomu Sijatelstwu, ja wasz plemiennik.

Staruszka zdziwiona tą apostrofą, zapytała poważnie:

— Jakież między nami kuzynostwo?

*) Stara wódka.

— Wy Jałowicka a ja Bykow! — odpowiedział Kapitan i zaczął śmiać się głośno. Wszyscy mimowolnie także się zaśmiali, a pan Kapitan kontent z siebie zwrócił się ku Nastusi. — Ja nieznał — rzekł — czto ździeś nachoditsia takaja krasawica! — i to rzekłszy chciał ją pogłaskać pod brodę.

Nastusia rzuciła się w tył, a pan Kacki porwał Kapitana za rękę i coś mu szepnął do ucha. Kapitan kiwnął głową i rzekł:

— Praszczajtie, ja zdieś znow pryjedu, a tiepier dołżen jechat w śledztwie.

Oba się skłonili, wsiedli na wózek i polecieli. Jakkolwiek śmieszne to były figury, lżej się nam zrobiło na sercu jakeśmy stracili ich z oczów. Sokulski w wyborny wpadł humor i rzekł:

— Cóż panie Tomaszu, nic nam nieopowiadasz?

— A kiedyż nic niewiem — odpowiedział pan Tomasz.

— Ale gdzież tam — przerwał Jan — czy niewiesz tam jeszcze jakiej pięknej mowy?

— Nauczę się — odpowiedział pan Tomasz — pochwały Fiszera, jak będzie skończona.

Jan przygryzł wargi i zamilkł, a Chorążyna rzekła:

— To być niemoże panie Tomaszu, żebyś

czego niewiedział albo niesłyszał ustawicznie jeżdżąc, powiedzno.

— No i cóż — odpowiedział pan Tomasz — w Czortysku był przypadek w dominikańskim klasztorze, ksiądz Subprzeor tylko co się niezabił.

— Jezus, Marya, Józef! — zawołała Chorążyna żegnając się — cóż takiego? jakim sposobem?

— Państwo go znacie — rzekł dalej pan Tomasz — trochę za wiele pije, takito parę kwart wódeczki przez dzień wyciągnie; chodzić niemoże, bo strasznie tłusty, to też znudził się i zaczął sobie przez okno puszczać papierowego orzełka.

— Proszę państwa — mruknęła Chorążyna.

— Tymczasem orzełek zaczepił się na dachu.

— W imie ojca i syna — zawołała Hrabina.

— Subprzeor wlazł na strych, a ztamtąd na dach, usiadł jak na koniu i orzełka odczepił, ale złażąc pośliznął się i poleciał.

— Na miłość Boską — zawołała Chorążyna, składając ręce jak do pacierza — i cóż?

— A cóż, pani wiesz, dach wysoki a przytem trzy piętra.

— Panie świeć nad jego duszą! — zawołała Hrabina — zabił się.

— Nie pani, usiadł na dole, tylko wstać niemógł. Posłali po Doktora, chciał zobaczyć czy niema co złamanego, ale gdzie tam, ani domacać się kości.

— Co za szczęście że głowy nierozbił — rzekła poważnie Julija.

— Pani ma racyą — przerwała Sędzina — bo to mówią że w głowie środek ciężkości: wszak tak panie Janie? pan uczył się Chemji w Krzemieńcu?

— Uczyłem się — odpowiedział Jan śmiejąc się — tak jest w samej rzeczy.

— Czemuż Subprzeor usiadł, nie upadł na głowę?

— Widać — odpowiedział Jan — że albo nieumiał Chemji, albo że u niego środek ciężkości niebył w głowie; niema reguły bez wyjątku.

— To i chwała Bogu, — przerwała Hrabina — cóż Doktor?

— A cóż pani, nieznalazłszy kości zapisał kamforową wódkę do smarowania, ale Subprzeor ją wypił i zdrów jak ryba.

— I to pewno?

— Widziałem miejsce, Przeor dla pamiątki kazał tam posadzić morelkę.

Kiedy to mówił, drzwi się otworzyły i weszło czterech panów. Dwaj byli bracia Ra-

zowscy, Paweł i Michał, drudzy dwaj Borscy, ojciec i syn Fortunat. Niesłyszeliśmy pojazdu, przeto wejście tych panów zadziwiło wszystkich.

— Zostawiliśmy mąsy panie pojazd za bramą — rzekł pan Borski — przejeżdżamy tędy do Horodła, i niechcieliśmy minąć nieucałowawszy rączek pani Chorążyny dobrodziejki.

— Bardzo dziękuje panom — odpowiedziała pani Sokulska — dawnośmy się też niewidzieli.

— Tak mąsa pani, interesa, to bieda

— Coż tam słychać panie Cześniku — rzekł Sokulski — jak tam idzie polowanie?

— A cóż mąsy panie, nie dobrze, byłem w Międzycu polowaliśmy na wilki.

— I jakże, szczęśliwie.

— Osobliwsze miałem zdarzenie. Wytknął na mnie wilk ogromny jak źrebiec, ja do sztućca, przypuszczam o kroków dwadzieścia i myślę sobie: ja ci tu dam mąsy panie, tymczasem spaliło na panewce. Gdyby nie to mąsy panie, byłbym go pewnie zabił, niech powie mój syn Fortunat

— Zapewne tatku — odpowiedział Fortunat.

— Ot widzi pani, żadnej niema wątpliwości.

— Takie przypadki częste — rzekł Paweł Razowski — ale to mości rdzieju ja miałem

przypadek, że mi dzik wpadł miedzy nogi i poniósł; ja tu się wykręcam mości rdzieju, a tu co raz to błysk i stuk! to błysk i stuk! to ja głowę na prawo, to na lewo, a kule co raz świszczą koło uszów; w tem spotykam ogary! tylko co mnie nierozdarły; wreszcie zakłółem go kordelasem. A mości rdzieju Poniatowski u którego to było, na pamiątkę kazał nad psiarnią przybić jego rogi.

— Rogi dzika? mąsy panie.

— Nie mości rdzieju, łosia.

— Więc to był łoś mąsy panie? jakże on panu wbiegł między nogi, kiedy taki duży jak wół?

— Bodajem mości rdzieju Michała na marach oglądał, jeźli to nie prawda.

Michał się skrzywił, a Borski zawołał:

— Matko najświętsza! mąsy panie słyszałem różne przypadki i miewałem, ale takiego niezdarzyło mi się słyszeć. To rzecz osobliwsza! niech powie mój syn Fortunat.

— Prawda papo — rzekł Fortunat.

— Masz pan racyą — zawołała pani Sędzina — znam trochę historyi, ale dzik z rogami! Duszko, czy słyszałeć o rogach u dzika?

Duszka nic nieodpowiedział. Razowski korzystając z milczenia rzekł:

— Mościa rdziko, w naturze są fenomena,

czemuż niemogą wyrosnąć rogi tam gdzie się ich człowiek niespodziewa?

Pani Sędzina przygryzła wargi, a Borski zawołał:

— Trudno mąsy panie powiedzieć, to być niemoże, bo cóż niemoże być na polowaniu? Wszak to wiadomo, jak nieboszczyk Radziwił panie kochanku mąsy panie, miał kulą sztuciec nabity a nad głowę mu nadleciało stado kaczek, przymierzył mąsy panie, i jak zaczął kręcić strzelbą i wypalił, to kula tak się kręciła w koło od jednej kaczki do drugiej, że coś piętnaście razem spadło. Niech powie mój syn Fortunat.

— Prawda papo.

— Ja raz mości rdzieju — rzekł Razowski — zabiłem lisa, wtroczyłem go do siodła i ujechałem dwie mile. W domu mości rdzieju, przyszedł dojeżdżacz z nożem zdejmować skórę, położył lisa na stole, a ten mości rdzieju jak się kopnie przez okno! na dziedziniec, my za nim; rozsmyczowali charty, hajże go! Mości rdzieju gdzie tam, żaden ani liznął.

— Czy to być może? — zawołał pan Tomasz.

— Bodajem Michała na marach oglądał.

Moment jeszcze gadali, nareszcie Michał przypomniał, że do Horodła kawał drogi a

wieczór się zbliża; myśliwi zatem pożegnali się i wyszli; po ich wyjściu wszyscy zaczęli przypominać rozmaite o nich anegdoty i śmieli się parę godzin. Przysłuchiwałem się ciekawie, bom spodziewał się zastać ich w Horodle, gdzie i sam miałem jechać nazajutrz. Chciałem był pomówić moment z panem Sokulskim, ale napróżno, tłum gości niedał mi się zbliżyć do niego; zaprosiłem go więc do siebie po powrocie moim z Horodła i Stajniowa, dokąd wprawdzie niespieszyłem się, ale gdzie niemogłem odwlekać dłużej wizyty, kiedy już u wszystkich innych byłem sąsiadów. Pożegnałem więc całe towarzystwo, wszyscy wyprowadzili mię na ganek, wsiadłem do wózka i pojechałem.

Już dobrze zciemniać się zaczynało kiedym wyjechał był z Lichnówki, to też zaledwo ujechałem pół drogi, musiałem noga za nogą się posuwać. Obydwa z Piotrem wytrzeszczaliśmy oczy żeby gdzie z drogi niezboczyć, bo to groziło albo połamaniem wózka pomiędzy pniami i leżakami, albo wywróceniem się do jakiego błotnistego rowu. Połowa drogi która jeszcze zostawała, była ciągłą prawie groblą, a darń i krąglaki tak małą na niej grały rolę, że powiedziećby można, iż z samych dziur złożoną była.

Jużeśmy byli paręset kroków po tej, jak Piotr mówił, niby grobli ujechali, kiedy zobaczyłem na prawo, na samym jej brzegu coś czarnego. Przedmiot ten niewielki czasem sam jeden, czasem podwójny, wznosił się co raz nad groblą i znikał. Zdało mi się, że jakieś dzikie zwierzęta zeszły się koło grobli, kazałem więc stanąć, wziąłem strzelbę i pomału zacząłem podchodzić. Tymczasem mały przedmiot dobrze z razu widzialny zaczął znikać i usłyszałem: — Mości rdzieju! — w moment drugi podniósł się do góry i rzekł; — Mąsy panie! — Domyśliłem się że myśliwi wywrócili się i napróżno usiłują wyleźć z rowu, i taki pusty śmiech mię ogarnął, że wróciłem do mego wózka, żeby sie w głos nierozśmiać i niezrobić im nieprzyjemności. Prędko jednak uspokoiłem się, kazałem konie przywiązać do drzewa, i wraz z Piotrem poszliśmy ratować podróżnych.

— Czy tylko niepokaleczyli się?—rzekłem.

— A nie! panie, — Piotr odpowiedział — w tem miejscu grobla niewysoka.

— Dla czegoż niemogą wyleźć z rowu?

— Bo tam panie trzęsawica, człowiek jak stanie to trochę niby się zatrzyma, a potem i opuszcza się pomału w błoto.

Ta explikacya wytłómaczyła mi ruchy myśliwych, którzy co raz na świeże miejsca stąpając podnosili głowy nad groblę, a potem grzęznąc w błocie znikali. Zaspokojony o ich całość, poleciłem Piotrowi zatrzymać się moment, a sam cichutko podszedłem ażeby posłuchać co oni tam robią.

— Nigdy mąsy panie — rzekł pan Borski — niebyłem w takiej tarapacie, niech powie mój syn Fortunat.

— Szkoda mości rdzieju — odpowiedziano — że Fortunat z Michałem poszli po ratunek do miasteczka, bo my podobno sami bez nich niewyliziem.

— Hu! mąsy panie, zagrzązłem niżej kolan.

— Bru! i ja także mości rdzieju. Pamiętam raz polując na dziki....

— Daj pan pokój mąsy panie! my tu sami jak dziki.

— Jak panowie tu wpadli? — zapytałem.

— Coś zagadało mości rdzieju — odezwał sie przestraszony Razowski.

— Śni się panu mąsy panie — odpowiedział Borski.

— Ale mości rdzieju słyszałem!

— Śni się panu, niech powie mój syn Fortunat.

— Ale bodajem Michała na marach oglądał.

— Nie śni się! — przerwałem.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! mąsy panie. — A słowo stało się ciałem! mości rdzieju — oba głosy razem zawołały.

Po tych dwóch exklamacyach dowodzących mocnego przestrachu, chcąc ich uspokoić, zawołałem głośno: — niech panowie będą spokojni, wyciągniem panów. — To rzekłszy zawołałem Piotra, ten przyniósł tyczkę którą spuściliśmy do rowu, jeden z babrających się w błocie wziął oburącz jej koniec, my we dwóch zaczęliśmy ciągnąć ku sobie, i po chwili usłyszeliśmy już na grobli: — huf! mąsy panie. — Pan Borski podskoczył ku nam dziękując za ratunek i rzekł:

— To już nie pierwszy raz mi się zdarza; raz będzie temu lat ze dwadzieścia, polowaliśmy w Nieświeżu, donieśli byli mąsy panie strzelcy, że ogromny niedźwiedź....

— Gdzie pan jesteś? mości rdzieju — zawołano z rowu.

— Na grobli mąsy panie, bądź pan spokojny! Że tedy mówię ogromny niedźwiedź położył się w lesie....

— Ale mości rdzieju, jak pan wylazł?

— Bądź pan spokojny! monsy panie, wylazłem. My tedy dalej do strzelby; zajechały pojazdy, sam Książe wyszedł. A był tam mąsy panie strzelec....

— Panie Cześniku mości rdzieju, gdzie pan jesteś?

— Na grobli mąsy panie, bądź pan spokojny! Był strzelec, że bywało, niech powie mój syn Fortunat.

— Ale mości rdzieju, co pan tam robisz? Bru! jakaż kałuża.

— Wydobądźmy naprzód pańskiego towarzysza — rzekłem.

— Zaraz skończę mąsy panie, a woda ciepła! to bywało ten strzelec mówi: palnę go w głowę, czy w nos, czy w piersi i nigdy nie chybi, niech powie mój syn Fortunat.

— Z kim gadasz? mości rdzieju.

Tu przestałem słuchać pana Cześnika, poszliśmy z Piotrem do rowu i szczęśliwie usłyszeliśmy wkrótce na grobli: — huf! mości rdzieju. — Pan Paweł słusznie rozgniewany, niepodziękował nam nawet za ratunek, ale rzekł z gniewem do Cześnika:

— Tak mości rdzieju niegodzi się! ja w błocie babram, a pan rozprawiasz; gdyby mi to kto inny zrobił jak stary przyjaciel, to bodajem Michała na marach oglądał!

— Ale mąsy panie, żebyś pan wiedział jaka to mi ciekawa okoliczność się przypomniała.

— Co mnie po tej okoliczności mości rdzieju.

— Posłuchajże waspan mąsy panie! Polowaliśmy w Nieświeżu...,

— Daj mi pan pokój z Nieświeżem! Kto nas wyratował mości rdzieju?

— A prawda, mąsy panie. Kogoż mamy honor witać?

— Mniejsza o to — rzekłem — kto panów wyratował, teraz rzecz na tem jak się dostać do R....

— I napić się mości rdzieju — dodał Razowski — ciepłej herbatki.

— Czy to pan mąsy panie u Jankiela herbatki dostaniesz?

— A prawda mości rdzieju, to napijem się wódeczki, co tam, byle się rozgrzać.

— Ale przedewszystkiem — rzekłem — trzeba się naprzód dostać do R.... a że ja tam jadę, to panów zawiozę.

— Nadzwyczaj obligowany, mości rdzieju. — Bardzo obowiązany. mąsy panie — razem oba się odezwali.

— Niechże panowie siadają!

— Siadaj pan mości rdzieju.

— Pan naprzód mąsy panie.

— Nie rób pan mości rdzieju ceremonji.

— Ale ja nigdy niesiedzę na prawej stronie mąsy panie.

— Dajcież panowie pokój tym grzecznościom! — rzekłem zniecierpliwiony — właśnie czas na nie w błocie.

Przekonani moją uwagą umilkli, siedli, a ledwośmy pięćdziesiąt kroków ujechali, potężnie chrapać zaczęli. Zajechaliśmy przed ganek, wyszedł mój kamerdyner, salon oświecono, kazałem posłać szukać Fortunata i Michała, potem rozbudziliśmy podróżnych.

— Masz mąsy panie Jankielu herbatę? — zapytał Borski.

— A jeźli niemasz mości rdzieju — dodał Paweł — to daj choć wódeczki.

— Będzie jedno i drugie — rzekłem — proszę za mną.

Weszliśmy do salonu, moi goście na w pół zaspani nic jeszcze niepostrzegli, i pewni byli że są w karczmie, ale jak zobaczyli oświecony salon rozbudzili się zupełnie i pan Cześnik zapytał:

— Kogoż mamy honor witać?

— Tego samego co i na grobli.

— Gdzież my jesteśmy? mości rdzieju.

— W R...

Na to wszedł Maliński.

— Jużeśmy byli niespokojni — rzekł — że JWPan mospanie nieprzyjeżdżał.

— To pewnie mości rdzieju, pan dobrodziej jesteś dziedzic tutejszy?

— Tak jest — odpowiedziałem.

— A co za szczęście! mąsy panie. Ja znałem dobrze stryja pańskiego i ojca, niech powie mój syn Fortunat,

— Czy JWPan niema co do rozkazania? mospanie — zapytał Maliński.

Rozkazałem przygotować dla moich gości posłanie, dano herbatę i jaką taką kolacyjkę, której szczęśliwie odszukani Michał i Fortunat asystowali i pozbyłem się przecie gadułów.

Nazajutrz rano spałem długo, i obudziwszy się, dowiedziałem się że moi goście raniutko pili kawę, ale niechcieli wyjechać bez pożegnania. Przyszedłem więc do salonu, zastałem ich obydwóch grajacych w maryasza, Michał przeglądał się w lustrze i poprawiał sobie włosy, a Fortunat biegał po salonie ze skórzaną łopatką i bił muchy. Bałem się żeby mię długo niezabrali czasu, ale po krótkiem powitaniu pożegnali mię, powiedziałem im, że dnia tego przed wieczorem i ja zapewne będę w Horodle, i nareszcie odjechali.

VIII.

Jakkolwiek ubawiła mnie scena na grobli, niekontent byłem z tego, że to na mojej grobli

się stało. Jak tylko zatem sam zostałem, kazałem zawołać Malińskiego i z gniewem prawie rzekłem do niego:

— Jak też można scierpieć pod samem miasteczkiem taką groblę?

— A cóż mospanie — odpowiedział Maliński — tam Bóg wie wiele wozów JWPanie faszyn i darni trzeba wrzucić i znaku niebędzie.

— Ale żebyś wacpan często po trochu naprawiał, toby tak niebyło.

— Gdzie tam JWPanie, narzucić mospanie faszyny, to za dwa dni znowu wyboje, niewarto pracy.

Chciałem co rozkazać, ale niebardzo wiedząc jak się groble naprawiają, postanowiłem nadrobić miną i rzekłem:

— Ja w to bliżej wejdę jak powrócę z Horodła, a tymczasem każ pan jak można te dziury wyrównać.

— Dobrze mospanie JWPanie — odpowiedział Maliński i wyszedł, a ja pojechałem do Horodła.

Horodło niedaleko było od R...; trzeba było przejeżdżać przez Olarkę. Chciałem zrazu wstąpić do pana Piniewskiego, i dalej odwiedzić przejazdem nieboszczyka Hureckiego, ale te odwiedziny dodane do złej drogi, byłyby mię tak spóźniły, że ledwo w nocy był-

bym do Horodła przyjechał. Postanowiłem więc jechać prosto i na dobre mi to wyszło, bo lubo niezatrzymując się, o siódmej dopiero wieczorem zajechałem przed dom pana Urskiego. Dom jedno-piętrowy długi niezmiernie, ciągnął się po nad drogą, która go przedzielała od ogromnego stawu. Za pierwszem spojrzeniem widać było, że w miarę potrzeby przybudowywano czasami jeden lub kilka pokojów, i w tym momencie drzwi wchodowe znajdowały się na końcu domu. Okiennice były pootwierane, w salonie mocno oświeconym widać było kilkanaście osób; na ścianie błyszczało mnóstwo ram pozłacanych rozmaitej wielkości. Wysiadłem z powozu, drzwi się otworzyły, wyszedł marszałek dworu i na zapytanie moje odpowiedziawszy, że pan Deputat jest w domu, otworzył drzwi do przedpokoju, i zaraz potem drugie do oświeconego salonu. Jak tylko wszedłem, powstał z kanapy człowiek nizkiego wzrostu, łysy i bardzo otyły, złożył ręce na brzuchu, zamrużył oczy, uśmiechnął się i w tej pozycyi stał nieporuszony. Niewiedziałem co znaczy ta pantomina i przyznam się, że w wielkim byłem ambarasie, ale z drugiej kanapy powstała kobieta tak chuda, że ledwo nieprzezroczysta i zagadała coś do mnie. Domyśliłem się że to być musi

gospodyni, poszedłem więc ku niej i prezentowałem się. Pani Urska mile mię przyjęła i rzekła:

— Prezentuję panu mego męża.

Zwróciłem oczy w stronę którą mi wskazywała, i postrzegłem nieruchomego tłuściocha w tej samej pozycyi, z tym samym uśmiechem, ale już ku nam obróconego. Na głos swojej żony nieruszył się, zdało mi się tylko, że uśmiech jego się rozszerzył. Jakkolwiek bądź przybliżyłem się do niego i powiedziałem, że przybywszy w te strony na mieszkanie, chciałem go poznać.

Po chwili pan Deputat jeszcze szerzej się uśmiechnął, oczy zamknął mocniej i cokolwiek się skłoniwszy rzekł cicho: — bardzo — tu ścisnął usta jakby co połknął, i powtórzył: — bardzo. — To rzekłszy pokazał mi ręką krzesło i wrócił do dawnej pozycyi. Przypatrywałem mu się ciekawie, a widząc że się nierusza, usiadłem Bóg wie jak długo trwałaby była ta scena, gdyby jej był nieprzerwał głos pana Cześnika:

— Witam pana dobrodzieja, mąsy panie.

— Opowiadaliśmy panu Deputatowi nasz przypadek, mości rdzieju — dodał Paweł — niesłychanie się ubawił.

Tak oderwany od mojej kontemplacyi wsta-

łem z mego miejsca i przybliżyłem się do pani Urskiej. Obok niej siedziała poważna kobieta mająca koło siebie młodą ładną panienkę; była to pani Mirska, siostra pani Urskiej z córką. Po pierwszych słowach widać było, że wszystkie te panie wesołego były charakteru, słówka podchwytywały zręcznie, co moment która powiedziała coś dowcipnego i zaledwo minęło pół godziny, śmieliśmy się do rozpuku, zapomniawszy prawie o reszcie kompanji. W tem szelest dość głośny dał się słyszeć na środku salonu, zwróciłem głowę i postrzegłem pana Deputata z kieliszkiem szampana w ręku, a za nim resztę mężczyzn podobnie uzbrojonych posuwających się ku nam. Patrzałem ciekawie na tę processyą; jak się zbliżyła, pan Deputat nic niepowiedział tylko przymrużył oczy i kielich do ust przyłożył, ale za nim odezwał się znany głos:

— Zdrowie pana Grafa! mąsy panie.

Widząc że baterya do mnie wymierzona, spojrzałem na panią Urskę, ta się uśmiechnęła i nieznacznie ruszyła ramionami, ja mimowolnie odpowiedziałem jej tym samym sposobem, wstałem i podziękowałem pijącym za dowód ich uprzejmości.

Lecz wiedziałem że podziękować nie dosyć, jak tylko więc processya zwróciła się i ru-

szyła do kąta salonu w którym ustawiony był ogromny rząd butelek, poszedłem za nią, nalałem sobie kielich i spełniłem go za zdrowie tych panów. Skłonili mi się uprzejmie, a pan Cześnik szepnął do pana Urskiego:

— Młody mąsy panie, ale widać zna świat.

Deputat kiwnął głową, uśmiechnął się i odpowiedział:

— Bardzo, bardzo.

Ja tymczasem wyniosłem się z kąta i siadłem znowu przy stoliku obok pani Urskiej. Co raz to usłyszeliśmy jakie nowe zdrowie i rozmowa zaczęła być głośniejszą, pan Deputat tylko nieodzywał się nigdy lecz czynnie spełniał kielichy. Co raz to wzniósł się po nad inne głosy okrzyk mąsy panie lub mości rdzieju, nareszcie jeden z pijących, niejaki Szambelan Płocki wyszedł z kąta i zasiadł koło nas; twarz miał bladą, uszy karmazynowe, wargi mu się trzęsły, widocznie szampan działał na nim.

— Co za oryginały! — rzekł do pani Urskiej — mąsy panie! mości rdzieju!... Jakem katolik nic podobnego niesłyszałem.

— Zapewne — odpowiedziała pani Urska przygryzając wargi — takie przysłowia zawsze śmieszne.

— Masz pani racyą, to też ludzie dobrze wychowani niemają ich, jakem katolik.

— A toż co? mąsy panie — odezwał się raptem głos pana Cześnika, który był podszedł niepostrzeżony.

— Co! — zawołał zrywając się przelękniony Szambelan.

— Te jakem katolik, mości rdzieju — odezwał się Paweł, który jak cień nieodstępował Cześnika.

— To tak sobie — odpowiedział jakając się Szambelan — ja tak przypadkiem powiedziałem.

— Zobaczymy tych przypadków mąsy panie — mruknął Cześnik i wszyscy zasiedli koło stolika.

Ale rozmowa ustała, trzej antagoniści zdawali się czyhać na siebie w milczeniu, nareszcie pani Urska rzekła do Pawła:

— Panowie mieliście wczoraj przypadek w R....?

— A tak mościa rdziko, wywróciliśmy się.

— Ja się wstydzę za to — odpowiedziałem — bo to na mojej grobli.

— Wstyd Malińskiemu — rzekł Szambelan — jakem.... — tu się wstrzymał i po chwili dodał: — pan dopiero przyjechałeś?

— Co jakem? mąsy panie.

— Nic — odpowiedział Szambelan.

— To zawsze mniej więcej na mnie spada — odpowiedziałem.

— Jakem katolik! — zawołał zapomniawszy się Szambelan.

— Konotuję mąsy panie, pierwszy przypadek — podchwycił Cześnik.

Pan Szambelan zamilkł, a ja widząc jego pomięszanie chciałem dalej ciągnąć rozmowę, i dodałem jakbym był nic nieuważał.

— Już dni dziesięć jakem przyjechał i sam przebyłem okropne groble, to powinienem był choć zacząć naprawę.

— Jakem katolik! — rzekł Szambelan.

— Drugi przypadek mości rdzieju — przerwał Paweł.

Szambelan znowu zamilkł, a Cześnik widząc to uśmiechnął się i rzekł podając mu rękę:

— Widzisz pan mąsy panie, że to do edukacyi nienależy: czego się skorupka za młodu napije, tem na starość trąci; wybacz mi pan zatem moje mąsy panie, a ja panu wybaczę pańske jakem katolik.

Ledwo skończył, druga ręka wyciągnęła się ku Szambelanowi.

— I mnie pan wybacz moje mości rdzieju, — rzekł Paweł — to się pokwitujem z katolika.

Szambelan zwalczony zaczerwieniał, wy-

ciągnął ręce na obie strony, uścisnął swoich antagonistów i wszyscy trzej razem wziąwszy się pod ręce, poszli do kąta, w którym jeszcze pan Deputat z resztą kompanji dotrzymywał butelkom. W skutek zgody między Cześnikiem, Pawłem i Szambelanem, toasty znacznie się pomnożyły, gdyż oprócz wzajemnego między sobą zdrowia, każdy chciał być uczestnikiem i każdemu trzeba było podziękować. Nareszcie taka zaczęła się wrzawa, że pani Urska zadzwoniła, wszedł lokaj, ona kiwnęła ku niemu głową, on widać mając dawno dane rozkazy wyszedł, a po chwili wszedł marszałek dworu z oznajmieniem, że wieczerza na stole. Podałem rękę pani Urskiej i poszliśmy do jadalnej sali.

— Niechaj mię pani — rzekłem — weźmie w swoją protekcyą, bo ja pić niemogę.

— Bądź pan spokojny — odpowiedziała — mój mąż nikogo niezaprasza, ci tylko piją co chcą; a zresztą — dodała — my pana posadzimy między sobą.

W samej rzeczy usiadłem koło pani Urskiej, ta mrugnęła na siostrę, która przeszła na moją stronę i siadła przy mnie, panna Mirska z drugiej strony gospodyni, przy niej pan Deputat, reszta zaś gości siedli gdzie się komu podobało. Stół był bogato ubrany, wieczerza

wyborna, gospodynia i jej towarzyszki miłe, czas więc ulatywał szybko; pan Deputat jadł smaczno i milczał, a Cześnik, Paweł i Szambelan tak byli radzi z pogodzenia się, że wciąż z sobą rozprawiali i wypróżniali butelki, które lokaj umyślnie do tego przeznaczony ustawicznie zmieniał. Po wieczerzy weszliśmy do salonu w tym samym porządku, drzwi ubocznego pokoju otworzyły się i dała się słyszeć muzyka. Pan Deputat zdawał się trochę odżywiony, czasem nawet rzucił okiem na kogo i kiwnął głową, nareszcie zaczął powoli wstawać: w ręku trzymał koniec ogromnej białej chustki od nosa, której drugi koniec leżał na posadzce, muzyka co raz głośniej brzmiała, nareszcie Deputat zupełnie się wyprostował i zamknął oczy. Wtem tony zaczęły słabieć, Deputat zaczął przysiadać, i jak muzyka przyszła do pianissimo siadł zupełnie, westchnął i tak się zdawał nieczuły, jak gdyby zasnął.

— To wschód słońca Hajdena — rzekł do mnie Szambelan — pan Deputat tak lubi ten kawałek, że ze słońcem wstaje, i jak słońce zachodzi siada.

— Pan żartuje.

— Jakem katolik.

Pan Deputat ocknął się, podszedłem do

niego i zacząłem się rozwodzić nad pięknością muzyki.

— Bardzo! — rzekł cicho — bardzo!... pozwoli pan wina?

To rzekłszy wstał pomału i posunął się ku butelkom, wszyscy za nim poszli, ja tylko zostałem przy damach. Pan Urski nalał kieliszek, obrócił głowę i patrzał na mnie w milczeniu, a widząc że nieprzychodzę, rzekł cicho do Pawła:

— Zdrowie Hajdena!

— Niech żyje! mości rdzieju — odpowiedział Paweł porywając kielich.

— Już umarł — rzekł znowu cicho pan Urski przymrużając oczy.

— To Panie świeć nad jego duszą! mąsy panie — zawołał Cześnik wychylając swój kielich.

— Jakem katolik! — rzekł Szambelan — to chrześcijańskie zdrowie, niegodzi się odmówić. — To mówiąc wyciągnął rękę z kieliszkiem, Cześnik nalał mu wina, on podniósł oczy w górę, zawołał z rozczuleniem: — Panie świeć nad jego duszą! — i duszkiem wypił szampana.

Muzyka znowu grać zaczęła; po każdem odegraniu kawałka pito za zdrowie autora, nareszcie drzwi się zamknęły a zegar na kominie wybił dwunastą. Pożegnałem więc panią Urską i poszedłem do przeznaczonego mi pokoju. Na drugi dzień około dziesiątej przyszedł pan Deputat ze swoim przyjacielem i plenipotentem niejakim panem Chodoskim. Swoim zwyczajem zasiadł nic niemówiąc, Chodoski za niego rozmawiał i szczęściem był człowiek rozsądny. W rozmowie wspomniał o kollekcyi obrazów i pięknej bibliotece, które pan Urski wielkim kosztem co roku powiększa. Postrzegłem że na to oczy pana Deputata ożywiły się, prosiłem więc o pozwolenie zobaczenia tych zbiorów.

— Bardzo proszę — rzekł głośniej i żwawiej niż zwykle pan Urski i poszedł naprzód.

Weszliśmy do dużej sali uformowanej z kilku pokojów, których ściany powybijano. Biblioteka mogła mieć do ośmiu lub nawet więcej tysięcy woluminów; pan Urski zaczął być prawie mowny, pokazał nam rzadkie edycye, oświadczył że jest zajęty układaniem katalogu krytycznego swojej biblioteki; lecz co mi się najwięcej podobało, to komplet dzieł polskich, ważniejsze były nawet rozmaitych edycyi; gospodarz obszernie to opowiadał, wiedział gdzie były drukowane, kiedy i przez kogo, lazł żwawo po schodach, jednem słowem żył w bibliotece. Widziałem że był człowiek po-

żyteczny i przygotowywał materyały, które kiedyś mogą się stać dla kraju prawdziwym skarbem. Zeszło nam spiesznie kilka godzin i zadziwiliśmy się kiedy wszedł lokaj i zaprosił na śniadanie; była już druga godzina.

Wyszliśmy zatem z biblioteki; na progu pan Urski zdał się wpaść znowu w zwykłe swoje odrętwienie i wszedł do salonu tak nieruchomy, tak milczący, jakim go wczoraj widziałem. W salonie zastaliśmy damy i wczorajszych gości; stół okryty marynatami, wędlinami, wódeczkami różnego gatunku, czekał na nas. Rzuciliśmy się na te przysmaki i wnet dano obiad, do którego to śniadanie było tylko wstępem.

Zaledwośmy usiedli do stołu, zajechał jakiś pojazd, wysiadł z niego człowiek chudy, podeszły, nizkiego wzrostu, i wszedł prosto do jadalnej sali. Pan Urski wstał nic niemówiąc, gospodyni tylko rzekła:

— Jak się ma pan Podkomorzy?

— Dobrze, mocia dziko — odpowiedział Podkomorzy i zasiadł do stołu.

Był to Podkomorzy Pohorski, mieszkający o kilka mil ztamtąd, w miasteczku zwanem Dazne. Widać że przez drogę dobrze wygłodniał, bo łapczywie pożarł zupę, i po drugiem dopiero daniu zdał się nabierać siły do mówienia.

— Cóż tam słychać? mąsy panie — zapytał Cześnik.

— Zec osobliwsa — odpowiedział Podkomorzy szepleniąc — psejezdzał z Łucka umyślny do Gubernatora.

— Cóż to osobliwszego, mości rdzieju.

— Zec osobliwsa, kiedy umyślny to z cemsiś waznem, wsak prawda?

— Zapewne mości rdzieju.

— A moze i nic?

— Może i nic mąsy panie.

— A mnie się zdaje ze z cem waznem.

— Jakem katolik i mnie się zdaje.

— Ale moze i nie — odpowiedział Podkomorzy trzesąc głową. — Co pani myśli? — dodał obracając się do gospodyni.

— Cóż ja mogę wiedzieć — odpowiedziała pani Urska przygryzając wargi.

— Mnie się wydaje, ze to coś bardzo waznego.

— Zapewne — przerwałem, sądząc że skończę tem powątpiewania Podkomorzego.

— Ale moze tez i nie — rzekł Podkomorzy.

— Cóż tam więcej — zapytała pani Urska widocznie zniecierpliwiona tem nudnem powtarzaniem: — mozę tak, moze nie.

— Zec osobliwsa — rzekł Podkomorzy — nic niechciał powiedzieć. Pytam zkąd Kozak? — z Łucka — dokąd? — do Zytomierza — i pojechał.

— Jakże pan wiesz mości rdzieju, że to do Gubernatora?

— Juz to pewno, do kogozby miał jechać do Zytomierza?

— Czyż to tam mąsy panie, mało mieszkańców.

— Moze i do kogo innego, ale mnie się zdaje ze do Gubernatora — odpowiedział Pohorski. — Jak pan myśli? — dodał obracając się do Pawła.

— Może i do Gubernatora mości rdzieju.

— A moze i nie.

Pani Urska podniosła ramionami i rzekła do mnie półgłosem:

— Zec osobliwsa, moze tak, moze nie, będziem tego mieli cały dzień.

Ja żałośnie westchnąłem, na co wszystkie te panie w głos się rozśmiały, a Cześnik tymczasem dalej prowadził rozmowę.

— Słyszałem mąsy panie — rzekł — że mają łączyć Słucz z Horyniem, i że już nawet zjechali Komornicy plan zdejmować.

— Zec osobliwsa — odpowiedział Podkomorzy — był u mnie Major od Inzynieryi, co za tem jeździ.

— Którędyż mości rdzieju, będzie iść ten kanał, czy niemówił panu?

— A jakze! był u mnie na obiedzie; a to tak — dodał odsunąwszy z przed siebie karafkę i szklankę i wodząc palcem po obrusie. — Pan wies, to Horyń.. tu moje Dazne... tu kręci się... tu Stajniow, a tu moje Dazne... dalej Dębica... a tu moje Dazne... tu znowu się zakręca... a tu moje Dazne, tu na prawo Słuc... a tu moje Dazne... a tez ztąd dotąd będzie kanał.

— A!... mąsy panie. — Tak! to... mości rdzieju. — Aha! dobrze jakem katolik — razem trzej biesiadnicy się odezwali.

— Czy pan zrozumiał? — zapytała mię pani Urska.

— Zrozumiałem — rzekłem — że Podkomorzy mieszka w Daznem.

— I to szczęśliwie — przerwała pani Mirska — dziś wyraźniej się tłomaczy niż zwykle.

Przez czas długi Podkomorzy rozpowiadał i tłomaczył rozmaite rzeczy, które Cześnik, Paweł i Szambelan trochę podpici, i zapewne dla tego że podpici usiłowali zrozumieć, zadając rozmaite zapytania i równie jasne jak opowiadanie otrzymując od Podkomorzego

odpowiedzi. Nareszcie obiad się skończył i wróciliśmy do salonu. Pan Urski pomnąc na moje ranne żądanie, zaczął mię oprowadzać od jednego do drugiego obrazu, cytował rozmaite nazwiska malarzy i dosyć żwawo przeprowadził mię przez kilka pokojów, których ściany równie jak ściany salonu zakryte były obrazami bogato oprawnemi i utrzymywanemi starannie. Niewiem czy to były w samej rzeczy takie oryginały jak mi powiadał, ale były obrazy dobre i wybierane przez znawcę. Nareszcie stanął przed dużym jednym obrazem, spuścił oczy, zarumienił się jak piętnastoletnia panienka, westchnął i rzekł cichutko:

— Niewiem autora.

— Widziałem w Wilnie — odpowiedziałem mu na to — dwa obrazy Czechowicza, ten sam pędzel; założyłbym się że to obraz Czechowicza.

Na to Deputat rzucił się, uścisnął mi rękę, a to z taką żywością, że niewierzyłem własnym oczom, i zawołał głośno:

— Masz pan racyą! kręciło mi się po głowie to nazwisko, prawda!

Tu zaczął robić uwagi, i tak się przekonał że to obraz Czechowicza, że w pół godziny później już karteczka z napisem Czechowicz była z tyłu obrazu przyklejona. Wróciliśmy

do salonu; pan Urski znowu odrętwiał, ja siadłem przy damach, mężczyzni zgromadzeni w drugim końcu salonu to pili, to rozmawiali i na tem zeszedł dzień cały Wieczorem chodziliśmy po ogrodzie. Pani Urska tak znała kazde drzewko i każdą roślinkę, jak jej mąż każdy obraz i każdą książkę. Po wieczerzy grała muzyka dosyć fałszywie, nakoniec pożegnałem gospodarzy i udałem się do spoczynku, mając na drugi dzień z rana wyjechać do Stajniowa.

IX.

Dobrze to mówią: człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. W nocy przyjechał posłaniec z R... i przywiózł mi listy od siostry mieszkającej na Podolu. Prosiła mię ażebym jak najprędzej do niej przyjechał. Niebyłem wybrany w tak daleką podróż, a niechcąc znowu przebywać te, jak Piotr mówił, niby mostki, których niemało było na drodze do R..., przyjąłem propozycyą pana Urskiego, żeby ten dzień jeszcze u niego przepędzić; kazałem sobie przysłać trochę bielizny, i napisałem do pana Sokulskiego, prosząc go aby w mojej niebytności miał oko na gospodarstwo.

Dzień ten tem milej mi przeszedł, że wzięty w protekcyą pani, już niepiłem. Zwiedziłem drugi raz bibliotekę, a jej zacny właściciel znowu w tym przybytku mowny i ożywiony, wiele pokazywał mi ksiąg rzadkich i interesujących Przeszliśmy potem do rękopisów, było ich dosyć, a niektóre prawdziwie zajmujące i ciekawe. W miarę jak mi je pokazywał i tłómaczył, pan Urski odkładał je na stronę; doszedł wreszcie do niewielkiego sexterniczka i rzekł:

— To niedawne ale ciekawe, bo opisuje wypadek w naszej prowincyi zdarzony, i rzadkie bo nigdy podobno niebyło drukowane.

— Cóż to jest? — zapytałem.

— Powieść prawdziwa o rozbojach, które się były zagęściły na Wołyniu, a którym przywodził człowiek pięknego imienia, należący do zacnej i szanownej rodziny. Niewiem — dodał — przez kogo to jest opisane, ale wypadek niedawny, bo są podobno żyjący ludzie którzy go pamiętają. Rękopis bez daty, pismo wyraźne....

Bojąc się długiego opisu wad i zalet rękopisu, które mię tą razą mniej interesowały z powodu mocno pobudzonej ciekawości, przerwałem prośbą o pozwolenie przeczytania go.

— Bardzo chętnie — odpowiedział pan Urski i dał mi sexternik.

Po przepędzonej jeszcze godzinie w bibliotece, gdzie wyznaję, że czując rękopis za nadrzem jak na węglach siedziałem, pan Urski poszedł do siebie, a ja widząc że mam jeszcze parę godzin do obiadu, pobiegłem do ogrodu i zasiadłszy na ławce zacząłem czytać. Wypadek był głośny, rozwiązanie jego publiczne, sądzę więc, że wolno mi to com przeczytał powtórzyć.

JOASIA.

1.

Już było blizko północy, muzyka brzmiała w Zaglinkowskim dworze, bo to były ostatnie dnie zapust. Liczni goście zjechali się do pana Wyboleckiego, majętnego obywatela Kowelskiego powiatu, i od trzech dni balowali. W kącie sali stało trzech żydków, jeden z zaucha rzępolił na skrzypcach, drugi prawie cały schowany za basetlę, to smykiem huczne wydobywał tony, to palcami naciągał i puszczał strony, udając niby pizzicato, trzeci naprzód cokolwiek wysunięty i widocznie

mający się za pryncypalnego muzyka, trzymał w lewem ręku szeroką obręcz ozdobioną dzwoneczkami i pokrytą pargaminem. Czasem stukał w środek pargaminu, to puścił palec po brzegu i wydobywał ton drgający pomięszany z brzękiem dzwoneczków, to potrząsał obręczą, i wtenczas samo tylko dzwonienie wtórowało muzyce. Przed niemi stał kufel miodu, do którego zmęczone żydki co raz się uciekali, to dla nabrania siły, to dla odpędzenia snu, który ich czasami tak morzył, że nie raz instrument jaki przez parę taktów ucichł, a natomiast chrapnięcie słyszeć się dało.

Na środku sali niewidać było fatygi; cztery hoże pary raźno wycinały mazura i zdały się wyłącznie tańcem być zajęte, a jednak gdyby kto był podsłuchał rozmowę jednej pary, byłby wiedział, że tam wcale o mazura niechodziło.

— Jak mi się długim ten post wyda — rzekł młody Ostrowski do tańcującej z nim panienki. Ta się zarumieniła i spuściła oczy. — Ale też — dodał — tę mam przynajmniej pociechę, że się na wesele tak przygotuję, ażebyś się droga Joasiu ani ekwipażu, ani domku naszego niepowstydziła.

Joasia Wybolecka, siostra gospodarza zaręczona z Ostrowskim, miała wyjść za niego zaraz po wielkim poście. Razem wychowani

od dzieciństwa się kochali, jednakże Joasia nieśmiała odpowiedzieć, ścisnęła tylko rękę Ostrowskiego, bo lubo trzy pary miały przed niemi tańcować, oni przecie trzymali się za ręce dla tego zapewne, aby być w pogotowiu do ruszenia w taniec jak na nich kolej nadejdzie.

— Nie raz — rzekł Ostrowski — i na dłużej i bez tej słodkiej nadziei co teraz odjeżdżałem od ciebie Joasiu, a nigdy mię tak serce niebolało, cierpię jak gdybym jakie nieszczęście przeczuwał.

Joasia mocno ścisnęła go za rękę i zwróciła na niego duże niebieskie oczy, w których jak brylanty dwie krople łez błyszczały. Młody człowiek zadrżał jakby iskrą elektryczną uderzony, i odpowiadając na zgadnięte zapytanie rzekł:

— Nic się niestało Joasiu, jadę tylko na parę niedziel do Warszawy jak wiesz, dla sprawienia ekwipażu, a może też Bóg da że i prędzej wrócę: tylko póki ta podróż oddaloną była, mniej mię smuciła, a teraz kiedy już za parę godzin trzeba rozstać się z tobą, serce mi pęka od żalu.

Joasia ruszyła ustami jakby coś chciała odpowiedzieć, spojrzała czule na Ostrowskiego, i tą razą z całej siły ścisnęła jego rękę.

— Dziękuję ci drogi aniele — rzekł Ostrowski — trochę szczęśliwszy odjadę! — i ruszyli oboje, bo właśnie na nich przyszła kolej tańczenia.

Niedaleko ztamtąd przy zielonym stoliku siedziało dwóch mężczyzn i grali w maryasza. Jeden z nich lat ze sześćdziesiąt mający, był Sędzią grodzkim Łuckim, nazywał się Józef Stecki, drugi był młody jeszcze człowiek, zwany Stonowski. Stecki zajęty maryaszem niezwracał oczu od stolika, Stonowski zaś mało na grę zważając, co raz spozierał na tańcujących, i wtenczas oczy jego zdawały się ciskać pioruny.

— Ze czterdziestu! mościwy panie — rzekł Stecki.

Stonowski odrzucił kartę niepatrząc na stolik.

— Ale mościwy panie, to dzwonka kozer, a pan mi czerwień odrzucasz.

—Przepraszam — odpowiedział Stonowski rzucając na stół dzwonkowego niźnika — niepostrzegłem — i znowu wpatrzył się w tańcujących.

— Niechże pan mościwy panie weźmie swojego króla czerwiennego.

Stonowski znowu spojrzał na stolik i wziął źle odrzuconą kartę.

— Reszta! mościwy panie; pan teraz tuza odrzucasz.

Stonowski niesłyszał.

— Dajmy więc temu pokój — mruknął Sędzia — bo widzę waspanu nie maryasz w głowie.

Stonowski tak był zatopiony w myślach, że i tych słów zdał się niesłyszeć. Sędzia pokręcił wąsa, wstał i położywszy rękę na ramieniu Stonowskiego rzekł głośniej:

— Byłem przyjacielem twego ojca, znam dobrze twoich krewnych: Mecenasa Lubelskiego i Prałata, ciebie maleńkim widziałem; wybacz więc mościwy panie że otwarcie zapytam, co ci takiego?

— Nic mi nie jest — odpowiedział Stonowski z chmurną miną, i znowu groźno spojrzał na tańczących.

— Hum, hum, mościwy panie — mruknął Sędzia — waspanu widzę panna Joanna zajechała do głowy; żałuję cię że naprożno smalisz cholewki, wszak ona kogo innego kocha i wkrótce za mąż idzie.

Stonowski wstrząsł się i z gniewem spojrzał na Sędziego, jak gdyby on był tego wszystkiego przyczyną, ale ten nieuważając na to poruszenie, dalej mówił:

— Czyż to mościwy panie niemożna zna-

leźć innej gładkiej panny? Daj pokój temu bałamuctwu, a ja cię wyswatam, zobaczysz — dodał i cmoknął się w końce palców — będzie miała pięć P.

— Jak to pięć P.? — zawołał młody Sobecki z Turyczan, który niepostrzeżony zbliżył się był do rozmawiających.

— Widać mościwy panie — odpowiedział Sędzia — że waspan nie stary kiedy tego niewiesz. Za moich czasów jak się pokazała panna mająca pięć P., to cała młodzież uwijała się za nią, wszyscy rodzice na synowę jej żądali.

— Ale cóż to znaczy pięć P.?

— To znaczy — odpowiedział Sędzia — panna, piękna, pokorna, pobożna, posażna, otóż taką ci znajdę mościwy panie — dodał obracając się do Stonowskiego — czy zgoda?

Stonowski ruszył ramionami i zmarszczył czoło, widocznie zniecierpliwiony niezgrabnem pocieszaniem Sędziego. Byłoby się może na gniewie skończyło, gdyby nienadszedł był nowy interlokutor. Był to człowiek wysoki, chudy, włosy białe okrywały boki głowy, zupełnie łysy na wierzchu, a czerwona wstęga św. Stanisława odbijała na białej kamizelce.

— Już też to wieki minęły — rzekł — panie Sędzio — jakeśmy się niewidzieli. Od prze-

szłych zapust ani jednego kielicha niewychyliliśmy razem.

— Prawda, panie Generale — odpowiedział Stecki — ale mościwy panie co się przewlekło, to nieuciekło! Cóż tam słychać?

— Źle słychać — rzekł Generał Tomasz W** — nasz król Stanisław August siedzi sobie w Warszawie spokojnie, a wszystko się rozprzęga, w kraju niema porządku.

— Mościwy panie, miejmy w Bogu nadzieję, sejm zwołany, to przecie coś tam poradzą.

— Dałby to Bóg! — odpowiedział W** — ale tymczasem nie tylko ojczyzna ale i obywatele w domach niebezpieczni; znowu w Łuckim powiecie dwór jeden najechano i zrabowano.

— To rzecz osobliwsza — rzekł Stecki — że dotąd mościwy panie niemożna wiedzieć kto jest naczelnikiem tej bandy łotrów i gdzie się ona kryje. Wszakże to już z piętnaście domów zrabowali.

— Koniec końców, dowiemy się — odpowiedział W** — smutna to będzie dla pana robota, sądzić tych hultajów.

— Cóż robić mościwy panie, obowiązek przedewszystkiem; a potem niech się dzieje wola Boża!

Kiedy tak rozprawiali, mazur się skończył,

i w jadalnym pokoju dało się słyszeć mocne syczenie, po którem kukułka kuknęła dwanaście razy.

— Już północ! — zawołał Generał — nie można skończyć zapust bez drabanta.

Młodzież skoczyła zapraszać panny, ruszył i Stonowski, lecz nim się do panny Joanny docisnął, ta już podała rękę Ostrowskiemu. Stonowski zgrzytnął zębami, prędko jednak utaił gniew który go był opanował i wziął do tańca inną damę. Muzyka się odezwała, pary ruszyły powoli jedna za drugą jakby w polonezie, muzyka co raz przyspieszała taktu, tańczący zaczęli podskakiwać co raz żwawiej, tak że nareszcie zdawało się że z całej siły biegają; czasami tylko to śpiew można było usłyszeć, to śmiech do taktu zastosowany, który się zaczynał i kończył na znak dany przez W** rej wodzącego w pierwszej parze. Jak z początku co raz żwawiej, tak teraz co raz wolniej muzyka grała, i kiedy przyszło do tego że pary znowu poważnie chodziły, pan W** plasnął w ręce, tańcujący uszykowali się we dwa rzędy, z jednej strony damy, z drugiej mężczyzni, i za danym znakiem wszyscy zaczęli głośny płacz udawać, stosując się jak mogli do muzyki, ktora także płaczliwą przybrała nutę. Było to pożegnanie Zapust.

Jeszcze płacz się nieskończył kiedy drzwi się otworzyły i weszła chuda, śniadej cery kobieta. Czarne kędzierzawe włosy rozczochrane spadały jej na twarz, a oczy nadzwyczajnie ruchawe, osobliwszym ogniem błyszczały; okryta była brunatnym płaszczykiem w licznych miejscach różnokolorowemi sztuczkami rozmaitych materyi połatanym. U dołu widać było brzeg pestrowej spódnicy, z pod której wyglądały mocno zachodzone bose nogi.

— Hulajcie zdrowi panoczki! — zawołała odedrzwi — niech wam Bóg da szczęście i zdrowie, a niezapominajcie biednej Jeremy.

Była to cyganka oddawna włócząca się po okolicy i dobrze wszystkim znajoma. Młodzież rada była jej przyjściu w nadziei, że się Zapusty choć pół godziny nową zabawą przeciągną, a Joasia zawołała z radością:

— Jak się masz Jeremo, wszak nam powróżysz?

— A jakże pannoczko — odpowiedziała cyganka postępując na środek sali.

Joasia co tchu zdjęła rękawiczkę i wyciągnęła ku Jeremie malutką białą rączkę. Jerema wpatrzyła się w dłoń i po chwili rzekła:

— Dobrze, długie życie, zdrowie, ale.... — dodała i zamilkła.

— Co ale? — zapytała Joasia.

— Spotka ciebie nieszczęście — odpowiedziała Jerema — wielkie nieszczęście! tylko Bogu chwała minie i znowu będziesz szczęśliwa.

Joasia zbladła, łzy jej się w oczach zakręciły i mimowolnie spojrzała na Ostrowskiego, który gniewem uniesiony przyskoczył do Jeremy wołając:

— Co ty pleciesz czarownico!

— Niegniewaj się panoczku — odpowiedziała Jerema — wszak wróżbom wierzyć nie trzeba, ja mówię co widzę, a może to i nie prawda.

— Cóż widzisz?

— Nieszczęście dla niej i dla ciebie, ale potem jeszcze będziecie szczęśliwi i razem.

Ostrowski ruszył ramionami i odstąpił, a Jerema dodała obracając się do przytomnych:

— Komuż mam jeszcze powróżyć?

Pierwsza smutna przepowiednia, a więcej zmięszanie biednej Joasi tak wszystkich zasmuciło, że nikt niepodawał ręki.

— Cóż to — rzekła znowu cyganka — czy się boicie? czy żałujecie kilku groszy dla Jeremy?

Wszyscy zdali się zamyśleni i nikt się nieruszał, nakoniec przystąpił Stecki.

— Niechże i ja się czego dowiem — rzekł pokręcając wąsa — wszak to mnie już nie-

długo na tym świecie popasać, a może się zakocham albo wpadnę w jakie piękne oczko, dobrze wcześnie wiedzieć. — To rzekłszy wyciągnął śmiejąc się rękę ku Jeremie.

— Śmiej się panoczku — rzekła Jerema — śmiej się pókiś wesół, bo niedługo ta sama ręka będzie pisać litery, a łzy twoje będą je zmywały.

— Pleć zdrowa mościwa pani — rzekł Stecki i dał jej złotówkę.

— Któż więcej — zawołała Jerema

Po przykładzie danym przez Steckiego każdy chciał udać że żąda wróżby i niewierzy w nią, jeden po drugim wyciągali ręce, Jerema plotła i zbierała złotówki. Panu W** przepowiedziała, że go konie poniosą nim dojedzie do Radzichowa gdzie mieszkał, ale że się skończy na strachu; Sobecki miał u siebie w Przewałach zastać chorego syna, ale ten wkrótce miał przyjść do zdrowia; drugi Sobecki z Turyczan miał się zakochać, i t. d. Te wróżby nic nieznaczące zaczęły nudzić wszystkich, i już się przytomni rozchodzili po sali rozmawiając pomiędzy sobą, kiedy sam Wybolecki podał rękę Jeremie.

— Szkoda ciebie panoczku — rzekła — boś ty dobry człowiek, ale od czasu jak cię matka urodziła niemiałeś takiego dnia gorz-

kiego jak ten co wkrótce nadejdzie. Biada! biada temu domowi!

— Dziś widzę zły dzień na ciebie — rzekł Wybolecki płacąc proroctwo — zobaczym co jeszcze powiesz Stonowskiemu.

Przytomni skupili się znowu około Jeremy, Stonowski odwracał się żeby odejść, ale wszyscy z takiem zadziwieniem oczy na niego zwrócili, że lękając się ujść za tchórza, wyciągnął jakby z przymusem rękę ku Jeremie. Ta czas niejaki patrzała na nią, wreszcie pokiwała głową i rzekła:

— Oj panoczku, żebyś ty wiedział co ta ręka gada?

— No! pleć już babo a kończ prędzej — ofuknął Stonowski.

— Było — rzekła Jerema pilnie wpatrując się w rękę — było serce co ciebie szczerze kochało, ale już go niema.

Stonowski wstrząsł się i w uniesieniu zawołał: — Kto ty jesteś? jak wiesz o tem?

— At sobie panoczku, zwyczajnie cyganka — odpowiedziała Jerema — a wiem z ręki.

Stonowski wlepił wzrok w Jeremę jakby szukając gdzie ją widział dawniej, a ona jakby niewidząc tego, dalej mówiła:

— Teraz twoje serce pęka od żalu, bo także kocha, ale napróżno.... — Tu zamilkła

na chwilę i zdała się pilnie uważać linije ręki, która mimowolnie w jej ręku drżała, wreszcie dodała ponurym głosem: — nie najstarsi najpierwej umierają.

Stonowskiemu wargi się zatrzęsły, cofnął rękę i rzekł z gniewem: — Wolałabyś w domu siedzieć jak przychodzić tu prawić smalonego duba. Na! — dodał rzucając jej złotówkę pod nogi.

Jerema spojrzała na niego wzrokiem tak nienawistnym, że aż się cofnął, lecz w moment uspokoiła się, podniosła złotówkę i rzekła pokornie: — Dziękuję ci panoczku, niech ci Bóg dopomaga, jak ty dopomagasz ludziom; ale strzeż się, bo źle ci widać z ręki.

To rzekłszy wyskoczyła z sali, zostawując wszystkich w osłupieniu. Stonowski pokręcił się po pokoju, zagadał to do jednej to do drugiej kobiety, chciał dowcipkować, żartować z Jeremy, ale szło mu nieraźno. Widząc nareszcie że niemoże dobrze ukryć wrażenia którego był doznał, usiadł w kącie zamyślony.

— Widzę mościwy panie, przestraszyła cię Jerema? — rzekł Stecki.

Stonowski wystawił spodnią wargę, ruszył ramionami i odpowiedział z pogardą: — Mnie? Jerema?

— Nie? — rzekł znowu Sędzia — to i do-

brze. Głupia baba mościwy panie, ja mam czegoś płakać! powiada: od czasu jak mi Jezuici we Lwowie dwadzieścia pięć plag wypalili, ani razu niepłakałem.

— A! — rzekł Stonowski roztargniony.

— Tak mościwy panie, co tam wierzyć na te bajki.

Kiedy to mówił, zbliżył się pan W**. Stonowski czy to znudzony gawędą Steckiego, czy też czując że niezdoła ukryć wrażenia które na nim zrobiła Jerema, wyniósł się po cichu. Tymczasem goście także napróżno usiłowali wrócić do weselszej rozmowy. Jakiś smutek ogarnął wszystkich, każdy zapragnął wrócić do domu, ażeby z familiją odbyć Popielec: zaczęli więc żegnać gospodarza, i wkrótce jeden tylko został Ostrowski.

— Smutno mi — rzekł — odjeżdżać.

— Czy uwierzyłeś także tej babie? — zapytał Wybolecki.

— Już to przecie w te gusła niewierzę — odpowiedział Ostrowski — ale kiedy chodzi o Joasię, to mię wszystko przeraża.

Joasia spojrzała na niego jakby mu chciała wzrokiem za tę troskliwość podziękować.

— Dzieci jesteście, — rzekł Wybolecki — waspan jedź spokojnie i wracaj, a ty Joasiu nie smuć się; co tam uważać na to co ta baba

plecie. Ot — dodał widząc zasmuconą minkę Joasi — wszak to twój mąż przyszły, a ja brat co was kocha, uściskajcie się, to jemu odjechać od ciebie, a tobie zostać bez niego łatwiej będzie.

Ostrowski przycisnął Joasię do serca, ona go nieśmiało pocałowała i cała zapłoniona wybiegła z sali.

— O! czuwaj nad nią! — rzekł Ostrowski — słowa tej czarownicy dzwonią mi w uszach, boję się sam niewiem czego.

— Prawda że sam niewiesz czego, — odpowiedział Wybolecki — ale bądź spokojny niespuszczę jej z oka.

Po wielu jeszcze prośbach i obietnicach, Ostrowski wyjechał nakoniec, a Wybolecki poszedł do siebie. Zastał już w swoim pokoju Bartłomieja starego sługę, który jeszcze u ojca jego długi czas zostawał i dotąd zachował zwyczaj nazywania go paniczem. Starzec siedział tak zamyślony, że niesłyszał jak się drzwi otworzyły; patrzał na ogień, jakby chciał w ruchach płomieni coś wyczytać, nareszcie potarł czoło, plunął głośno w komin i zawołał:

— A to djabli tę babę do domu przynieśli!

— Cóż to szkodzi, — rzekł Wybolecki — nabajała i poszła sobie.

— Nabajała! — odpowiedział starzec, bynajmniej niespodziewaną przytomnością pana niezdziwiony — nabajała! Ja dawniej żyję jak panicz i wiem co mówię; ta baba nigdy nieprzychodzi napróżno.

— Ale uspokój się Bartłomieju, kto tam w te gusła wierzy.

— Gusła, gusła! Niechno panicz z tych gusłów nieżartuje. — To rzekłszy potrząsł głową, łzy mu się w oczach zakręciły i dodał: — Mój Boże! panicz, panienka, ja was na ręku nosiłem. Czemuż nieszczęście lepiej się na mnie starego niezwali! wszak ja już niepotrzebny na świecie.

Wybolecki rozczulony uściskał poczciwego sługę, ale napróżno chciał go uspokoić, słowa Jeremy brzmiały mu w uszach i niepocieszony wyszedł z pokoju.

W godzinę potem wszystko spoczywało w Zaglinkach; w jednym tylko pokoju za zasłoniętą kotarą słychać było na łóżku ciche łkanie. Joasia przerażona przepowiednią Jeremy, opłakiwała odjazd Ostrowskiego.

2.

Tej samej nocy dziewięciu ludzi w ciemnych siermięgach, z kapturami na głowach,

siedzieli w lasku o pół milki odległym od Zaglinków. Na w pół przygaszone ognisko to ponurym buchnęło płomieniem, i wtenczas rzekłbyś: zebranie szatanów — to znów zupełnie przygasło; księżyc mdłem światłem powlekał ich twarze, rzekłbyś: przeklęci na bezbożną hulankę z przyległego wyszli cmentarza. Musieli być na w pół pijani, bo głośno okropne przypominali rzeczy, a lubo razem gadali i niemożna było nic całkowitego usłyszeć, widać jednak było, że rzecz się toczyła o mordach i kradzieży, a co moment powtarzali: Semen, Semen, jakby on był duszą tego wszystkiego i herszterm bandy. Butelka z wódką co raz to obchodziła kolejkę, gwar zaczął być co raz głośniejszy, tak, że nakoniec jeden mniej pijany siedzący trochę na boku i zdający się być starszym pomiędzy niemi, krzyknął aby się ucieszyli; widać że dobrze przyzwyczajeni byli do karności, bo w moment umilkli. Sprawca tej cichości odszedł na kilka kroków i jakby oczekiwał na kogo, to się obejrzał, to nadstawił ucha, nareszcie z niespokojnością ruszył ramionami i zwracając się do jednego z towarzyszów który był podszedł ku niemu, mruknął pod nosem: — Powinienby już przyjść dotąd.

Tamten pokręcił wąsa, wypuścił z gęby

parę kłębów dymu i wyjmując z ust lulkę odpowiedział: — Czy go niespotkało tylko jakie nieszczęście?

— W takim razie – rzekł pierwszy — to i nam tu nie bardzo dosiadywać. Hej chłopcy! — dodał — przygotować się, za pół godziny ruszamy!

— Dobre batku! — odpowiedział jeden wyciągając się i ziewając głośno, a drugi sądząc że już idą do rabunku, zaczął śpiewać:

Hodi panku balowaty!
Póki krasna wnide zora,
Pryjdemo i my do dwora,
Szczob z toboju pohulaty!

Dałej chłopci nežurymsia,
Tam horyłki, tam i medu,
Tam!...

I nagle umilkł, bo dało się słyszeć mocne świstnienie. Wszyscy zwrócili głowy w tę stronę: zdaleka słychać było chrupotanie suchych gałęzi, szelest co raz się wzmagał, nareszcie wytknął z lasu człowiek lat ze trzydzieści mający, porządnie ubrany, i niczem do przytomnych niepodobny. Wszyscy powstali, on spojrzał groźno, a widząc wszystko w porządku uśmiechnął się, kiwnął głową i rzekł:

— W drogę dzieci, wszystko dobrze.

— Hura! — krzyknęli chłopcy i zaczęli

zabierać na plecy mantelzaczki i worki, które w czasie odpoczynku pokładli byli na ziemi.

Semen (bo ten był świeżo przybyły) przywdział także siermięgę, dobył z kieszeni flaszeczkę, płynem w niej będącym potarł sobie twarz, która natychmiast zciemniała, dał znak i wszyscy ruszyli ku Zaglinkom.

Zaledwo uszli kilka kroków, wprawne ucho Semena posłyszało szelest; syknął na swoich, zatrzymali się, szelest zdał się oddalać jak gdyby kto biegł na bok; Semen dał znak, chłopcy się rozskoczyli, ale nic niedostrzegli.

— To jakaś ptyca przeleciała — rzekł Wańka, faworyt naczelnika. — Idźmy!

— Cyt! — przerwał Semen i znowu nadstawił ucha. Chrupnęło coś opodal jak gdyby biegący nastąpił był na spróchniałą gałąź. — Ktoś włóczy się za nami, — rzekł Semen — nie pierwszy raz ja to słyszę; dalej chłopcy popróbujcie czy niedognacie!

Chłopcy ruszyli w tę stronę, i tą razą dłużej bawili, ale napróżno.

— Chodźmy batku, — rzekł Wańka — to zwierz jakiś, a potem będzie późno.

— Nie zwierz to, — odpowiedział Semen — strzeżmy się! — To rzekłszy znów ucha nadstawił, ale nic już słychać niebyło. - Po-

czekaj! — mruknął — kiedyś ty wpadniesz mi w ręce. Idźmy! — dodał i ruszyli,

Dwór Zaglinkowski otoczony cichością nocy, szarzał zdaleka jak pomnik grobowy; Semen zalecił cichość, dał rozkazy i zaczęli skradać się powoli. Byli już o kilka kroków, kiedy na dziedzińcu dało się słyszeć jakby podziemne warczenie i wkrótce grube szczekanie brytana. Wańka podskoczył, rzucił na dziedziniec jakby gałkę z mięsa, szczekanie ustało, a oni otworzyli źle zamknięte wrota i weszli na dziedziniec. Na boku leżał ogromny brytan, a po drganiu jego widać było że już kończy. Semen rozstawił w cichości swych ludzi, jednego pod każdem oknem — zalecił strzelać gdyby się kto wymykał, a sam z dwoma pozostałemi zbliżył się do drzwi i zaczął stukać. Pan Wybolecki musiał widać marzyć o zapustach, bo mu się zdało że goście wracają i zawołał:

— Róbcie sobie co chcecie, tylko mnie dajcie spocząć!

— Otwórz! — zawołano groźnie — bo drzwi wysadziemy!

W samej rzeczy, drzwi zaczęły trzeszczeć i z hałasem wpadły do sieni. Wybolecki się zerwał, porwał pistolet przy łóżku leżący i chciał biedz do sieni, w tem drzwi jego pokoju otworzyły się nagle, a w nich pokazał się Bartłomiej.

— Nie uważaj paniczu! — zawołał — strzelaj! mnie ten łotr niesie przed sobą! — Wielobycki opuścił pistolet. — Strzelaj paniczu! — powtórzył starzec — mniejsza o mnie; kula przez dwóch przejdzie!

Wielobycki zmierzył, ale po chwili rzekł: — niech się dzieje wola Boża! nie mogę strzelić do ciebie.

— Teraz! — krzyknął starzec odchylając nagle głowę i odsłaniając śniadą twarz Semena.

Kurek klapnął, błysnęło na panewce, lecz pistolet niewypalił.

Semen rzucił o ziemię Bartłomieja, zaśmiał się, wyrwał Wyboleckiemu pistolet z ręki i rzekł: — Może drugim końcem lepiej bije! — To mówiąc kolbą uderzył go w głowę tak, że ten padł bez zmysłów. Semen ruszył ramionami — hej! — krzyknął — Wańka!

Wańka wbiegł do pokoju.

— Patrz jaki delikacik! — rzekł Semen — otrzeźwić go.

Wańka się schylił, popatrzył na Wyboleckiego, zaśmiał się jakby sądził że udaje zemdlonego, kopnął go nogą, uderzył w twarz parę razy, a widząc że się nierusza, podniósł go i zaczął trząść nim w powietrzu; głowa

kiwała się gwałtownie, zęby klapały, ręce zginały się i odginały. Na ten widok Bartłomiej jęknął i ruszył się, jak gdyby chciał powstać

— Poczekaj! — rzekł zimno Semen — ja ci pomogę.

To rzekłszy porwał go za piersi i z całej siły uderzył nim w ścianę. Starzec opuścił głowę, siadł pod ścianą, oczy w słup przewrócił i zwalił się bez duszy. Tymczasem Wybolecki gwałtownie trzęsiony otworzył oczy.

— Baczysz! — rzekł do niego Wańka stawiając go na nogi — jaki ze mnie doktor.

Semen zasiadł na poręczastem krześle, kazał przybliżyć Wyboleckiego i zapytał groźnie:

— Poznajesz mię?

Wybolecki z trudnością podniósł oczy krwią zalane, zdawało się że patrzy, odpowiedział nareszcie słabym głosem: — Nie.

— Masz szczęście — rzekł Semen — ale na tem nie dosyć. Odebrałeś na przeszłych kontraktach siedmdziesiąt tysięcy, gdzie one są?

Wybolecki nic niemówiąc, pokazał ręką na biórko pod ścianą stojące.

— A klucze?

Wybolecki znowu pokazał ręką na łóżko.

Semen wstał poważnie, odrzucił poduszki, wziął klucz pod niemi leżący i otworzył biórko. Worki stały jeden przy drugim, on je policzył i rzekł zwracając się ku Wyboleckiemu?

— Więcej niechcemy od ciebie, jużeś nam niepotrzebny, czy tylko mnie niepoznajesz?

Wielobycki znowu słabym głosem zamruczał: — Nie.

— Djabli by tobie wierzyli, — rzekł Semen — strzeżonego Pan Bóg strzeże!

To mówiąc porwał pistolet, obrócił go łożyskiem do góry, i podniósł rękę jak do uderzenia. Na ten widok w Wyboleckim odezwała się chęć życia, pomimo osłabienie fizyczne:

— Weź pieniądze, — rzekł głośniej cokolwiek — a daruj mi życie!

— Nie bój się, — odpowiedział Semen — to ja tak tylko żartuję — i to rzekłszy z całej siły uderzył go w głowę. Wybolecki jęknął i zaczął się chylić jakby miał upaść, lecz Wańka podskoczył i przytrzymał go. — O to żyjuszczy! — rzekł Semen i zaczął kuć w głowę Wyboleckiego. Czerep chrupotał, głowa zmiękła i zaczęła tracić formę, nareszcie łożysko utrąciło się. — Jaki pan, taki kram — zawołał Semen rzucając lufkę, która mu w ręku została; — ale będzie z niego — dodał — puszczaj go! — Wańka otworzył ręce a

Wybolecki osunął się na ziemię. — Zabierz te worki — rzekł Semen — i pójdź za mną.

Wyszli do sieni, Semen świstnął, dwóch chłopców wskoczyli oknami, a Semen poleciwszy im straż worków, krzyknął: — Wańka za mną! — i poszedł do panieńskiego pokoju. — Zostań tu, — rzekł do Wańki stawiając go przy drzwiach — gdyby kto nadszedł, pal do niego. — Wańka nic nieodpowiedział, tylko milcząc dobył pistolet, odwiódł kurek i stanął z boku.

Joasia klęczała przy łóżku i gorzko płacząc modliła się.

— Dobry wieczór — rzekł Semen.

Joasia się nieruszyła.

— Czy to panna tak gości przyjmujesz? — rzekł znowu Semen — ja kaprysów nie lubię.

— Boże! zmiłuj się nad nami! — wołała Joasia bijąc się w piersi.

— No, dosyć tych korowodów! — zawołał Semen — wstań waspanna! — a widząc że się nierusza, krzyknął z gniewem: — nie wstaniesz! — podniósł ją gwałtownie, rzucił na łóżko i drzwi nogą zatrzasnął. Joasia przeraźliwie krzyknęła, a wkrótce dało się słyszeć jakieś szamotanie, po którem nastąpiło stuknięcie, jak gdyby kto zemdlony upadł na podłogę. Po chwili Semen wyszedł, zwołał

swoich ludzi, i ruszyli w stronę przeciwną tej z której przyszli.

Szli żwawo, bo do lasu jeszcze był spory kawałek a już się rozwidniać zaczynało. Jak tylko weszli w zarośle zwrócili na bok i szli manowcami bez drogi; czasami tylko Semen to spojrzał w górę uważając gdzie rozjaśnia się niebo, to szukał południa, upatrując z której strony więcej na sosnach żywicy, to się obejrzał dla postrzeżenia jakiej, na znak zagiętej lub złamanej gałęzi. Tym sposobem pewna swej drogi pomykała się raźno czereda, i po kilku niedługich odpoczynkach, około czwartej z południa przyszła nad brzeg lasu. Z daleka widać było miasteczko Kowel, przez które przejść im wypadało, ale blizko pół mili trzeba było iść otwartem polem. Wańka radził zatrzymać się do nocy, lecz Semen czy to lękając się pogoni, czy dla innych jakich powodów chciał przejść na tamtą stronę Kowela. Widać że już nie raz podobne wydarzały się im przeprawy, bo jak tylko Semen oświadczył że przejść zamyśla przez miasto, chłopcy nieczekając innych rozkazów pozrzucali siermięgi i rozwiązali dwa worki. Z jednego wydobyto dwa mundury wojskowe, i dwóch ludzi przebrali się za żołnierzy; z drugiego dostano łańcuchy, które sobie pozostali

u nóg przyczepili jak kajdany; sam Semen przestrojony za sierżanta, wyjął z pugilaresu jakiś przygotowany widać papier i włożył go za nadrze. Żołnierze dobyli pałaszów, drudzy uszykowali się parami i tak ruszyli wszyscy przez pole. Przy rogatce Semen oświadczył że prowadzi niewolników: podniesiono przeto rogatkę i kazano im iść do ekonomji. Nie w smak to było Semenowi, bo się upierał mówiąc, że ma rozkaz iść niezatrzymując się do Łucka, ale nakoniec bojąc się widać aby zbyt długie upieranie się nieobudziło podejrzenia, oświadczył że pójdzie. Jeden z miejskiej straży poszedł naprzód, a za nim Semen ze swojemi ludźmi.

Jak tylko weszli na dziedziniec, Semen spojrzał groźnie na swoich żołnierzy i rzekł:

— Nie spuszczać ich z oczu i nie dopuszczać nikogo!

Żołnierze więc zgromadzili więźniów w róg dziedzińca, sami stanęli przed niemi tak, aby nikt zbliżyć sie niemógł, a Semen wszedł do dworu.

— Kto tam? — zapytał rządca nieodwracając głowy od stolika przy którym siedział.

— Sierżant brygady pińskiej — odpowiedział Semen przykładając rękę do czoła.

Rządca zwrócił się ku niemu i zapytał jaki ma interes.

— Prowadzę więźniów do Łucka — rzekł Semen podając Rządcy papier który miał za nadrzem.

Rządca czytał z uwagą, co raz spojrzał na Semena, brwi marszczył, rzekł nareszcie:

— Więc to z tej bandy co po powiecie grasuje?

— Tak jest.

— Zdaje mi się że nie pierwszy raz ciebie widzę?

— W samej rzeczy — odpowiedział spokojnie Semen — i ja nie raz JWPana w Łucku widywałem.

— Wieluż ich jest? — zapytał uspokojony Rządca.

— Siedmiu panie.

— Gdzież ich złapano?

— Około Zaglinków.

— Jakim sposobem?

— Widać przyszli na zwiady, ale dowiedziawszy się że w Zaglinkach dużo gości na Zapustach, czekali póki się nierozjadą i poszli do karczmy; tam wzięli pić, przechwalać się, grozić; arendarz posłyszał i dał wiedzieć do dworu. Pan Wybolecki posłał ekonoma z ludźmi, ci wpadli do karczmy i wszystkich zabrali.

— Czasem to i szczęście mieć do czynienia z głupcami.

— Oj to wielka prawda — odpowiedział Semen nieznacznie się uśmiechając.

— Niebyło jakiego nieszczęścia?

— Nie panie, tak byli pijani, że się nawet niebronili. Ja właśnie przechodziłem wtenczas z komendą, i pan Generał W** kazał mi ich do grodu Łuckiego dostawić.

— Chwała Bogu! — rzekł Rządca — że chociaż kilku złapano, to się może i o reszcie dowiedzą. Idź wacpan a pilnuj ich dobrze, bo to szczwane lisy.

— Oho panie! nie nowina to mnie hultajów dostawiać. Będzie mądry który mi się wymknie.

Z polecenia Rządcy tenże sam strażnik przeprowadził ich do drugiej rogatki, a pod wieczór cała zgraja zbliżała się wesoło do małej słobódki w gęstym lesie postawionej. Kilka małych chałupek porozrzucanych po lesie, składały całą słobódkę, a w pośród nich stała nędzna karczemka. Miejsce to tak było ukryte, tak mało uczęszczane, że droga prowadząca do niego na w pół zarosła była trawą. Semen postanowił tam przenocować, i oświadczywszy swą wolę, odszedł na bok do jednego z mniej oddalonych domków Widać że czy dla ostrożności, czy dla innej jakiej

przyczyny, miał zwyczaj opodal trochę od swoich ludzi przepędzać noclegi, bo Wańka jak tylko zobaczył go odchodzącego, zawołał:

— Dalej chłopcy do karczmy! czas trochę pohulać! — Weszli więc do karczmy, zasiedli koło stołu, Wańka uderzył w stół pięścią i krzyknął: — Hej! szelmo żydzie!

Drżąc cały ze strachu wyskoczył z alkierza Jankiel arendarz i trzęsąc nad głową czapkę w której była jarmółka została, zapytał pokornie: — Co JWPan każe?

— Wódki szelmo! — odpowiedział Wańka — a żywo!

— A pamiętaj psia wiaro — dodał drugi — żeby niechrzczonej!

— I dobrej miary — rzekł trzeci — bo popamiętasz!

— Nu! niech się pany niezłoszczą — odpowiedział Jankiel, porwał kwartę, natoczył wódki i postawił na stole.

— Idź precz szelmo! — rzekł Wańka.

— Zaraz panie! — odpowiedział arendarz i co raz kłaniając się, tyłem wyszedł.

Jak już dobrze podchmielili, tak że rozmowa zaczęła być głośna i jakby do kłótni podobna, Jankiel otworzył boczne drzwiczki i wszedł do sieni, obejrzał się bojaźliwie, a widząc że niema nikogo, przyskoczył co tchu

do stósa snopów złożonych w jednym kącie, rzekł cicho: — Już pijani! — pobiegł nazad co żywo i zamknął drzwiczki za sobą. Po chwili snop jeden się odchylił, z pod niego wytknęła twarz śniada, na w pół czarnemi włosami przykryta, oczy niespokojnie przebiegły po sieniach, nareszcie wyskoczyła kobieta brunatnym płaszczem odziana, uchyliła wrota i pobiegła drogą prowadząca do Kowla.

Rządca ekonomji kowelskiej na poręczastem krześle przed kominkiem rozparty, rozprawiał po wieczerzy z przyjaciołmi. Opowiadał im szczęśliwe schwytanie siedmiu łotrów.

— Nie wiele to — dodał — ale przez nich o drugich dowiedzieć się można. Chwała Bogu, że choć i tych złapano.

— I wypuszczono! — odezwał się przy drzwiach głos kobiecy.

— Jakto wypuszczono! — zawołał Rządca zrywając się z krzesła jak oparzony — kto ich wypuścił?

— Wy sami panoczku — odpowiedziała Jerema.

— Ja?

— Wy sami, ten sierżant był herszt, a oni udawali więźniów.

— Sama niewiesz co pleciesz babo — — rzekł Rządca. — Ich Wybolecki połapał,

a Generał W** kazał dostawić; czytałem ordynans.

— Co oni sami panoczku napisali! — przerwała Jerema — Pan W** zaraz po Zapustach wyjechał, a dom pana Wyboleckiego tej nocy zrabowany, a może i on sam zabity.

— Dla Boga! — zawołał Rządca — to być nie może!

— Sama widziałam panoczku, już ja nie od dzisiaj włóczę się za niemi.

— Czemużeś pierwej znać niedała?

— Gdzież miałam się udać? nimbym doszła toby już ich niebyło, tymczasem dowiedzieliby się że ich pilnuję i mnieby zabili; i tak już dzisiaj — dodała — pędzili za mną w Zaglinkowskim lesie, ale Bogu chwała niepostrzegli.

— Gdzież są teraz? — zapytał Rządca.

— Nie daleko panoczku — odpowiedziała Jerema — stanęli na nocleg, sam czas ich połapać.

— Więc wiesz gdzie są?

— Wiem panoczku i zaprowadzę.

— Dobrze moja kochana, — rzekł Rządca dając jej parę dukatów — oto masz za doniesienie, a jak ich złapiemy to sutą dostaniesz nagrodę.

— Dziękuje panoczku — odpowiedziała

Jerema — ja pieniędzy niebiorę tylko za powróżenie, i to nie więcej jak złoty, a nagrody także mi niepotrzeba, niech tylko uda się ich złapać. — Na te słowa oczy jej wyrazem zemsty błysnęły, skłoniła się i wyszła.

W pół godziny potem ze dwudziestu ludzi dobrze uzbrojonych szli w cichości do lasu, a przed niemi jak duch jaki posuwała się z rozczochranemi włosami Jerema. Dochodząc do karczmy, pobiegła naprzód i przyłożyła oko do szpary w okiennicy będącej. Zbójcy, jedni pod stołem leżeli, drudzy chrapali oparłszy głowy na ręku. Jerema wróciła do przybyłych z nią ludzi, kazała im iść za sobą, obeszli karczmę i drugą stroną weszli do sieni. Tam stuknęła w boczne drzwiczki, Jankiel otworzył, coś poszeptali, nareszcie Jerema kiwnęła, wszyscy po cichu wsunęli się do izby, i zbójcy pobudzili się już powiązani. Jerema chodziła od jednego do drugiego, przypatrywała się im, czasem kiwnęła ręką jakby dla pokazania że nie o nich jej idzie, nareszcie jak już ostatniego zobaczyła, załamała ręce i zawołała:

— Cóż mi po tem, kiedy jego tu niema!

— Kogo? — zapytał komendant.

— Jego — odpowiedziała Jerema — herszta, Semena! Na co ci się mi zdali! — Po

tem pomyślała trochę, twarz jej się rozjaśniła, wstała i rzekła: — Poczekajcie, może się uda!

To rzekłszy wybiegła. Komendant tymczasem opatrzył więzy, a przypomniawszy sobie o fortelu jakiego użyli do przejścia przez Kowel, kazał wyszukać łańcuchy i na dobre włożyć im kajdany. Zaledwo skończył, wpadła zadyszana Jerema.

— Jest! jest! — wołała z radością — pójdźmy! — Kilku ludzi poszło za nią do jednej z mniej oddalonych chałupek. — Tu nocuje — rzekła Jerema.

Przystąpili do drzwi, ale te były zamknięte; dwóch silnych chłopów wyparli je. Jerema weszła naprzód; wtem strzelono, ona krzyknęła, przyłożyła rękę do piersi i padła. Strzelono raz drugi ale bezskutecznie, i wkrótce potem Semen leżał związany obok swoich ludzi.

— Gdzież się podziała cyganka? — zapytał komendant.

— W chałupie — odpowiedział jeden z przytomnych — zabita.

— Zabita! przynieść ją tutaj.

Przyniesiono Jeremę, żyła jeszcze, ale krew wielkiemi kłębami buchała z przestrzelonych piersi.

— Koło Semena mnie połóżcie — rzekła słabym głosem.

Uczyniono zadość jej żądaniu. Ona zerwała z głowy czarną perukę, a włosy jak śnieg białe spadły na ramiona.

— Czy poznajesz mię teraz? — zapytała.

Semen spojrzał na nią, wstrząsł się i milcząc odwrócił głowę.

— Pamiętasz moje biedne dziecie, moję pociechę jedyną, moję Magdusię?

Semen powtórzył mimowolnie: — Magdusię! — ruszył się jakby się chciał zerwać, ale łańcuchy tylko zabrzęczały, on powstać niemógł.

— Pamiętasz — rzekła dalej Jerema — to złote serce co ciebie tak kochało? Jakeś jej nagrodził?

— Gdzież ona jest? — zawołał Semen.

— Gdzie jest? — powtórzyła Jerema co raz słabszym mówiąc głosem — jest tam gdzie ja idę, gdzie niedługo i ty będziesz, na tamtym świecie!

— Umarła! — mruknął ponuro Semen.

Oczy Jeremy odżyły wyrazem nienawiści, zdała się nabierać siły, bo siadła i rzekła mocnym głosem:

— Umarła, ty ją zabiłeś! ale nakoniec zemszczona. — Tych słów domawiając zwróciła się do komendanta. — Słuchaj! — rzekła — ja powiem ci o nim.

Komendant się zbliżył, a wtem Jerema

wstrzęsła się gwałtownie, padła i drgając wyciągnęła się. To był ostatni znak życia.

3.

W kilka tygodni potem, lekki warszawski koczyk czterema dziarskiemi rumakami zaprzężony, pędził po drodze prowadzącej do Zaglinków. Siedzący w nim młody człowiek, zdał się duszą wyprzedzać bieg koni; co raz to stanął w pojezdzie i upatrywał dworu, to usiadł z niecierpliwością i wołał: — Ruszaj! — furman zacinał konie które tak żwawo pędziły, iż zdało się że unoszą. Nakoniec kocz wpadł na dziedziniec; młody człowiek zaledwo dał mu się zatrzymać, wyskoczył i wbiegł do sieni.

— Gdzie jest pan Wybolecki? — zapytał młodego chłopca siedzącego w przedpokoju.

— W swoim pokoju panie — odpowiedział chłopiec.

Ostrowski skoczył w tę stronę, drzwi otworzył i stanął jak wryty.

Na wielkiem poręczastem krześle obłożony poduszkami, jak trup blady siedział Wybolecki z zawiązaną głową; obok niego Joasia w czarnej sukni z zapłakanemi oczami i tak zmieniona, że ją ledwo kochanka oko poznać mogło; studziła jakiś napój dla brata. Jak postrzegła

Ostrowskiego, blady rumieniec powlókł wklęsłe policzki, puściła filiżankę, krzyknęła przeraźliwie i zakryła sobie oczy.

— Co to jest? — zawołał przerażony Ostrowski.

— A więc nic niewiesz? — rzekł Wybolecki słabym głosem i co moment się zatrzymując. — Dom... zrabowany!.. Joasi... posag... zabrany... Ja sam... ledwo żywy!

Ostrowski uderzył się w czoło. — A Joasia! — zawołał — Joasia!

— Wyjeżdża do Łucka — odpowiedział Wybolecki.

— Na kuracyą? — przerwał Ostrowski. — O! pozwólcie żebym z wami jechał! wszakże ja do was należę, czemużbym niemiał wam służyć?

— Biedny przyjacielu! — rzekł Wybolecki — nie łudź się... napróżno .. ona chce wstąpić... do Karmelitanek.

— Do Karmelitanek! — zawołał Ostrowski i odskoczył na bok, jakby niewidzialną jaką siłą rzucony. — Do Karmelitanek! po cóżeś mię łudziła? — dodał z nerwowem uniesieniem — w cóż się twoja przysięga obróci?

Joasia podniosła głowę i z trudnością wymówiła: — Jużem ja ciebie niegodna! niemogąc być twoją, Bogu się poświęcę.

Ostrowski stał osłupiony, Wybolecki spoglądał niespokojnie to na niego, to na siostrę, Joasia znowu twarz zakrywszy siedziała w milczeniu, a łzy sącząc się pomiędzy palce, spadały kroplami na ziemię. Wtem na dziedzińcu dał się słyszeć turkot pojazdu; Joasia wzdrygnęła się, wstała i rzekła przytłumionym głosem:

— To mój pojazd, bądźcie zdrowi! — a po chwili dodała — zapomnijcie o mnie!

Na te słowa Ostrowski zdał się przyjść do przytomności, lecz widać że niesłyszał co się mówiło, bo na dawniejsze jeszcze słowa Joasi odpowiedział.

— Ty mnie nie godna! — zawołał — niegodna bo nieszczęśliwa! Także to znasz moje serce?

Wyboleckiemu łzy się w oczach zakręciły. — Poczciwy — rzekł — szlachetny młodzieńcze! jakże Bóg... niema... błogosławić tobie!

Joasia milczała, lecz na jej twarzy widać było ogromną walkę miłości z tem co sądziła być swoim obowiązkiem.

— Joasiu! — zawołał znowu Ostrowski — niczże mi nieodpowiesz?

Joasia łzy otarła i jakby wzniósłszy się nad nieszczęście, odpowiedziała poważnie:

— Kocham cię, umiem cenić twoje serce,

ale nie chcę korzystać z chwili rozczulenia. Bądźcie zdrowi! — To rzekłszy zwróciła się ku drzwiom.

— Zatrzymaj się przynajmniej! — zawołał Ostrowski klękając na środku pokoju i wyciągając do niej ręce.

Ta mimowolnie się zatrzymała, a Wybolecki jakby nabrawszy siły przez gwałtowne poruszenie którego doświadczał, rzekł surowym tonem:

— Nie masz prawa odmówić mu tego; jak brat, proszę cię o to, jak opiekun, niepozwalam dziś odjeżdżać; zawsze czas będzie siebie i nas zasmucić!

— Dobrze więc — odpowiedziała Joasia — zatrzymam się, jeżeli jednej jeszcze potrzeba dla mnie goryczy, bo słowo jedź z ust jego wyrzeczone — dodała pokazując na Ostrowskiego — śmiertelnie zrani mi serce!

— Ja ciebie mam wyprawiać! — zawołał Ostrowski — ja?

— Ty! — odpowiedziała Joasia. — Rozmów się z moim bratem, a potem jak się dowiesz!... — Tu mocne łkanie przerwało jej mowę; po chwili uspokoiła się i dodała: — potem uczynię co każesz.

To rzekłszy wyszła z pokoju, uklękła przed obrazem Matki Boskiej w salonie zawieszonym

i modlić się zaczęła. Zaledwo kwadrans upłynął, w pokoju Wyboleckiego dał się słyszeć głos Ostrowskiego:

— Biedna! kochana Joasia! Jabym ją miał opuścić!

Joasi serce gwałtownie bić zaczęło, wtem drzwi salonu nagle się otworzyły, wpadł Ostrowski, uklęknął przy niej, i jedną ręką w pół ją objąwszy, drugą dotykając obrazu, zawołał:

— Przysięgam, że cię nigdy nieopuszczę!

Joasia patrzała na niego z niepewnością, jak gdyby nieśmiała wierzyć własnym uszom.

— Gdybyś mi już dawniej — dodał Ostrowski — niebyła milszą nad życie, tobym cię teraz nieszczęśliwą, więcej jeszcze kochał!

Joasia przychyliła głowę do ziemi jakby na podziękowanie Matce Boskiej za tak wielkie szczęście, wstała, chciała coś mówić, ale po bezskutecznem usiłowaniu zalała się łzami, i rzuciła się na szyję Ostrowskiego. On ją przycisnął do serca, i trzymając się za ręce wrócili do Wyboleckiego.

Odtąd w Zaglinkach zniknął ten smutek ponury, którym napełnił dom cały napad Semena; Wybolecki patrząc na szczęście przyjaciela i siostry, przychodził prędko do zdrowia. Indult wyrobiono, i w parę niedziel pojechali

wszyscy do Łucka dla wzięcia ślubu, po którym zaraz wrócić mieli do Zaglinków, gdzie zaproszeni przez Wyboleckiego goście czekać mieli na przybycie młodej pary. Pan Sędzia Stecki i Generał W** czekali na nich w katedrze.

Po ślubie, kiedy wszyscy wychodzili z kościoła, postrzegli mnóstwo ludzi na Bernardyńskiej ulicy. Przed tłumem szedł wóz, na którym siedział Semen ze związanemi w tył rękami i ostrzyżoną głową; obok niego Kapucyn, to modlił się, to coś przemawiał jak gdyby go cieszył, a z przodu dwóch oprawców, posługaczów kata, obojętnie poglądali na ciżbę. Joasia przytuliła się do Ostrowskiego, jakby lękając się żeby mu jej niewydarto, a Wybolecki spojrzał na Semena, przetarł sobie oczy i zawołał:

— Przebóg! wszak to Stonowski!

— Przepowiedziała mościwy panie Jerema, — odpowiedział Stecki — płakałem podpisując dekret.

Zaledwom skończył, dano znać że już czas na śniadanie, poszedłem więc do salonu, gdzie już zastałem całe towarzystwo. Dzień mile przepędzony zeszedł prędko; późno pożegnałem uprzejmych gospodarzy i obiecawszy sobie często ich odwiedzać, ruszyłem w drogę na Podole. Po dwóch dniach męki wytknąłem wreszcie na pole. O milkę z drogi było miasteczko Międzyc, w którym mieszkali państwo Suscy, ludzie majętni, żyjący wystawnie, i do których w pewnych epokach zjeżdżało się mnóstwo osób z Wołynia, Podola i Kijowskiej gubernji. Spotkałem był parę razy pana Suskiego w Żytomierzu, dom jego znany powszechnie, uważany był jako punkt zebrania się obywateli — niegodziło się prawie niebyć w Międzycu; postanowiłem więc korzystać z dobrej pory i oddać wizytę państwu Suskim. Zwróciłem z drogi, ale nim dojechałem noc nadeszła, to przymusiło mię jechać noga za nogą, i ledwo około północy przybyłem do Międzyca; zajechałem do karczmy, którą po długiem stukaniu otworzył mi nareszcie zaspany szynkarz, i co tchu zabrałem się do spoczynku. Byłbym spał Bóg wie jak długo, ale zbudzony zostałem nazajutrz odgłosem dzwonów; cerkiew była blizko domu do którego zajechałem — niedaleko ztamtąd wznosił się kościół pijarski i właśnie była niedziela, ztąd pochodziło te głośne dzwonienie. Kazałem przygotować suknie i zawołać szynkarza; był to zasłużony dawny dworski, ożenił się z garderobianą pani Suskiej, a pan Suski osa-

dził ich na szynku. Zapewniwszy się że państwo są w domu, zacząłem się ubierać niepytając o więcej, ale rad nierad musiałem się dowiedzieć rozmaitych szczegółów, gdyż mowny szynkarz zdziwiony, że jest ktoś taki co niebył w Międzycu, ciągle prawił to o dostatkach i uprzejmości, to o myślistwie, to o kapeli, to o stajni pana Suskiego. Mało dawałem na to baczności, gdyż wiele z tych rzeczy wiedziałem, więc mie nieinteresowały, ale jak pod koniec mojej toalety szynkarz dodał: — a teraz panie, będzie temu dni dziesięć został akademikiem.

— Jak to? — zapytałem.

— Z Wilna przysłali mu śliczny haftowany mundur.

— Czy co napisał?

— Nie panie, dał Pelikanowi Rektorowi Akademji wileńskiej karetę i sześć koni. Ależ warto było munduru, bo konie jak lalki!

— Jednakże — przerwałem — musiał coś więcej zrobić?

— Niewiem panie, o koniach wiem bom widział, a resztę Pan Bóg wie.

Widząc że więcej się niedowiem, chciałem przerwać nudną gawędę i wziąłem kapelusz. Postrzegł to szynkarz i rzekł:

— Już panie na mszę za późno.

— Ja też do dworu idę — odpowiedziałem.

— To co innego, ale do dworu zawcześnie, bo to dziś niedziela, u pana sessya, nazjeżdżało się ekonomów, naschodziło chłopów, to pan zajęty, a sama pani po mszy pewno się ubiera, lepiej poczekać trochę i zjeść u nas śniadanie.

Rad byłem widzieć tę sessyą, odrzuciłem więc projekt szynkarza i poszedłem do dworu. Przeszedłszy czyste i dobrze zabudowane miasteczko, wszedłem na dziedziniec obszernego pałacu; mnóstwo ludzi dworskich spotykałem, ale ci przyzwyczajeni do ustawicznych wizyt, niezważali na mnie i nikt mię o nic niepytał; w sieniach na lewo drzwi były otwarte, zwróciłem więc w tę stronę i wszedłem do obszernej sali. Na prawej stronie stało mnóstwo chłopów w brunatnych siermięgach, karmazynowemi pasami opasanych, z głowami świeżo podgolonemi. Na lewo ze dwudziestu ekonomów, pisarzy i rozmaitego nazwania oficyalistów stali w milczeniu, a wszystkie oczy zwrócone były na środek sali, gdzie coś mówił człowiek chudy, wysoki, w akademickim mundurze. Był to pan Suski. Właśnie kiedy wchodziłem zwróconą miał głowę ku chłopom, stukał palcem w haftowany kołnierz i rzekł:

— Baczyte teje?

— Baczymo batku — odpowiedzieli chłopi nizko się kłaniając.

Pan Suski wyprostował się i rzekł: — Oto teje za teje — dodał stukając się palcem w czoło.

Chłopi skłonili się milcząc, a pan Suski obrócił się do oficyalistów i miał zapewne do nich coś przemówić, ale postrzegł mię, a lubo mnie niepoznał, zbliżył się nagle i przywitał z uprzejmością jakby dawnego znajomego. Widziałem po mowie jego że niewie z kim gada, ale ponieważ przywitał mię jak znajomego, niewypadało mi prezentować się, starałem się przeto w rozmowie dać mu się poznać. Żył on był dawniej w przyjaźni z mojemi rodzicami, jak tylko zatem domyślił się kto jestem, uściskał mnie serdecznie i pomimo mojej prośby aby kończył sessyą, zaprowadził do salonu.

Pani Suska już była ubrana, zaprezentował mię jej, i zaczął wypytywać się o rozmaite szczegóły tyczące się mnie i mojego ojca, a to z taką uprzejmością, że prawdziwie wdzięczny mu byłem za ten examen. Po skończonych zapytaniach oświadczył, że niepozwoli na to ażebym stał w karczmie, i niepytając o więcej, posłał po moje rzeczy.

Widząc nieznajomego człowieka, który go przyjeżdża odwiedzić i usiłując zgadnąć z rozmowy kto on taki, pan Suski musiał skupić na ten jeden przedmiot całą swoję uwagę, ale jak tylko ta przyczyna ustała, uwaga jego wróciła do zwyczajnego stanu, to jest rozstrzeliła się na rozmaite strony. Pan Suski zawsze o kilku rzeczach razem mówił, a to tak żywo przedmioty rozmowy zmieniając, że zwykle wpadał w inną materyą połowę frazesu tylko powiedziawszy o pierwszej, co rozmowę jego często niezrozumiałą czyniło; przy tem ciągnął słowa z mazowiecka i trochę szeplenił. W czasie mojej wizyty zajęty był szczególnie czterema przedmiotami: przybył mu ogier po którego posyłał do Londynu; doczekał się doktora Mejera, który z Wilna przyjechał do niego na domowego lekarza; odebrał z Warszawy kuchcika, którego tam był posłał żeby się nauczył robić Rozengartowskich pierogów; i założył fabrykę angielskiego piwa. Rozmowa więc jego składała się z tych czterech rzeczy, które zawsze z nienacka i w pół frazesów przychodziły. Ci co go bliżej znali, wiedzieli mniej więcej co chce powiedzieć, ale ja żadnym sposobem niemogłem sobie dać rady. Na szczęście ów długo oczekiwany doktor Mejer przyszedł do salonu,

sama pani Suska wmięszała się do rozmowy, i zaczęliśmy się przecie rozumieć. Wtem dało się słyszeć na dziedzińcu trzaskanie z bicza, pojazd jakiś zaturkotał i zatrzymał się przed gankiem. Pan Suski przyzwyczajony słyszeć co moment kogo zajeżdżającego, bynajmniej niezwrócił uwagi na ten hałas; wkrótce drzwi salonu otworzyły się, i weszła kobieta mała ale kształtna, twarzy prześlicznej, ubrana po podróżnemu. Pan Suski jak tylko ją zobaczył zerwał się z krzesła i zawołał:

— Aa! jak się mas Teresiu? Azebyś wiedziała co to u mnie za piwo! lepse niz u Rozengarta.

— Co piwo?

— Ni, pirogi.

Pani Suska uściskała nowo przybyłą i zaczęła coś mówić, ale pan Suski dopiero o piwie i pierogach powiedziawszy, cierpiał że jeszcze Księżna Teresa Ramirska (gdyż to była ta ładna malutka pani) nic jeszcze niewie o jego doktorze i angielskim koniu. Porwał więc Mejera za rękę i przyprowadził do księżnej wołając:

— O tez go mas! azebyś wiedziała... Usy tak! — dodał przykładając wyciągnięte do góry palce z obu stron swojej głowy.

Księżna Teresa uśmiechnęła się i coś zagadała do pani Suskiej, która powiedziała jej, żo to jest doktor Mejer.

— Psecie dał się uprosić — przerwał pan Suski — i psyjechał... Ale to zebyś wiedziała, ten głupi koniusy chciał go z Londynu wodą wyprowadzić.

— Czy pan Mejer z Londynu przyjechał? — zapytała księżna Teresa.

— Ni, ogier — odpowiedział pan Suski.

— A jak mussuje!

— Ogier musuje?

— Ni, piwo! napisałem, ze gdyby i tysiąc dukatów więcej kostowało, to niechcę wodą, prowadź go lądem!

— Ale — przerwałem — z Anglji trudno niewyjechać wodą.

— To drogi nałozyć... nie chcę wodą!...

Uśmiechnęliśmy się mimowolnie, a pan Suski dodał:

— Juz dwóch ludzi wykurował!... a nózka jak u sarny... zobacys na obiedzie, takie pulchne!... a stzela jak sampan!.. Hej! — zawołał; wszedł lokaj. — Zawołać mi Marsałka!

Po chwili przyszedł Marszałek dworu, a pan Suski, który czekając na niego miał czas namyśleć się, i nad wszystkiemi czterema zajmującemi go przedmiotami zastanowić,

rzekł obracając się do Marszałka i pokazując Mejera:

— Cy pan Doktor ma wygodę? upiec na obiad, ogon podwiązać bo błoto i przeprowadzić na spacer; azeby były pulchne pamiętaj, i dobrze zatykać butelki.

Widać że marszałek wiedział już co to ma znaczyć, bo nic niemówiąc skłonił się i wyszedł. Tymczasem pan Suski spojrzał w okno z którego widać było gmach świeżo postawiony; to przywiodło mu na myśl nową okoliczność.

A to widzis Teresiu! — zawołał — to konwikt... chcecie zobacyć!... chodźmy!

Księżna Teresa jakkolwiek utrudzona drogą i zatrzymywana przez panią Suską, niechciała pozbawić pana Suskiego przyjemności popisania się z konwiktem, dała mu przeto rękę i wszyscy poszliśmy za niemi.

Był to budynek niezmiernej długości; ze trzydzieści pokojów jeden za drugim kończyły się ogromną salą; wszystkie drzwi pootwierane były na roścież, w sali malarze kończyli tynk na suficie, a architekt jakiś dawał polecenia. Przeszliśmy w cichości cały ten ciąg pokojów, ale zaledwo wstąpiliśmy do sali, pan Suski zatrzymał się i zawołał:

— To... skoła!... Tu... Professor!... wi-

dzi wsędzie... a to co!... Co waspan robis?... klęc waspan!... a pis ze... Cicho smarkacu!.. wsyscy pod okiem!...

To mówiąc pokazywał palcem rozmaite miejsca, w których miały nastąpić przewidziane wykroczenia spodziewanych studentów. Nareszcie spojrzał przed siebie i cały zapyrzony zwrócił się do architekta.

— A to co? chodź tu głupce!

Architekt zadziwiony tą apostrofą przybliżył się do niego.

— Patzaj głupce — rzekł znowu pan Suski pokazując palcem ku drzwiom.

— Co panie?

— A dzwi!

— Już panie wsystkie wstawione.

— A to osioł!... niewidzi... tamte na końcu co raz mniejse...

— Ale panie, to perspektywa.

— Głupiś z perspektywą; wyrąbać!...

— Dobrze JWPanie.

— Zeby człek sam niedojzał, toby Bóg wie co porobili.

To mówiąc szedł wciąż przez pokoje; jakeśmy przyszli do drzwi wchodowych, obrócił się i znowu zawołał z gniewem na architekta, który szedł za nami.

— Za co ci płacę?... patsaj!... i tamte mniejse. Zaraz wyrąbać... bo odpędzę!

— Dobrze JWPanie.

— Patsajze, ze mną zartu niema!

To rzekłszy pan Suski wyszedł z konwiktu, damy wróciły do pałacu, a my poszliśmy oglądać stajnię i psiarnię.

Te dwa wydziały ze szczególną troskliwością utrzymywane, godne były widzenia. Pan Suski opowiadał nam genealogiją psów i koni, cytował czas, miejsce i czyny któremi się wsławili, z tego wpadł w obszerne opisywanie polowań, które w samej rzeczy sławne były, ale to tak dziwnie, że biografije psów i koni pomięszały się z piwem, konwiktem, pierogami i Doktorem; zrozumiałem tylko, że z jednego brytana spadł konwikt, Doktor dzika porwał za ucho, piwo wystrzeliło, nabili mnóstwo pierogów, a ogierowi spaliło na panewce; gawęda ta trwała parę godzin, po których wróciliśmy do pałacu. Wkrótce dano wyborny obiad; pan Suski podochocony starym winkiem ciągle gadał, a po obiedzie stanęła kapela z sześćdziesięciu muzykantów złożona. Już rozmyślałem jakby się wynieść, gdyż te domowe kapele dały mi się we znaki, ale niepotrzebnie się zląkłem. Pan Suski miał

zawsze kilku wybornych muzyków, których z wielkim kosztem sprowadzał i utrzymywał, jego więc kapela dobrze wyćwiczona, prawdziwą robiła przyjemność.

Pani Suska wyłącznie zajęta Księżną, mało się mięszała do rozmowy i wkrótce zniknęła, gdyż Księżna zmęczona podróżą, zaraz prawie po obiedzie poszła do siebie. Z tej przyczyny wieczór wydał mi się dość długi, i jak tylko można było, uciekłem także z salonu. Nazajutrz chciałem rano wyjechać, pojazd mój zatem o ósmej zaprzężono, pan Suski dowiedziawszy się o tem, przysłał spytać czy już wstałem; niechcąc aby przychodził do mnie, ubrałem się co żywo i poszedłem pożegnać go w jego gabinecie. Drzwi były otwarte, widziałem że chodzi po pokoju, a zbliżywszy się usłyszałem że coś dyktuje. Wahałem się czy mam wejść, wtem pan Suski zawołał: — Psecytaj waspan! — Sekretarz zaczął czytać ale dość cicho, zresztą nierad byłem słuchać i byłbym nic niewiedział, gdyby pan Suski niezawołał był z gniewem;

— Niema sensu!

— I mnie się zdaje JWPanie że niema — — odpowiedział Sekretarz.

— A dla cego? za co ci płacę?

— Ja JWPanie piszę słowo w słowo co pan każe.

— Dla cegoz niema sensu?

— W pierwszym peryodzie JWPanie niema słowa.

Pan Suski stanął jak wryty i po chwili zaczął wołać: — Ma ser! ma ser!

Wbiegła pani Suska pytając o co chodzi.

— Patsaj ma ser jaki głupi, powiada ze w moim liście niema słowa! A patzajze ośle — dodał stukając palcem po liście — raz, dwa, tsy, ctery, a toz co? nie słowa?

— Ale JWPanie słowa są, ale niema werbum.

— Głupiś waspan!.. na co mi werbum? pis na nowo.

Widząc że się zabiera znowu dyktować, wszedłem do gabinetu. Niechcieli mię puszczać państwo Suscy, ale przyrzekłem, że z powrotem zajadę do nich na dni kilka, przyjęli więc moje pożegnanie i wyjechałem.

Na drugi dzień niedaleko już byłem celu mojej podróży, kiedy uderzyła mię w oczy wieś nadzwyczajnej długości, o milę przynajmniej jeszcze odległa. Mój furman nigdy niebył w tamtych stronach i nieumiał powiedzieć mi co to była za wioska; jej długość nadzwyczajna wzbudzała moję ciekawość, kazałem

przeto zatrzymać się przy pierwszej karczmie jaka się znajdzie przy drodze, tak dla wytchnięcia koniom, jak dla rozpytania się. O ćwierć mili dalej zobaczyliśmy karczemkę, przed nią stała bryczka trzema gniademi końmi zaprzężona, na bryczce siedział srokaty wyżeł, a z boku wyglądała dubeltówka. Widocznie pan tego powozu był ad minimum posessorem, spodziewałem się więcej od niego dowiedzieć niż od arendarza, wyskoczyłem więc z kocza i wszedłem do brudnej izby. Człowiek dobrze ubrany przechodził się po niej; w karczmie znajomości prędko się robią, wkrótce więc dowiedziałem się, że się zowie Bąbrowski, że niedaleko ztamtąd trzyma w posessyi dwie wioski, i że wieś która wzbudzała moję ciekawość nazywała się Szarka i należała do pana Doskiego.

— Jak żyję niewidziałem — rzekłem — tak dużej wioski.

— Bo to panie siedm wiosek razem skupionych — odpowiedział Posessor. — Doski pokłócił się z Popami, których było siedmiu, wioski porozbierał i pobudował razem, a Popów z żonami i dziećmi kazał zabrać na wozy i wywieźć za granicę austryacką, która ztąd o kilka mil tylko.

— Jakże mu się takie bezprawie udało?

— Ma pieniądze — odpowiedział Posessor — pojechał do Petersburga, tam sypnął i wrócił z orderem; kazano mu tylko wymurować cerkiew w tej nowej wiosce. Już ją lat ze dwadzieścia muruje, i daj Boże ażeby za drugie lat dwadzieścia skończył.

— Ależ to jakiś gwałtowny człowiek?

— Dawniej był gwałtowny, teraz tylko oryginał nieszkodliwy, robi tylko waryacye o których całe Podole gada.

Rad byłem więcej szczegółów się dowiedzieć, ale już się spóźniać zaczynało i niemogłem dłużej się zatrzymać. Pożegnałem więc Posessora i zapytałem w którą stronę jedzie, a dowiedziawszy się że do Szarki, zaprosiłem go do mego pojazdu i ruszyliśmy. Niechciałem z razu robić mu zapytań, żeby niemyślał iż sama tylko ciekawość jest przyczyną mego zaproszenia i dosyć nudnie ujechałem ze dwie mile, kiedy spostrzegłem zdaleka stojących w poprzek drogi czterech dworskich Kozaków na koniach; spostrzegłszy mój pojazd zbliżyli się do siebie i stanęli tak, że kocz mój musiał się zatrzymać. Mimowolnie sięgnąłem do pistoletów, ale widząc że mój towarzysz uśmiecha się, że przeto niema niebezpieczeństwa, czekałem spokojnie końca tej awantury. Jeden z Kozaków zbliżył się, dotknął ręką czapki i

rzekł grubym głosem: — Zdorow batku! — Odkłoniłem mu się i zapytałem czego chce.

— Pan Graf Doski — odpowiedział po polsku — kłania się panom i prosi na kolacyą.

— Pomyliłeś się — rzekłem — pan Doski mnie niezna i zapewne na kogo innego musiał ci kazać czekać, ustąpcie więc z drogi, bo mi jeszcze daleko do noclegu.

Kozak nic nieodpowiedział, pokręcił tylko wąsa, kiwnął na swoich kolegów którzy natychmiast zbliżyli się do niego i rzekł do mnie: — Jak nepoidesz batku to zawedemo.

Sięgnąłem znowu po pistolet, ale Posessor wstrzymał moję rękę śmiejąc się i rzekł:

— Niech pan każe jechać, niema nic strasznego. — Pojazd ruszył, Kozacy go otoczyli a Posessor dalej mówił: — Ten waryat sam się nudzi, więc jak tylko niema nikogo, posyła na trakty i łapie gości. Ten kogo spotkają rad nierad musi zajechać, ale innej nad tę niema nieprzyjemności. Pan Doski najuprzejmiej go przyjmuje, i póty tylko zatrzymuje, póki drugiego nieprzywiozą.

— Jakże mu to uchodzi bezkarnie? — zapytałem.

— Cóż panie — odrzekł Posessor — pierwszy moment gniewu przejdzie nim się dojedzie, potem człowiek rad nierad śmiać się musi.

— Ale ja spieszno jadę.

— Pana niebędzie długo zatrzymywał, bo i zapewne z jakiego innego traktu gościa przywiozą, i jest nas dwóch, to ja się zostanę.

— Przykro mi — rzekłem — żem pana zaciągnął w tę awanturę.

— Niech się pan nietroszczy — odpowiedział Posessor — ja tu już dwa dni podjeżdżam żeby mię złapali, ale widać pan Doski miał gości, bo dziś dopiero pokazali się Kozaki.

— To krótciej było wprost pojechać.

— Zapewne, gdybym jechał z wizytą lub przez ciekawość, ale ja tam już nie raz bywałem.

— Dla czegóż pan chciałeś dać się złapać?

— Potrzebuję siana i chcę skosić przyległą łąkę Doskiego. Gdybym wprost do niego pojechał, to albobym nic niewskórał, albobym musiał drogo zapłacić, a jak mię przywiozą to mi ją darmo pozwoli kosić, bo nic niema do odmówienia przywiezionemu gościowi.

Tak gawędząc dojechaliśmy wreszcie do Szarki, i po półgodzinnem jechaniu przybyliśmy do połowy wioski, gdzie był dom pana Doskiego. Wyszedł na przeciw nas człowiek siwy, trochę zgarbiony, ale czerstwy i żwawy; Kozacy zniknęli, a on jakby o niczem niewiedział, zaczął nam dziękować żeśmy go

odwiedzili, i wprowadził nas do domu kosztownie umeblowanego. Zaledwośmy weszli do salonu, pan Doski spojrzał na zegar i rzekł:

— Żałuję bardzo żeście panowie tak późno przyjechali, byłbym się przygotował na przyzwoitsze przyjęcie, a teraz chciejcie przyjąć dobrem sercem coście zastali.

To rzekłszy klasnął w ręce, drzwi sali jadalnej otworzyły się i zobaczyliśmy stół bogato ustrojony, a na nim dwa nakrycia; obok stał malutki stoliczek z jednem tylko nakryciem; dwanaście dziewek w czerwonych kaftaniczkach stały na około stołu z talerzami pod pachą. Pan Doski posadził nas przy dużym stole, sam siadł przy małym i stuknął ręką; wszystkie dziewki zwróciły na niego oczy i stały nieporuszone czekając dalszych rozkazów. Zupa już była na stole, zaledwośmy ją zjedli, pan Doski machnął ręką. Na ten znak dziewki wyciągnęły prawe ręce, Doski znowu machnął, dwie dziewki dotknęły naszych wypróżnionych talerzy, za trzecim znakiem wzięły te talerze i odeszły. Po chwili pan Doski znowu stuknął, otworzyły się boczne drzwiczki którychem był niewidział: jedna z dziewek które były wyszły wniosła półmisek: naprzód poszła do pana Doskiego, ukłoniła mu się, skosztowała potrawy i po-

dała mu ją; pan Doski także ją skosztował, potem dał znak i potrawę nam podano. Za nowym znakiem nalano nam wina, wszystko odbywało się w cichości — wieczerza z mnóstwa potraw złożona długo trwała, pan Doski wciąż machał rękami, dziewki wytresowane odbywały służbę z precyzyą, ale pomimo nadzwyczajności tego widoku prędkośmy się unudzili i z pociechą ujrzeliśmy koniec tej obfitej i cichej wieczerzy.

Zaledwośmy weszli do salonu, pan Doski otworzył drzwi szklanne, wszedł na balkon, wziął przygotowany już tam pistolet i wystrzelił.

— Co to jest? — zapytałem Posessora.

— Zobaczysz pan, — odpowiedział — to codzienna wieczorna zabawa.

Pan Doski wrócił do salonu i zaczął rozmawiać jakby się było nic niestało. Wkrótce usłyszeliśmy szmer głośny co raz wzrastający; zwracałem głowę do okna, ale pan Doski wciąż prawiąc, niedał mi się ruszyć z kanapy; nareszcie usłyszałem stąpanie i hałas pochodzący z wielkiego zgromadzenia ludzi. Na dziedzińcu wystrzelono z pistoletu, po czem pan Doski zaprosił nas na balkon.

Dziedziniec napełniony był ludźmi, bo na wystrzał pana Doskiego cała wieś była się

zbiegła — pan Doski machnął ręką i w moment cała ciżba zaczęła się porządkować, starzy osobno, młodzież osobno; za drugim znakiem żonaci oddzielili się od nieżonatych, a mężatki od dziewek. Jak tylko to się stało, pan Doski zawołał:

— Bawcie się dzieci!

Młode chłopcy podeszli naprzód i zaczęli przewracać koziołki po dziedzińcu; to przewracanie się w rozmaitych kierunkach takie było oryginalne, że cały dziedziniec zdał się ruszać jak morze. Po chwili pan Doski zawołał: — Hu! — koziołki się zatrzymały, wystąpił skrzypiciel i zaczął rzępolić. Za nowym znakiem zaczęły się tańce, które trwały z godzinę, pan Doski znowu zawołał, hu! i wszystko się zatrzymało.

Myślałem że na tem skończy się zabawa, ale pan Doski znowu dał znak: cała ciżba zaczęła się ruszać i powróciła do dawnego porządku. Pan Doski machnął chustką, wystąpiły mężatki na przód; za drugiem machnięciem wyszli żonaci; za trzeciem każda mężatka zdjęła chustkę z pleców i obwiązała sobie głowę tak, żeby twarzy niebyło widać. Jak się ta cała operacya skończyła, pan Doski zawołał: — Dalej! — Na to wystąpił jeden z żonatych, szukał pomiędzy mężatkami, na-

reszcie wziął jednę za rękę i przyprowadził do balkonu; zdjęto jej chustkę z głowy, pokazało się że chłop przyprowadził swoję żonę, a pan Doski dał mu pięć groszy; potem przyszła druga para, potem trzecia i każda dostała pięć groszy, ale w czwartej parze pokazało się, że przyprowadzona kobieta niebyła żoną tego co ją przyprowadził. — To ty taki mąż —rzekł pan Doski—że swojej żony nieznasz! dać mu pięć batów! — Dali chłopowi pięć batogów, kobieta zawiązała sobie znowu głowę i wróciła do grona mężatek, a biedny chłop na nowo zaczął szukać i przecie tą razą szczęśliwie trafiwszy, dostał także pięć groszy. Kiedy tak wszystkie pary przeszły z rozmaitem szczęściem, chłopi się pokłonili i poszli do domów, my także jużeśmy się zwracali do salonu, kiedyśmy zobaczyli chłopa prowadzonego przez Kozaków. Pan Doski kazał mu się zbliżyć i zapytał:

— Czy prawda że ci wół zdechł i że już niemasz chleba?

— Prawda panie — chłop odpowiedział.

— Dawno?

— Będzie temu dwie niedziele jak wół zdechł, a już dni z dziesięć jak niemam chleba.

— A przychodziłeś do mnie?

Chłop milczał.

— Czy przychodziłeś do mnie? — zapytał groźnie pan Doski.

— Nie panie — odpowiedział chłop nizko się kłaniając.

— Cóżto ty hultaju niewiesz że ja twój pan? że ci dam co potrzeba? Hej! — Kozak podbiegł. — Ekonom! — Ekonom przyszedł. — Dasz waspan — rzekł pan Doski — temu chłopowi młodego byka i dziesięć korcy żyta, a za to że był głodny a nieprzyszedł do swego pana, dwadzieścia batogów.

Tak byłem odurzony tem wszystkiem co widziałem i słyszałem, że w salonie dopiero przyszedłem do siebie. Pora już była spóźniona, rad byłem i odpocząć, i nazajutrz rano wyjechać, pożegnałem więc gospodarza.

— Pan jeszcze jutro niepojedziesz — odpowiedział.

— Ale muszę jechać koniecznie.

— Jakąbyś pan miał opinią o mojej gościnności, gdybym pana tak prędko wypuścił.

— Wszak panu zostaje pan Bąbrowski — rzekłem pokazując na mego towarzysza Posessora.

— Ja żadną miarą niemogę zostać — odpowiedział Bąbrowski — muszę jechać nająć gdzie łączkę, bo niemam siana i bydło mi wyzdycha.

— To pan u mnie najmij! — przerwał pan Doski.

— Ja to myślałem — odpowiedział Posessor — tem bardziej że jest jedna pańska łączka tuż przy mojej granicy, ale u pana drogo, ja jechałem do szlachty, niech mnie więc pan niezatrzymuje.

— No no! bądź pan spokojny, między sąsiadami trzeba sobie dopomagać, niech pan sobie skosi tę łączkę, to tam mniejsza o to.

— Więc mnie pan już puścisz — rzekłem — bo naturalnie pan Bąbrowski niemając już interesu jechać dalej, może zostać.

— Zapewne że zostanę, — przerwał Posessor — któżby nierad tu gościć jeźli może!

Ucieszony tem oświadczeniem pan Doski, co raz słabiej opierał się memu żądaniu, i nareszcie zgodził się na mój wyjazd. W samej rzeczy na drugi dzień musiałem tylko zostać na śniadaniu i około południa wyjechałem.

O milkę ztamtąd spotkałem koczyk w asystencyi Kozaków Doskiego. Ukłoniłem się jak towarzyszowi awantur grubemu jakiemuś panu, który siedząc namarszczony co raz to wołał: — Czekajcie łotry, popamiętacie mnie! — Kozaki śmieli się z pogróżek, pojazdy nasze minęły się, i tegoż jeszcze wieczora przyjechałem do mojej siostry.

X.

Zdziwiłem się dojeżdżając do pałacu, że okna niebyły oświecone; zadzwoniłem w zegarek, ledwo była dziewiąta, więc jeszcze spać niemogli. Po tej uwadze tysiąc myśli zaczęło cisnąć mi się do głowy, a że łatwo dosyć przewiduję rozmaite smutki i nieszczęścia, niespokojny zajechałem na dziedziniec. Kilku brytanów przechodzących się poważnie podniosły głowy i grubo szczekać zaczęły; głos ten odbił się o mury pałacu i oficyn, i sam niewiem dla czego tak mnie przeraził, że mi się zdało iż jestem na dziedzińcu świeżo opuszczonego gmachu, wyludnionego przez jakieś wielkie nieszczęście, i w którym dawni już tylko stróże pozostali. Szczęściem smutne te myśli wkrótce przerwane zostały, drzwi pałacu otworzyły się, wyszło parę lokai, a za niemi jakiś dobrze ubrany człowiek.

— Czy jest moja siostra? — zapytałem.

— Niema nikogo — odpowiedział Marszałek dworu (tym był ów dobrze ubrany człowiek), i to rzekłszy oddał mi list, którego widok znowu mnie poruszył. Rozpieczętowałem go, przygotowany będąc do dowiedzenia się czegoś bolesnego, lecz szczęściem i tą ra-

zą niemiałem się czego martwić. Moja siostra niespodziewając się mnie tak prędko, przyjęła zaprosiny jednego sąsiada, Marskiego i wyjechała z mężem, zostawiając na przypadek list, którym mnie prosiła abym do nich przyjechał. Tak pozbywszy się urojonych ale nie mniej przykrych niespokojności, smacznie zjadłem wieczerzę i zamówiwszy konie na jutrzejszy ranek, zabrałem się do spoczynku.

Nazajutrz około piątej Piotr przyszedł mnie zbudzić; uważałem że jakąś niezwykłą miał minę, co raz to mimowolnie się uśmiechnął, to ruszył ramionami, nakoniec niemógł dłużej się utrzymać i w głos się roześmiał.

— Co to jest? — zapytałem zadziwiony.

— To nic panie — Piotr odpowiedział.

— Czegóż się śmiejesz?

— To panie tak sobie.

— Ależ przecie?

— To niby ludzie śmieszne rzeczy rozpowiadają o sąsiadach, i ten pan co to my do niego jedziemy, wyprawia niby bal dla pana Cyryry.

Wtem drzwi się otworzyły, wszedł lokaj z tacą, a za nim marszałek z doniesieniem, że już konie zaprzężone. Niemogąc od Piotra dowiedzieć się szczegółów które miał był opowiadać, a niechcąc wypytywać się o nie ludzi

mego szwagra, ubrałem się niecierpliwie i ruszyłem. Około południa zajechałem przed mieszkanie pana Marskiego, w oknach widziałem mnóstwo gości, co dowodziło że była jakaś feta. Wysiadłem z pojazdu, wszedłem do sieni, lokaj nic niemówiąc otworzył drzwi do salonu, poszedłem więc w tę stronę w nadziei spostrzeżenia mojej siostry lub szwagra, i prezentowania się gospodarzowi. Ale próżną była ta nadzieja, bo salon tak był napchany, że o parę kroków nic widzieć niemożna było; przepychałem się z trudnością, kiedy postrzegłem po ruchu ciżby, że z drugiej strony salonu ktoś także posuwa się ku mnie. Nie długo wytknął człowiek miernego wzrostu, w długim ciemnym szarafanie z szerokiemi rękawami; broda jak śnieg biała, starannie utrzymana zakrywała mu piersi. Myślałem że jaki Archirej a przynajmniej Błahoczynny, i już ustępowałem mu z drogi, kiedy on raptem wziął mnie za rękę i rzekł:

— Bardzo dziękuję, żeś mnie pan raczył w dniu dzisiejszym odwiedzić.

Po tych słowach z zadziwieniem poznawszy w nim gospodarza, powiedziałem mu kto jestem, on zaraz mnie zaprowadził do mojej siostry, i dłużej nieczekając poszedł znowu na środek salonu.

— Co to jest? — zapytałem mojej siostry — czy maskarada? Dla czego sam tylko gospodarz w kostiumie? Czy imieniny pana Cyryry?

Moja siostra spojrzała na mnie z zadziwieniem i rzekła:

— Czy powietrze tutejsze i tobie głowę zawróciło, że tyle pytań razem zadajesz? Na któreż mam naprzód odpowiedzieć?

— Zacznij sobie zkąd chcesz — zawołałem — byleś na wszystko odpowiedziała!

— Będę się starała zachować porządek twoich pytań. Naprzód, nie maskarada ale feta zwyczajna, gospodarz nie jest w kostiumie, ale w zwyczajnym swoim stroju, i nie imieniny pana Cyryry, ale święto Cerery obchodzi.

— Święto Cerery! — zawołałem.

— Po naszemu dożynki! — odpowiedziała moja siostra.

— Cóż on waryat?

— Nie waryat ale oryginał, jednakże ostrzegam żebyś się nie śmiał, bo mu wielką zrobisz przykrość.

Kiedy to mówiła, u drzwi salonu zawołano głośno: — Pulcherya de Scibor Marska!

— A toż co? — zapytałem.

— To biedna jego córka, — odpowiedziała moja siostra — najlepsza, najrozsądniejsza

dziewczyna, musi znosić śmieszność. Oto zbliża się ku nam.

Obróciłem głowę w tę stronę i zobaczyłem ładną panienkę z ogromnym wieńcem żyta na głowie. Postępowała zwolna, uśmiechała się do wszystkich, a duże dwie łzy gwałtem wstrzymywane błyszczały jej w oczach. Moja siostra pobiegła ku niej i uściskała ją, inne kobiety toż samo zrobiły, i przecie twarz biednej Pulcheryi rozjaśniła się cokolwiek. Rad byłem że przecie biedaczka rozweseliła się, i szczerze ścisnąłem rękę mojej siostry na podziękowanie jej za ten dobry uczynek, kiedy nadszedł mój szwagier Konstanty.

— A jak się masz? — zawołał — dobrze żeś przyjechał, bo jeszcze nic takiego niewidziałeś, jak to co tu zobaczysz.

— Domyślam się ciekawych rzeczy po opowiedzeniu twojej żony — odpowiedziałem — ale radbym poznać towarzystwo, więc mnie prezentuj komu zechcesz.

Tak rozmawiając zbliżaliśmy się do grupy z czterech kobiet złożonej; wszystkie młode i przystojne rozmawiały cicho i uśmiechały się. Wtem raptem rozsunęły się trochę ażeby zrobić miejsce piątej, która także uśmiechając się przybliżała się do nich. Twarz jej ude-

rzyła mnie tak, że zapytałem mego szwagra, kto ona jest?

— Żona tego pana starego i suchego, co tam stoi przy kominie, — odpowiedział mój szwagier — zowie się Czerska.

Pani Czerska siadła i wszystkie pięć poszeptawszy chwilkę, głośno śmiać się zaczęły. Sam niewiem dla czego mnie to zaintrygowało.

— Któż jest ta druga dama? — zapytałem mego szwagra, pokazując kobietę siedzącą najbliżej pani Czerskiej.

— I to pani Czerska — odpowiedział mój szwagier.

— A ta trzecia?

— I to pani Czerska.

— A czwarta?

— Czwarta i piąta także panie Czerskie.

— Czy tylu jest braci Czerskich?

— Nie — odpowiedział Konstanty — wszystkie są żony tego Czerskiego, któregom ci pokazał.

— Jakto! wszystkie pięć?

— Cztery razy się rozwiódł, a ta ostatnia, piąta jego żona.

— Czy taki szalony, że z nim żadna kobieta wytrzymać niemoże?

— Nie, oryginał jest, ale nawet nie zły człowiek, tylko jak pożyje z żoną ze trzy miesiące, tak dłużej wytrzymać niemoże; a że nie tak powabny żeby bardzo o niego dbano, a przytem robi przed rozwodem zapisy, więc się żony niesprzeciwiały i rozwody łatwo mu przychodziły.

— A z ostatnią dawno żonaty? — zapytałem.

— Ledwo dwa miesiące — odpowiedział Konstanty — ale już zdaleka od niej stoi, i jak widzisz ciągle tam na tę panienkę na prawo pogląda, więc niezawodnie myśli o rozwodzie.

— Jednakże — rzekłem — piąta żona dużo miała odwagi, że poszła za człowieka co się już cztery razy rozwodził.

— Długo się wahała — rzekł Konstanty — ale Czerski poleciał do czwartej i wyprosił u niej świadectwo na pismie, że był bardzo dobrym mężem. Wszyscy się śmiali, a panienka zkąd inąd zapewne ośmielona, zdecydowała się. Jakkolwiek bądź jeźli i niekontenta, to niedługo ma cierpieć, bo widzę w oczach Czerskiego, że najdalej za miesiąc rozpocznie rozwód.

Zajęty słuchaniem opowiadania Konstantego, nieuważałem że gospodarz już się po salonie niekręcił i zniknął. Wtem dały się słyszeć na dziedzińcu trąby; spojrzałem w okno i zobaczyłem mnóstwo wieśniaczek ze snopa-

mi zboża na ręku. Postępowały po dwie szeregiem śpiewając jakąś pieśń, której słów dosłyszeć niemogłem, a przed niemi jechał pan Marski, na ogromnym wozie ciągniętym przez parę wołów jak śnieg białych, ze złoconemi rogami; przed nim siedziała nieszczęśliwa Komityssa Pulcherya, trzymając w ręku wazę, w której błyszczał płomień jakby zapalonego spirytusu. Na środku dziedzińca wóz się zatrzymał, śpiewaczki nieprzerywając śpiewu uszykowały się we dwa rzędy po obu stronach wozu; po chwili pan Marski zszedł poważnie i skłonił się gościom wyglądającym przez okno.

Widać iż to było znakiem, że czas jest wyjść z domu dla asystowania fecie, gdyż wszyscy posunęli się ku drzwiom i wkrótce potem zasiedli na gradusach wzdłuż dziedzińca ustawionych, którychem był wjeżdżając nieuważał. Jak już wszyscy zasiedli, pan Marski obrócił się do śpiewaczek i dał znak, po którym wszystkie umilkły, a w tym momencie wpadło na dziedziniec z pięćdziesięciu chłopów, każdy miał w ręku kilkanaście cegieł, i w mgnieniu oka ułożyli na środku dziedzińca obszerny stós, mający służyć za ołtarz. Jak tylko to się skończyło, chłopi odbiegli na stronę, a śpiewaczki kolejno po dwie z każdej

strony przystępując, składały snopy na ołtarzu; pan Marski przez ten cały czas machał rękami i czynił jakieś inwokacye; potem zwrócił się ku wozowi, Komityssa Pulcherya drżąc cała zeszła na ziemię i zbliżając ogień święty do snopów zapaliła je. Płomień wznosił się wysoko, czarne kłęby dymu zaczęły kręcić się po nad dziedzińcem, goście zaczęli kichać i kaszlać, i niewiem na czemby się było skończyło, gdyby niezjawił się był lekki wietrzyk, który przecie dym odpędził i oczyścił powietrze. Wkrótce płomień przygasł, pan Marski zrobił jakąś głośną inwokacyą, po której przyprowadzono mu białego barana z pozłacanemi rogami i ustrojonego w kwiaty, on ujął go za kark i dobył kordelasa; kobiety zaczęły krzyczeć i zasłaniać sobie oczy, a pan Marski spojrzawszy na nie z pogardą, mruknął: — Znikczemniałe plemie! — podniósł rękę i silnie ją spuścił. Damy widać niezupełnie miały oczy zakryte, bo razem wszystkie wrzasnęły; baran przeraźliwie beknął i przewrócił się trzepocząc nogami. W tym momencie chłopiec podskoczył z miską, w którą ciekła krew nieboszczyka barana; pan Marski wziął miskę poważnie, wylał krew na kurzący się jeszcze popiół zboża i po krótkiej allokacyi do ludu, zapewniającej go o protekcyi potężnej Cerery,

rozkazał wytoczyć parę beczek wódki. Z drugiej strony wystąpił wiejski skrzypek, pan Marski wziął mołodycę, Komityssa parobka, i rozpoczęli taniec. Po chwili i gospodarz z córką, i goście weszli do domu, zostawując na dziedzińcu tańczących wieśniaków.

W salonie podzielili się goście na grupy i cicho zapewne o fecie rozmawiali; ja z moim szwagrem przybliżyliśmy się do mojej siostry; wtem weszła Komityssa ubrana już jak inne damy — widać było po jej twarzy radość, że już przecie skończyła niemiłą rolę, którą odgrywać musiała; szła ku mojej siostrze z uśmiechem, kiedy zbliżył się do niej młody człowiek przyjemnej postaci, ona się zatrzymała i poczęli coś wesoło rozmawiać.

— Muszę cię potem poznać z Buńskim — rzekł Konstanty pokazując na interlokutora Komityssy — poczciwy chłopak, trochę może za żywy, ale wesoły, kontent będziesz z tej znajomości.

Kiedyśmy tak rozmawiali, Major konsystujący w tem miejscu, zbliżył się do Komityssy i rzekł:

— Wasz batiuszka.

Panienka zaczerwieniała, łzy jej się w oczach zakręciły, a Buński postrzegłszy to, rzekł surowo:

— Jakże pan możesz rzecz tę przykrą powiedzieć pannie Pulcheryi?

Major spojrzał na niego z góry, wargę spodnią wysunął naprzód i odpowiedział:

— A tiebie kakoje dieło?

Zaledwo to wymówił, a ręka Buńskiego błysnęła w powietrzu i zniżyła się raptem; usłyszeliśmy oklask, a po nim jakieś trzepotanie się na posadzce. Był to pan Major, który dostawszy ogromny policzek, nakrył się jak mówią nogami i usiłował powstać. Podskoczyliśmy z Konstantym i postawili Majora na nogach; spojrzałem mu na twarz, z jednej strony blady był jak chusta, z drugiej czerwony jak piwonija. Poprawił sobie włosy, otrzepał chustką mundur, spojrzał po nas, a widząc na wszystkich ustach mimowolny uśmiech, obrócił się do Buńskiego i rzekł jąkając się od złości:

— Wy mienia datie rezon!

— Bardzo chętnie — odpowiedział Buński i obejrzał się, a postrzegłszy widać przyjaciela swego, niejakiego Gracyana Szawicza, dodał: — Gracyanie! proszę cię na sekundanta.

— Z całego serca! — odpowiedział Szawicz i obracając się do Majora zapytał: — — Któż będzie pańskim sekundantem?

Major popatrzał po salonie i zawołał: — Iwan Pawłowicz!

Wkrótce młody Oficerek ściśnięty jak osa, wywatowany na piersiach, przybliżył się przewalając się z gracyą z nogi na nogę i zapytał:

— Czto prykażetie?

— Ja dołżen dratsia — rzekł Major.

— Z kim wasze błahorodje?

— Z etym maładcom — odpowiedział Major wskazując oczami na Buńskiego.

— Z panem Buńskim! — zawołał zadziwiony Oficerek. — To niemożet byt, wy szutitie.

— Kak niemożet byt! — wrzasnął Major — on menia trasnuł w rożu!

— Nieużeli?

— Jej Bohu! tak wy — dodał — budietie u menia sekundantom.

— Charaszo — odpowiedział Oficerek, a w tym Szawicz przystąpił do niego i rzekł:

— Trzeba oznaczyć czas, miejsce i broń.

— Prykażetie? — zapytał Oficerek do Majora.

— On tu niema co rozkazywać — przerwał Szawicz — te układy do nas dwóch należą.

— Ja niemogu bez błahorodje.

— To niechże już i błahorodje gada, tylko odpowiedzcie — zawołał Szawicz. — Jak pan

chcesz bić się? — dodał obracając się do Majora — na pistolety czy na szable, zostawujemy panu wybór broni.

— Na sable! — rzekł Major.

— Na sable! — powtórzył jego sekundant.

— Kiedyż? — zapytał znowuż Szawicz.

— Ja i sam nieznaju — rzekł Major obracając się do swego sekundanta.

— Wasze błahorodje — odpowiedział sekundant — tiepier razgaraczenie, to najłutsze dratsia, pośle schołodnoju krowieu, to uże nie tak.

Major pomyślał trochę i rzekł; — W samom diele, tiepiericze łutsze.

— Jeho błahorodje — rzekł Oficerek hardo do Szawicza — prykazujet wam dratsia w siej czas.

Wszyscy się uśmiechnęli a Szawicz dodał:

— Co się tycze miejsca, to może najlepiej w tym lasku za ogrodem.

Major zgodził się na to i wyszli, a my z Konstantym ciekawi końca tej sceny, poszliśmy za niemi. Antagoniści stanęli na placu, a Chirurg przez Szawicza zaproszony, szczęściem na fecie znajdujący się, zbliżył się do nas.

Major dobył pałasza i skoczył ku Buńskiemu, który jeszcze nie był uzbrojony, ale go Szawicz swoim pałaszem zatrzymał. Tymcza-

sem Buński stanął w pozycyi, sekundanci odstąpili i pojedynkujący zaczęli się składać. Major zamrużywszy oczy machał pałaszem to na lewo, to na prawo, a Buński stał prawie nieruchomy i zdawał się upatrywać dobrej chwili, nareszcie raptem się wyciągnął i tak rąbnął Majora w głowę, że ten padł na ziemię, Chirurg przyskoczył, zdjął mu kaszkiecik i zawołał:

— Tam do djabła! mózg wylazł.

— Gdzietam, — odpowiedział Szawicz — u niego niema mózgu!

To rzekłszy zbliżył się, a zobaczywszy coś białego we włosach Majora, schwycił ten przedmiot i zawołał:

— Niemówiłem! to wata z czapki.

Na te słowa wszyscy w głos rozśmieliśmy się, Major w czapkę tylko ranny powstał i oświadczył, że już niema pretensyi, wszyscy zatem powróciliśmy do salonu. Jednakże ta kłótnia jakkolwiek szczęśliwie zakończona, odjęła humor towarzystwu i wkrótce wszyscy się prawie rozjechali. Ostatnia pożegnała Komityssę moja siostra, wsiedliśmy do pojazdu, Buński zaproszony przez Konstantego usiadł z nami i ruszyliśmy szczęśliwie. Późno już w nocy dojechaliśmy do Czarnej, (tak się nazywało miejsce gdzie mieszkała moja siostra).

Utrudzeni fetą i podróżą wszyscy potrzebowaliśmy spoczynku, zaraz więc po lekkiej wieczerzy każdy poszedł do siebie. Buński przez cały dzień następny bawił w Czarnej, przed wieczorem oświadczył że musi nazajutrz jechać, gdyż grzeczność wymaga aby oddał wizytę swemu sekundantowi.

Polubiłem był szczerze Bońskiego, przytem przez cały ten wieczór rozmawiano o rozmaitych figlach Szawicza, który miał być nadzwyczaj wesoły; ta rozmowa zrodziła we mnie ciekawość poznania go bliżej, zdecydowałem się przeto pojechać z Bońskim, i wziąwszy od mojej siostry i szwagra urlop na dwa dni, ruszyłem na drugi dzień z rana do Szawicza.

XI.

Deszcz padał był w nocy, gliniasta podolska droga zrobiła się śliska, konie zaledwo mogły się na nogach utrzymać, to też późno w wieczór dowlekliśmy się do domu pana Gracyana. Stół już był nakryty do wieczerzy, i zaledwośmy weszli i Buński mię zaprezentował, gospodarz zaprosił do stołu.

Kilku młodych ludzi dawniej przybyłych i

malutki niemczyk Doktor w miasteczku zamieszkały, całe towarzystwo składali. Po parze kieliszków starego węgrzyna, pan Szawicz zaczął rozmowę o polityce i wychwalał rząd rossyjski. Wytrzeszczałem na niego oczy, niepoznając w tej rozmowie człowieka, który tak niedawno zupełnie innego był zdania; wtem Buński trącił mnie i szepnął mi do ucha:

— To nie bez przyczyny, pewnie jaki figiel na warsztacie.

Widać że wszyscy na tę myśl wpadli, bo zaczęli potakiwać Szawiczowi. Malutki tylko Doktor na wpół już podpity, zaczął się sprzeciwiać.

— Niech djabli weźmie taki rząd! — zawołał — ja myślał że pan Szawicz Polak, a pan Szawicz Moskal!

— Cicho panie Fryderyku! — odpowiedział Szawicz — czasem i ściany mają uszy!

— Co mnie ściany! ja drwi z uszy! — wrzasnął rozgniewany Niemczyk.

— Ale Fryderyku, rząd...

— Co mnie rząd! ja jemu samemu to powisz!

Wtem Szawicz mrugnął, jeden lokaj wyszedł, a po chwili pokazał się we drzwiach człowiek w asessorski mundur przybrany, i

cicho postępując stanął za Fryderykiem który dalej wrzeszczał:

— U waspanów dobrze jak baty bije; waspany niema duszy, waspany tchórze!

— Gdie tot maszennik! — zawołał Asessor przystępując do Szawicza — tot niemec! — Spojrzeliśmy w tę stronę gdzie siedział Fryderyk, miejsce było próżne; sąsiad tylko pokazał nam że siedzi pod stołem. — Kakoj on lekar! gdie obuczałsia! gdie zdawał examin?

— Na tę gorzką przymówkę Fryderyk wyskoczył z pod stołu i zawołał: — W Berlinie!

Asessor popatrzył na niego milcząc, potem dobył z zanadrza opieczętowany papier i dał go Szawiczowi; ten czytał powoli, twarz mu się co raz naciągała, nareszcie rzekł płaczliwym głosem do Asessora:

— To mój przyjaciel! przynajmniej nie w moim domu!

— Kak wam ugodno — odpowiedział Asessor — ale budietie otwieczat, i za nieho was w Sibir zaszlut.

Szawicz westchnął i rzekł: — Ha, cóż robić. Fryderyku, skazany jesteś do Tobolska!

— Ja! — zawołał drżącym głosem Fryderyk — ja cudzoziemiec, wolę jechać do Berlina.

— Wierzę — odpowiedział Asessor — ale tymczasem marsz do Tobolska!

To rzekłszy świsnął, wpadło dwóch ludzi w policyjskich strojach i porwali Fryderyka. Szawicz zbliżył się do niego i szepnął mu do ucha: — Bądź spokojny, nieopuszczę cię! — Fryderyk kiwnął głową ale niemiał czasu odpowiedzieć, bo raptem go porwano, wsadzono do zamkniętej kibitki i ruszono.

My poszliśmy za Szawiczem i stanęliśmy na małym dziedzińcu domu Doktora. Objechawszy parę razy miasteczko, kibitka zatrzymała się koło nas, konie wyprzężono i zaprzężono na nowo, poczem znowu kibitka ruszyła. Powtórzywszy tę samę cernmoniją kilka razy, zatrzymała się nakoniec na dziedzińcu, wyjęto więźnia i zamknięto go w szopie naprzeciw domu stojącej. Po chwili jak się uciszyło, Szawicz przystąpił do szopy i zaczął wołać półgłosem:

— Fryderyk! Fryderyk!

— A to pan Szawicz? — zapytał Fryderyk.

— Ja to, ja jadę za tobą.

— Gdzież my jesteśmy?

— Niewiem, ale dalekośmy odjechali.

— Musieliśmy ujechać mil ze dwanaście! — rzekł Fryderyk — już i późno; w naszych stronach śpią dawno.

— Zapewne, zapewne — odpowiedział Szawicz. — Chciałbym cię ratować, ale sam niewiem co zrobić, bo choć się wszyscy pospali, jednak warta przy drzwiach stoi.

— Zmiłuj się pan! rutuj mnie, bo przepadnę z temi barbarzyńcami!

— Chciałbym — odpowiedział Szawicz — ale cóż zrobić? — Potem po chwili namysłu zapytał: — A jest w szopie podłoga?

— Niema.

— To się wykop.

— A czemże?

— Ja ci przez tę szparę w górze spuszczę rydel.

— Niech panu Bóg płaci! — zawołał stroskany Niemczyk.

Szawicz spuścił mu rydel, a on wziął się do roboty. Po chwili zaczęliśmy słyszeć mocne sapanie.

— Cóż to? — zapytał Szawicz — czy zmęczyłeś się?

— Niech to djabli wezmie — odpowiedział Fryderyk — już niemogę!

— Tyle zrobiwszy niegodzi się ustawać, ale spiesz się bo już świta, jak cię tu zastaną, a broń Boże zobaczą wykopaną jamę, to i mnie zgubisz, i sam w skórę dostaniesz!

— Już kopię, już kopię! — zawołał prze-

lękniony Fryderyk, i znowu zaczęliśmy słyszeć wyrzucanie ziemi.

Tymczasem w samej rzeczy dzień nadszedł, ziemia od podwórza zaczęła się jakby uginać, nareszcie wklęsła zupełnie, i wkrótce pod ścianą pokazała się głowa zatabaczoną chustką obwiązana i wołająca: — Pan Szawicz! pan Szawicz!

— Cicho! — rzekł Szawicz — wysuwaj się i zmykaj!

Niemczyk zaczął żwawo ruszać rękami i stanął na nogi, ale tak zmęczony i odurzony, że oparł się o ścianę i stał jak bez zmysłów. Wszyscy w głos się roześmieli, Fryderyk spojrzał na nas, potem zdawał się poznawać miejsce, przetarł oczy, nareszcie własny dom zobaczywszy poczerwieniał, chciał coś przemówić ale niemógł, bo mu się wargi trzęsły od gniewu, nareszcie ostatnich sił dobywszy, podniósł rękę, zawołał: — Ha! pan Szawicz! — wpadł do domu i drzwi zatrzasnął.

My śmiejąc się wróciliśmy do Szawicza, i tam pogawędziwszy jeszcze parę godzin mieliśmy się rozchodzić, kiedy zajechała parokonna bryczka, z niej wytoczył się jakiś otyły jegomość i wszedł do domu. Pan Szawicz co tchu wyszedł z salonu, a wkrótce jednemi drzwiami wszedł jego kamerdyner, a drugiemi gość nowo przybyły. Kamerdyner skłonił się gościowi, który z zadziwieniem spoglądał na nas tak rano ubranych i zgromadzonych w salonie, i rzekł do niego:

— Pan Szawicz od kilku dni obłożnie chory, przeprasza pana że niewychodzi naprzeciw niego, ale prosi do siebie

Szlachcic skłonił się i poszedł za kamerdynerem, a my domyślając się nowego figla, przystąpiliśmy do drzwi sypialnego pokoju, do którego wszedł już był nowo przybyły.

— Wybacz mi pan — rzekł słabym głosem Szawicz — że nieprzyjąłem pana tak jakbym był rad go przyjąć.

— Cóż to szkodzi — odpowiedział szlachcic — to źle tylko żeś pan słaby.

— Cóż robić — rzekł znowu Szawicz — póty dzban wodę nosi, aż się ucho urwie. Żyło się też, dokazywało się! Ale siadajże panie Cześniku. — Cześnik usiadł. — Mamy — rzekł znowu Szawicz — o ważnych interesach pomówić. Winienem panu tysiąc czerwonych złotych.

— Tak panie dobrodzieju, — przerwał Cześnik — dziś właśnie termin.

Tu Szawicz zaczął mocno stękać.

— Co to panu? — zapytał Cześnik.

— Trochę mi gorzej.

— Cóż pana boli?

— A noga! Czyżto niesłyszałeś o mojem nieszczęściu?

— Nie panie.

— Przed dwoma dniami wściekły pies mię pokąsał. — Tu raptem jakby zagrzmiało, szlachcic z krzesłem odjechał od łóżka. — Wypiekli mi ranę — rzekł dalej Szawicz — ale to nic niepomogło, wciąż mię nudzi, jakaś piana zbiera się w gębie.

To rzekłszy plunął, a szlachcic znowu o parę kroków odjechał. Po chwili milczenia Cześnik widząc Szawicza spokojnego, dobył z zanadrza rewers i rzekł:

— Przykro mi pana trudnić interesem, ale...

— Brrrr! — zawarczał Szawicz.

Cześnik co tchu schował rewers i znowu się odsunął. Po dosyć długiem milczeniu szlachcic uspokojony cokolwiek, chciał raz jeszcze próbować szczęścia, i dosyć nieśmiało odezwał się:

— Przykro mi bardzo....

— Ham! ham! — zaszczekał Szawicz.

Cześnik zerwał się i skoczył ku drzwiom, Szawicz szczekając poleciał za nim, przebiegli przez salon, wpadli do przedpokoju; Szawicz już rękę wyciągnął żeby porwać szlachcica za kołnierz, ale ten jednym susem wpadł na

dziedziniec, wskoczył do wózka i tak przeraźliwie wrzasnął na furmana: — Ruszaj! — że ten z całej siły smagnął konie biczem i wózek cwałem wyleciał z dziedzińca. Szawicz powrócił trzymając się za boki, my także zachodziliśmy się od śmiechu, a to tak nas wybiło ze snu, że jużeśmy się niekładli.

Po dobrem śniadaniu około południa pożegnaliśmy wesołego gospodarza i ruszyliśmy do Czarnej. Przejeżdżając koło domu Doktora, widzieliśmy pozamykane okiennice, widać że biedny Niemczyk nieodpoczął był jeszcze po sybirskiej wyprawie. — Jakkolwiek rozmawiając o tem wszystkiem wesoło nam czas przechodził, jednakże droga błotnista i głębokiemi kolejami porżnięta, mocno się nam uprzykrzała. Jechaliśmy noga za nogą, pojazd trzeszczał jakby się miał na kawałki rozlecieć, lecz tą razą skończyło się przecie na strachu, i szczęśliwie lubo bardzo utrudzeni zajechaliśmy do Czarnej.

Konstanty wielki gospodarz oprowadzał nas nazajutrz po swojem gospodarstwie, musieliśmy widzieć wszystko i takeśmy się nachodzili, że prawdziwie rad byłem jak nadeszła obiadowa godzina, która nas przecie sprowadziła do domu. Po obiedzie, na wybornej kanapie rozwalony, używałem miłego spoczynku

popijając kawę, kiedy moja siostra zapytała Buńskiego, czy zawsze pracuje.

— Cóż mam robić — odpowiedział — na wsi tyle czasu zbywa! Ale przynajmniej — dodał uśmiechając się — jeźli mam wadę pisania, mam także i zaletę, że mojemi pismami nienudzę nikogo, bo spokojnie sobie na biórku spoczywają.

— Ta właśnie zaleta jest w moich oczach największą wadą — rzekła moja siostra — nie trzeba być takim egoistą, i za karę nam co przeczytać. Pan pewnie masz co z sobą?

— Mam tylko nędzną powiastkę — odpowiedział Buński — której jedyną zaletą jest to, że prawdziwa, a która zresztą nie godna jest tego, aby nią państwa nudzić.

— Niech pan nam zostawi sąd o tem, — rzekła znowu moja siostra — słuchamy.

Buński po krótkich jeszcze wymówkach, dał się nareszcie nakłonić, poszedł po swoję powiastkę, my ulokowaliśmy się jak można było najwygodniej do słuchania — Buński powrócił i zaczął czytać.

PAN ADAM.

1.

Poranek był zimny ale jasny, można się było pięknego jesiennego dnia spodziewać, to też we wsi Hoholówce w posessorskim dworku, pomimo rannej pory ruch wielki widać już było. Na jednej stronie dziedzińca dwóch ludzi oczyszczali wierzchowe konie, opatrywali siodła, cugle i popręgi; na drugiej kilkunastu psów gończych z pochowanemi głowami w duże koryto, chłeptały osypkę, a dojeżdżacz z harapem w ręku asystował ich śniadaniu. Przyczyną tego ruchu było, że Posessor Hoholówki Mecenas Staszkiewicz i siedmiu jego synów mieli dnia tego jechać na polowanie do przyległego lasu, gdzie się było gniazdo wilków pokazało.

W domu, młodzi Staszkiewicze broń opatrywali, rozmierzali naboje prochu i lotek, wsypywali je w ładunki i napełniali szerokie safianowe kartuzy. W osobnym pokoju młody jakiś człowiek, sam jeden przechodził się z kąta do kąta; widać że niemiał jechać na to polowanie, gdyż najmniejszego nierobił przygotowania. Stąpanie jego nierówne, nie-

cierpliwe kazało się domyślać, że mocno myślą jakąś był zajęty, a gwałtem wyrywające się z piersi westchnienia, dowodziły że serce jego w tych myślach nie mały miało udział.

Na drugiej stronie domu, w obszernej izbie zwanej garderobą, krzątały się dwie kobiety. Jedna, lat z pięćdziesiąt mająca ubierała się, lecz co moment przerywała swoję toaletę, i to przysuwała to odsuwała od ognia garnuszki ze śmietanką rzędem ustawione; druga młoda dziewczyna w rannym stroju, to jest spódnicy tylko, prasowała kołnierzyki batystowe.

— Spiesz się Magdusiu — rzekła pierwsza — twoja panienka zapewne dziś wcześnie się zerwie, to trzeba żeby wszystko było gotowe.

— Moja panienka! — odpowiedziała cierpko Magdusia — czemuż to i nie pani Truszkowskiej także, wszak obie służemy, choć to jejmość klucznica, a ja tylko garderobiana.

— Tak — przerwała Truszkowska tonem wymówki — obie służemy, tylko ja wszystkie dzieci pochodowałam i jestem jakby drugą ich matką, a ty?

— A ja! — zawołała z żalem Magdusia rzucając się na jej szyję — a ja także jakby twoje dziecie, boś i mnie wychodowała i dla mnie byłaś matką!

— Wiem — rzekła Truszkowska głaszcząc

Magdusię po twarzy — że ty dobra jesteś dziewczyna, tylko za żywa.

— Prawda, — odpowiedziała Magdusia całując rękę Truszkowskiej — ale cóż ja temu winna, jak chodzi o pannę Juliję, to niemogę wytrzymać żeby się nieująć.

— Dobrze to jest moje dziecię, dobrze — rzekła Truszkowska — trzeba swoich panów kochać i ujmować się za niemi, ale teraz niebyło o co, bo cóż ja takiego powiedziałam, żeby się można było obrazić.

— Mnie się zdawało, że jejmość dla tego powiedziała że moja panna wcześniej się zerwie, że pan Adam Drożewski wczoraj przyjechał, i będzie dziś na śniadaniu.

— W samej rzeczy dla tego, ale cóż w tem złego? Pan Adam bardzo przyzwoita partya, młody, majętny, dobrze urodzony i kocha pannę Juliję, a podobno i ona jego.

— Ona?... jego!... — zawołała Magdusia.

— Co? nie?.. — zapytała żywo Truszkowska zbliżając się do Magdusi i patrząc jej bystro w oczy.

— Jak to jejmość obeszło, — odpowiedziała Magdusia, — o tę bądź jejmość spokojna, niekocha go.

— Jakże wiesz o tem?

— Cóżto ja darmo garderobiana? — rzekła

Magdusia biorąc się pod boki, prostując się i udając minę poważną.

— Po czemże sądzisz?

— Po czem? po wszystkiem.

— Ale przecie?

— Otóż wczoraj ubierałam panienkę, jak pan Adam zajechał przed ganek; ona spojrzała w okno, podniosła ramiona i mruknęła sobie coś takiego, coby pan Adam nierad był słyszeć.

— Cóż takiego?

— Mruknęła: Znowu przyjechał, a to się do mnie bieda przyczepiła!

— Tak powiedziała?

— Nie tylko tak powiedziała, ale nawet zaraz mnie odesłała i niechciała się ubierać, aż jak już trzeba było iść na obiad.

— No, chwała Bogu! — rzekła Truszkowska ciężko odetchnąwszy, jakby jej kamień spadł z piersi.

Magdusia spojrzała na nią z zadziwieniem i tonem zapytania powtórzyła: — Chwała Bogu?

— Zapewne — odpowiedziała Truszkowska — ty jeszcze dziecko, to nic niewidzisz.

— Cóż mam widzieć?

— To, że panna Anna kocha Drożewskiego; cóżby to było żeby, Boże uchowaj, jednego obie siostry kochały!

— Prawda to, — odpowiedziała Magdusia — ale cóż z tego kiedy on kocha pannę Juliją.

— Jak zobaczy że ona jego niekocha, to sobie wyperswaduje i zwróci się może do panny Anny.

— Wątpię — rzekła Magdusia uśmiechając się i trzęsąc głową.

— Nie śmiej się moje dziecię. Prawda że panna Julija piękna, a biedna Anusia nie ładna, ale taka dobra, taka pobożna, toż przecie i to się może podobać; a przytem córki pana Staszkiewicza nie lada partye, bo choć to on ma jeszcze siedmiu synów i od pana Głębockiego posessyą trzyma, to jednak jego nie łatwo przeliczyć.

— Co to pomoże — odpowiedziała Magdusia — pan Adam taki trzpiot! Co jemu dobroć, pobożność, a nawet i posag, on na twarz patrzy.

— A potem — mówiła Truszkowska jakby niesłysząc odpowiedzi Magdusi — Julija jeszcze bardzo młoda, może poczekać i łatwo męża dostanie, a Anusi już czas za mąż.

— Co to, to wielka prawda — przerwała Magdusia — panna Anna musi już mieć latek ze....

— Cyt! — syknęła Truszkowska przyskakując żwawo do Magdusi i rękę do ust jej

przykładając; potem obejrzała się na wszystkie strony, a widząc drzwi dobrze zamknięte i cichość zupełną w sieniach, spokojniej dodała: — moje dziecię, dobra sługa nigdy o takich rzeczach mówić niepowinna, to do nas nienależy.

— Ale ja tylko przed jejmością mówię.

— I przedemną nietrzeba, o nieszczęście nietrudno, a gdyby kto, broń Chryste Panie, podsłuchał i rozpowiedział! Ty jeszcze niewiesz co to ludzkie języki?

Magdusia, czy to sądząc po słowach Truszkowskiej, czy też sama postrzegłszy że niepotrzebnie głośno tak drażliwej strony dotknęła, przeprosiła Truszkowskę i na ucho jej coś szepnęła. Truszkowska potrzęsła głową na znak potwierdzenia, obejrzała się i rzekła półgłosem:

— Ma już, ma! ale cicho, nam nic do tego.

Zaledwo to wymówiła, drzwi się otworzyły i wszedł człowiek siwy, zgarbiony, lat ze sześćdziesiąt mający.

— Dzień dobry Bartłomieju, — rzekła Truszkowska — cóż tam słychać?

— Wszystko dobrze, Bogu chwała — odpowiedział Bartłomiej — pan już ubrany, panicze wstają, niech kawa będzie gotowa.

— Będzie wszystko gotowe, — rzekła cierpko — kiedyż ja czego zaniedbałam?

— Prawda, prawda, ja to tylko przestrzegam, bo dziś wybierają się na polowanie, to wcześniej będą śniadać.

— Wiem, wiem, to też i wcześniej fusy nastawione — rzekła Truszkowska widocznie tłómaczeniem Bartłomieja ułagodzona — a pan Adam jest jeszcze?

— Jest, — odpowiedział stary sługa — ale widać niepojedzie na polowanie, bo jeszcze ze stancyi niewyszedł.

— O mój Boże! — zawołała Truszkowska przyskakując do komina — w dwóch garnuszkach zbiegła śmietanka.

— Ej! bądź jejmość spokojna — odpowiedziała Magdusia, i to rzekłszy zaczęła głośno liczyć na palcach: — panna Julija, panna Anna, stary Pan, pan Xawery, pan Antoni, pan Franciszek, pan Dyonizy, pan Paweł, pan Ignacy, pan Rudolf i gość pan Adam, jedenaście, a garnuszków — dodała wskazując palcem — trzy, sześć, dziewięć, dwanaście, trzynaście! Ot jeszcze dwa nadto.

— Bogu dzięki! odetchnęłam — rzekła Truszkowska, która się była pilnie rachubie przypatrywała.

— Jejmość bo zawsze niewiedzieć czego się turbujesz; co tam garnuszek śmietanki!

— Co tam, co tam! Tobie zawsze co tam!

— Zapewne.

— Zapewne, bo pstro w głowie, a jakby było niestało, a jeszcze przy gościu! pięknie by było, żeby stara Truszkowska co wszystkie dzieci wychodowała, taki wstyd zrobiła domowi. Boże uchowaj! To — dodała zwracając się do Bartłomieja — pan Adam niepojedzie na polowanie?

— Ja niewiem — odpowiedział Bartłomiej — jeszcze niewyszedł od siebie, a widziałem że lata po stancyi jak opętany; coś tu się święci.

— Cóż takiego? — zapytała ciszej Truszkowska przystępując do Bartłomieja.

— Jak tylko dnieć zaczynało, pan Adam zerwał się z pościeli — odpowiedział Bartłomiej — i już ze dwadzieścia razy pytał się czy wstał pan Staszkiewicz.

— A cóż to dziwnego? może mu pilno jechać, to chce sie pożegnać.

— Gdzie tam! Furman żadnych niema rozkazów, jeszcze spi jak zabity, a co dziwniejsza, to że pan rozkazał niemówić że wstał, aż jak dadzą śniadanie.

— Hum hum! — mruknęła Truszkowska — to prawda że coś się święci; Boże zmiłuj się, żeby tylko nie jakie nieszczęście!

— Czego się troskać — rzekł Bartłomiej —

nic złego się niedzieje. Pan Adam młody, kocha się, i zapewne się oświadczy, a sam niewie jak zacząć.

— To wielka pociecha! — odpowiedziała Truszkowska — oświadczy się o pannę Julią, a cóż się z moją biedną Anusią stanie? Ona...

— Słuchaj jejmość, — przerwał Bartłomiej — nasz pan nie darmo Mecenasem, potrafił zrobić majątek i utrzymać, to potrafi i o córkach pomyśleć; a wreszcie jakże waspani wiesz o kogo się oświadczy?

— Biedna Anusia! — mówiła dalej Truszkowska — taka dobra, taka słodka. Nie darmo mnie się śniło, że panna Julija przemieniła się w gołąbka i co tchu uciekała, a pan Adam przerzucił się w jastrzębia i wszystko pędził za nią!

— I złapał? — zapytała Magdusia.

— Niewiem moje dziecię, krążyli, krążyli po nad domem, aż coś strzeliło i obudziłam się. Biedna Anusia!

— Daj jejmość pokój — rzekł Bartłomiej — sen mara, Pan Bóg wiara; wszystko to wyjdzie na dobre. Bądź jejmość zdrowa.

To rzekłszy wyszedł, a Truszkowska mruknęła: — na dobre, na dobre! — Potem spojrzawszy na Magdusię dodała: — Idźże panienki ubierać; niech się dzieje wola Boża!

Magdusia żywo wyskoczyła z pokoju, Truszkowska znowu mruknąwszy — na dobre, na dobre, co tu dobrego jak Anusia osiądzie na koszu! — przeżegnała się, i na intencyą Anusi zaczęła pacierz odmawiać. Zaledwo skończyła Ojcze nasz, wszedł lokaj wołając:

— Pani Truszkowska do Pana!

— Zaraz, zaraz — odpowiedziała Truszkowska, porwała kornecik na stole leżący, wcisnęła go na głowę, szlafrok zapięła pod szyją, wsunęła nogi w pantofelki na koreczkach i kłusikiem wybiegła z garderoby.

2.

Tymczasem Magdusia już ustrojona w perkalikowym szlafroczku, weszła do panieńskiego pokoju, i tonem ulubionej garderobiany odedrzwi jeszcze zawołała:

— Niechaj panienki wstają, już jegomość ubrany, panicze także i kazano dawać śniadanie.

— Tak rano? — odezwała się Julija przecierając oczy.

— Jadą na polowanie — odpowiedziała Magdusia — a panienka wie, na paniczów żeby o północy zatrąbić, toby się pozrywali.

— A pan Adam jest jeszcze? — zapytała nieśmiało Anna.

— A gdzieżby się podział — odpowiedziała Magdusia podnosząc ramiona — jego gdzie nieposiać, tam się urodzi.

Anusi łzy się w oczach zakręciły, podniosła się i milcząc zaczęła się ubierać, a Julija postrzegłszy to, surowym tonem rzekła do Magdusi:

— Co to do ciebie należy, lepiejbyś zrobiła żebyś swojego patrzała.

Widać że Magdusia nieprzywykła była do wymówek, bo żywo, jakby równej sobie odpowiedziała:

— Co to do mnie należy? cóżto ja nie domowa? Pan Adam ma się oświadczyć Panu o panienkę, a jabym....

— Co ty pleciesz? — przerwała Julija — jak wiesz o tem?

— Już to pewnie, i Bartłomiej powiadał, i pani Truszkowskiej się śniło, że pan Adam przerzucony w jastrzębia gonił za panienką, a panienka była gołębiem.

— Głupia jesteś moje dziecię — odpowiedziała Julija, widząc że Anna to bladła, to czerwieniała — wszak gwałtem nieożeni się ze mną, a że się oświadczy, to cóż mi to szkodzi; niech sobie i sto razy się oświadcza.

To rzekłszy zerwała się z łóżka, podbiegła ku Annie i uściskała ją; Anna oparła głowę

na ramieniu siostry i łzy dawno wstrzymywane zaczęły wydobywać się z jej oczów. Magdusia spojrzała na nią, podniosła ramiona i rzekła:

— Jest za kim płakać, za takim swiszczypałką; ja biedna służąca a niechciałabym jego.

— Milcz! — przerwała groźnie Julija — za nadto sobie pozwalasz.

Magdusia wysunęła wargi naprzód, raz jeszcze ruszyła ramionami i zamilkła, a obie siostry zaczęły się ubierać.

Tymczasem w jadalnym pokoju co moment się drzwi otwierały i wchodził nowy pretendent do śniadania. Wkrótce komin obstąpiony został do koła przez siedmiu dorodnych synów pana Staszkiewicza.

— Ależ djabelskie zimno! — rzekł najstarszy z braci Xawery, stuknąwszy z całej siły nogą w ogromne kawały drzewa tlejące na żelaznych wilkach. Iskry się posypały i trzeszcząc zaczęły się wznosić do góry, a wszyscy Staszkiewicze jakby czekali tylko na ten przewidziany fenomen, przysiedli i ręce do ognia zbliżyli.

— Żeby tylko stare nam się niewymknęły, — odpowiedział Antoni — bo dla tych młodych wilczków to i niewarto marznąć.

— Jak wyjedziem tak rano, to pewnie starych nieznajdziemy — rzekł znowu Xawery.

— Ja niewiem co to się jegomości stało? taki dawny myśliwy przed południem na wilki wyjeżdża. Ale coś Adama niewidać, czy to on niepojedzie?

— Jemu właśnie wilki w głowie! — odpowiedział Rudolf — zakochany jak kot, radbym żeby się to już skończyło.

— Co ci to szkodzi? — rzekł Antoni.

— Rudolf ma racyą — odpowiedział Xawery — ustawicznie przyjeżdża, siedzi po dni kilka i nic niekończy, to Juliją kompromituje.

— Wczoraj był taki niespokojny, taki zamyślony — rzekł znowu Antoni — że przysiągłbym, iż myśli się ojcu oświadczyć.

— To dobrze — odpowiedział Xawery — niech się oświadczy, powiedzą mu tak, albo nie i koniec; inaczej jakby nam siostrę dłużej kompromitował, to niech mię Bóg skarze, palnąłbym do niego jak do wilka.

Kiedy to mówił, dało się słyszeć stąpanie i po chwili pokazał się młody, przystojny człowiek. Wszedł nieśmiało, rzucił okiem po pokoju, a niewidząc widać osoby którą chciał i lękał się zobaczyć, zaczerwieniał i żwawiej postąpił. Pomimo poprzedzającą rozmowę, młodzi Staszkiewicze widząc w nim i gościa, i może przyszłego szwagra, — gdyż ten młody

człowiek był Adam Drożewski — powitali go uprzejmie i zrobili mu miejsce przy kominku Xawery nawet pomimo świeżą pogróżkę, zapytał troskliwie, co mu jest takiego. W samej rzeczy Adam był blady, oczy miał podbite, jakby niewyspane i można było patrząc na niego sądzić, że niezdrów.

— Całą noc niespałem — odpowiedział Adam.

— Czy nie zimno było w pokoju?

— Nie, ale tak.... różne myśli, różne projekta wybiły mię ze snu.

— Myśli odpędzić, projekta uskutecznić i spać dobrze, to moja maxyma — rzekł Xawery — zawsze tak robię, to też niewiem co to noc bezsenna

— Szczęśliwy kto tak może! — odpowiedział Adam.

— Słuchaj panie Adamie — rzekł znowu Xawery — my ciebie kochamy, znamy ciebie od dzieciństwa, prawie razem z nami byłeś wychowany, więc mogę otwarcie z tobą pomówić. Już rok mija jak co moment przyjeżdżasz, wszyscy mówią że się kochasz w Julci, to wszystkich oddala, bo naturalnie każdy myśli, że od tak dawna już się rzeczy musiały ułożyć.

— Cóż ja....

— Poczekaj, niemamy o to do ciebie pretensyi, i owszem radzibyśmy żebyś został naszym szwagrem, ale chcemy już wiedzieć coś pewnego; pomów więc z naszym ojcem, oświadcz się, i niech się to już raz skończy. Albo bywaj u nas jak uznany przyszły mąż Julci, albo zaniechaj tych kompromitujących ją odwiedzin.

— Ja to myślę — rzekł wahając się Adam — oddawna chciałem tak zrobić, ale... — to mówiąc uderzył się w czoło — ale nieśmiem.

— A to jedź sobie! — zawołał burzliwy Xawery — i ustąp miejsca takiemu, co będzie śmielszy od ciebie.

Adam zamilkł, pomyślał trochę i rzekł nareszcie: — Ha! kiedy tak, to lepiej prędzej niż później, dzisiaj się jeszcze oświadczę.

— Słowo?

— Słowo.

Wszyscy bracia podali mu ręce, a ledwo ta ceremonija się skończyła, ze drzwi przeciwnych weszły Julija i Anna, obie blondynki, Julija młodziutka, zaledwo lat ośmnaście mająca, prześlicznej urody; Anna znacznie starsza, kibić jej wysmukła, spojrzenie łagodne i miłe, ruchy szykowne, włosy duże i pięknego koloru, wszystko to zdało się dowodzić, że równie ładną jak siostra przyjść musiała na

świat, ale ospa tak twarz jej pozszywała, tyle zostawiła znaków, że na pierwszy rzut oka biedna Anna niemiłe sprawiała wrażenie. Bracia postąpili ku nim, pan Adam tylko pozostał i z daleka się ukłonił. Panny usiadły, Xawery mrugnął na braci którzy natychmiast wrócili do komina, wziął Adama pod rękę niby dla przechadzki, i zbliżając się do panien szepnął mu: — Teraz masz czas, pomów z Julią, bo wiesz że dzisiaj z Jegomością skończyć trzeba — to rzekłszy oddalił się. Adam co raz to chciał już coś powiedzieć, to jakby jakąś niewidzialną siłą wstrzymany zamilkł, wreszcie po długim namyśle postąpił parę kroków i ukłonił się.

Panny postrzegły jego pomięszanie, Julija się uśmiechnęła, a Anna podniosła oczy, spojrzała na niego i zapytała łagodnie, czy jedzie na polowanie.

— Nie jadę — odpowiedział Adam z wdzięcznością, bo te pierwsze słowa wymówione, przerywały ambarasujące jego położenie. Przybliżył się śmielej i starał się z Julią zacząć rozmowę, ale napróżno, ledwie kiedy niekiedy jednem słówkiem mu odpowiadała i wciąż jakby chciała unikać spotkania się oczów, to na braci, to w okno patrzała. Ten cichy lecz wyraźny opór niecierpliwił Adama; im więcej

Julija unikała rozmowy, tem on więcej jej pragnął, nareszcie postanowił usiąść przy niej i koniecznie się oświadczyć. Porwał więc krzesełko, przysunął go żywo do Julji, lecz ta czy to przewidując deklaracyą, czy przypadkiem właśnie wstawała kiedy on siadał, poszła ku braciom i zostawiła go z Anną.

Ten wypadek zniszczył momentalną odwagę Adama, zmięszany pobębnił palcami po krześle, spojrzał na Annę która łagodnie patrzała na niego, i ożywiony cokolwiek tym wzrokiem rzekł nareszcie:

— Piękny dzień mamy.

— Tak — odpowiedziała Anna, i na tem rozmowa się przerwała.

Adam czuł śmieszność położenia swojego i potrzebę prowadzenia dalej rozmowy, ale nic mu nieprzychodziło do myśli. Czas upływał, Anna już także podnosiła się z krzesła, już miała odejść i niebyło czasu do stracenia, Adam więc co tchu zawołał: — Ale wczoraj zimniej było!

Anna usiadła i odpowiedziała: — W samej rzeczy.

Pan Adam zaczął na nowo bębnić w krzesło, i tą razą Bóg wie jakby długo trwało było milczenie, gdyby Anna nieużaliła się przecie:

— Pójdźmy — rzekła — do komina; w sa-

mej rzeczy zimno tak jest przejmujące, że trudno z daleka od ognia wytrzymać.

Adam zerwał się nagle, Anna wstała powoli i ruszyli do komina. Adam zachodził to z jednej, to z drugiej strony żeby się zbliżyć do Julji, ale ta czy umyślnie, czy przypadkiem tak się wykręcała pomiędzy braćmi, że zawsze jeden z nich był pomiędzy nią a Adamem. Wszedł nareszcie i sam pan Staszkiewicz, uściskał córki, powitał synów i podał rękę Drożewskiemu.

— Jak się masz panie Adamie? — rzekł — czy dobrze się spało?

— Niemogłem oka zamrużyć — odpowiedział żałośnie Adam patrząc na Juliją, ażeby widzieć jakie to na niej sprawi wrażenie, lecz ta coś mówiła żywo do siostry i nie tylko niewidziała tego spojrzenia, ale nawet zdawała się niesłyszeć tego co było mówione. Adam zacisnął ręce z niecierpliwością, usunął się trochę i rzekł cicho do Xawerego: — Widzisz jak mię traktuje, jakże mam się oświadczyć?

— To panieńskie kaprysy — odpowiedział Xawery — nieuważaj na to, niech tylko ojciec pozwoli, to i ona się odmieni.

— Pozwól mi przynajmniej trochę czasu, ażebym ją wyrozumiał.

Xawery spojrzał groźno na Adama i rzekł:

— Mam twoje słowo, czasu miałeś dosyć, albo więc dzisiaj się oświadcz, albo przestań tu bywać.

— Jakież to masz prawo — rzekł obrażony Adam — dom mi wypowiadać? wszak tu panem twój ojciec.

— Prawda — odpowiedział spokojnie Xawery — ja też niewypowiadam domu, tylko ostrzegam. Jest nas siedmiu, a z każdym kolejno będziesz miał do czynienia, jeżeli niedotrzymawszy danego nam dzisiaj słowa, choć raz jeszcze przyjedziesz.

— Hajdamaki! — mruknął Adam, a w tym momencie pan Mecenas zawołał na niego prosząc na śniadanie.

Ani gościnne częstowanie gospodarza, ani nieśmiałe zapraszanie Anny niezdołały nakłonić go do jedzenia. Śniadanie się kończyło, Adam co raz rzucał okiem na Juliją, ale ta rozmawiała wesoło, ani zdawała się widzieć że pan Adam pości na jej intencyą, nakoniec szepnęła coś do siostry i na głos się zaśmiała. Na ten widok twarz Adama się naciągnęła, czoło się zmarszczyło, widać było że waży w myśli: czy ma nic niemówiąc odjechać i niewrócić, czy też ostatniego potentować sposobu i ojcu się oświadczyć. Po chwili nadzieja jakkolwiek niepewna przemogła nad gniewem,

kiwnął nieznacznie głową jakby sam approbując swój zamysł, i rzekł do Staszkiewicza że radby po śniadaniu pomówić z nim sam na sam. Siostry spojrzały po sobie, Xawery ścisnął rękę Adama, a pan Staszkiewicz uśmiechnął się, jakby dobrze wiedząc o co chodzi, i odpowiedział że gotów jest na usługi pana Adama. W rzeczy samej, zaraz po śniadaniu wziął go pod rękę i wyszli do drugiego pokoju. Gospodarz drzwi przymknął, usiadł na kanapie, pokazał Adamowi ręką miejsce przy sobie i rzekł:

— Słucham cię panie Adamie.

Pan Adam krząknął, spuścił oczy w ziemię, zaczerwienił się i rzekł nareszcie: — Ja to mości dobrodzieju....

— Cóż takiego? — zapytał Staszkiewicz po chwili milczenia.

— Bo to widzisz WPan dobrodziej... ja to...

Staszkiewicz uśmiechnął się i rzekł: — Widzę panie Adamie, że sam niewiesz od czego masz zacząć.

— Prawda mości dobrodzieju, kiedyż sam niewiem jak to mam powiedzieć; bo to...

— Bo to nigdy o tak ważną rzecz ci niechodziło — przerwał Staszkiewicz. — Jak ojciec, możebym niepowinien gadać za ciebie, ale jestem przyjacielem twego ojca, oddawna

życzyliśmy sobie dzieci nasze połączyć, czemuż niemam dopomódz ci do mówienia. Oto kochasz moję córkę i chcesz prosić mię o jej rękę, wszak prawda?

— Tak mości dobrodzieju — odpowiedział Adam półgłosem.

— To dobrze, chętnie pozwalam, niech was Bóg błogosławi moje dzieci!

Adam zsunął się z kanapy i ukląkł przed Staszkiewiczem, ale jakby nową myślą uderzony, zamiast dziękczynienia zawołał: — Czy ona tylko mię kocha!

— A — odpowiedział uśmiechając się Staszkiewicz — to do ciebie należy. Jednakże kiedy niewiesz, to się jej spytamy.

— Możeby lepiej, — rzekł Adam nieśmiało, jakby lękając się zbliżenia chwili, w której los jego miał się decydować — możeby lepiej....

— Niebój się — przerwał Staszkiewicz — ona mię kocha, a jak się dowie że twoje żądanie zgadza się z moją wolą, to powie nam prawdę — To rzekłszy zawołał głośniej: — Anusiu! Anusiu!

— Ale ja....

— Bądźże spokojny, nierozgniewa się za to że ojciec mówić z nią będzie.

— Ale bo ja ....

— Już spuść się na mnie, nic złego się niestanie; Anusiu! Anusiu!

— Ale ja, — zawołał zdesperowany Adam — ja proszę o pannę Juliją!

— O pannę Juliją! — mruknął Staszkiewicz — z tego nic niebędzie; Julji niewydam przed starszą siostrą.

— Ale mości dobrodzieju....

— Takie jest moje nieodmienne postanowienie.

Czoło pana Adama zasępiło się, widać że chciał jeszcze błagać, ale czy to straciwszy zupełnie nadzieję, czy też pomnąc na to, że jego ojciec i Staszkiewicz chcieli dzieci swoje połączyć, i sądząc że wymoże pozwolenie jeźli uda że chce zerwać związki z domem Staszkiewiczów, wstał i rzekł zimno:

— Pan zapewne niesądzisz żebym posagu tylko szukał i zenił się z jedną siostrą, kiedy kocham drugą.

— Ja nic niesądzę, — odpowiedział również zimno Staszkiewicz — tylko powiadam panu, że młodszej córki przed starszą niewydam.

— Więc ja niemam już co tu robić — rzekł obrażony Adam.

— Na ten moment w samej rzeczy, kiedy niechcesz się żenić z Anusią, to poczekaj aż

się kto dla niej zdarzy, a wtenczas pomówiemy o Julji.

— Więc żegnam pana.

— Do widzenia — odpowiedział Staszkiewicz i wyszedł.

Adam odurzony tem niespodziewanem pożegnaniem, stał w miejscu jak wryty, nareszcie rzuciwszy oczy na około siebie, jakby wątpiąc jeszcze że został sam jeden i przekonawszy się o tej smutnej prawdzie, uderzył się w czoło i wybiegł drugiemi drzwiami. W sieniach chciał zdjąć z kruka płaszcz swój i ciągnął go z całej siły, niewiedząc że drze podszewkę, kiedy jedną razą ktoś rękę jego zatrzymał. Adam obrócił się nagle i spostrzegł Truszkowskę.

— Uspokój się pan — rzekła do niego — wiem o wszystkiem, mój pan jakby przewidział co będzie, długie mi dziś rano dawał instrukcye; ale niech pan nietraci nadziei, jakoś to, Bóg da przerobiemy.

— Jak to przerobić? — odpowiedział Adam wzdychając — gdyby mię przynajmniej Julija kochała, to jeszcze... z czasem....

— Czegoż chcesz pan, czy ma ci się na szyi powiesić? czy niewidzisz jak ciebie unika, jak boi się rozmowy z tobą, czyż to nie jest najlepszy dowód że cię kocha?

Adam niewidział był jeszcze kwestyi z téj strony; jakaż nieprzewidziana nadzieja wdarła mu się do serca. — O matko! — zawołał — opiekuj się mną!

— Bądź pan spokojny, rób tylko co ci powiem a wszystko dobrze pójdzie.

— Zrobię wszystko co każesz! — zawołał Adam.

— Dobrze — odpowiedziała Truszkowska i po chwili namysłu dodała: — teraz jedź pan nieżegnając nikogo, jak gdybyś niedbał o nich, jadąc stań pan na końcu wioski, wywołaj z karczmy arendarza Awrumka, to sprytny żydek, daj mu pan parę rubli, więcej obiecuj i każ żeby u pana bywał co tydzień. Przez niego możesz pan pisać do panny Julji pod moją kopertą, a jak czas nadejdzie ja uwiadomię, i wszystko tak się zrobi jak pan sobie życzysz.

Uszczęśliwiony Adam poszedł ku stajni, a nie długo potem dwoma przeciwnemi wrotami dwa pojazdy wyjeżdżały z dziedzińca. Na jednym młodzi Staszkiewicze, a za niemi dojeżdżacz prowadzący kilka sfór gończych, jechali na wilki: na drugim pan Adam wracał do Klityszcz gdzie mieszkał jego ojciec.

3.

Kilka tygodni minęło, Awrumko Hoholowski arendarz często jeździł do Klityszcz i przywoził bileciki Truszkowskiej, Adam odpisywał gorące listy do Julji, lecz położenie jego nic się niezmieniało. Jakkolwiek pewność bycia kochanym osładzała smutek rozłączenia, niewystarczała jednak sercu Adama. Ośmielony przez Truszkowskę umyślił raz jeszcze potentować szczęścia, i uprosił swego ojca żeby pojechał prosić o rękę Julji. Stary Drożewski pojechał, prosił, błagał, obiecywał oddać synowi natychmiast cały majątek, ale napróżno, zawsze tę samę otrzymywał odpowiedź: — Nieodmawiam, ale niewydam młodszej córki, póki starsza za mąż niepójdzie.

— Więc już niema nadziei? — zawołał Adam dowiedziawszy się o niepomyślnym skutku podróży ojca.

— Mógłbyś poczekać, — rzekł ojciec — ale pókiż to trwać będzie? Anna zacna panienka, ale tem trudniej będzie ją wydać, że jej siostra taka piękna; każdy naturalnie o młodszą będzie się starał, a gdyby się i znalazł taki coby jedynie o posagu myśląc nieszukał Anny lub Julji, ale tylko córki majętnego

Staszkiewicza, to znowu za niego jej niewydadzą.

Adam zasmucony tą odpowiedzią, wyszedł z domu, tysiące projektów snuło mu się po głowie: to chciał rzucić wszystko i zaciągnąć się do wojska — to znowu jakąś nadzieją mamiony chciał jechać do Hoholówki, i tam albo wymódz pozwolenie ojca, albo w jego oczach w łeb sobie strzelić — to postanawiał czekać i tym czasem poszukać kogo coby się z Anną ożenił i za to całego posagu Julji mu odstąpić. Tak zatopiony w myślach szedł niepatrząc przed siebie, i czy to kierowany instynktem serca, czy też z nałogu tylko, posuwał się ku Hoholówce. Uszedł już był z pół mili, kiedy obił mu się o uszy głos znajomy.

— Wiu! — wołano — wiu szkapo! bodajeś przepadła!

Adam spojrzał przed siebie, ale las był gęsty, droga skręcała się na prawo, nic przeto niemógł zobaczyć; podbiegł więc do załomu drogi i tam dopiero postrzegł furkę nędznym konikiem zaprzężoną, pomykającą się ku niemu z pomocą krzyku i częstego smagania biczem; na furze siedział Awrumko. Adam skoczył naprzód, żyd spostrzegłszy go zatrzymał szkapę, wyskoczył z woza, pogłaskał brodę i przybiegł wołając:

— Nu! chwalić pana Boga że ja panicza spotkał.

— Dawaj! dawaj! — zawołał Adam wyciągając rękę po list spodziewany.

Awrumko dobył z zanadrza pakiecik brudną chustką obwinięty i rozwijając go rzekł: — Chwalić Pana Boga wszyscy zdrowi, a pani Truszkowska kazała co tchu jechać do wielmożnego pana. Oto jest! — dodał podając list Adamowi.

Adam wyrwał mu list z ręki, rozdarł kopertę i zaczął czytać.

— Nu! czy dobra wiadomość? — zapytał Awrumko widząc rozjaśnioną twarz Adama — u nas także kontente! Panienka tak skacze, panicze tak śmieją się, sam pan taki wesoli, tylko panna Anna coś płacze.

— Głupiś! — zawołał zniecierpliwiony Adam, rzucając Awrumkowi kilka rubli srebrnych, które on łapczywie zbierać zaczął po piasku. — Podjedź ku wiosce, ale niewyjeżdżaj z lasu i czekaj na mnie. — To rzekłszy skoczył napowrót, a Awrumko wolno za nim pojechał.

— Nu! — mówił sam do siebie — coś to jest? Pani Truszkowska wszystko każe jeździć a jeździć, a wszystko milczyć a milczyć. Pfu! — dodał plunąwszy — taki sekret, a na co? —

To rzekłszy dobył rękę z kieszeni, ruble brzęknęły a on kiwnął głową i rzekł znowu: — Nu, niech i tak będzie, co mnie do tego. — Tak mrucząc i dojechawszy do brzegu lasu, zatrzymał konia, położył się w wozie i zasnął.

Tymczasem Adam przyleciał do domu, wpadł do swego pokoju, drzwi zamknął na klucz, ucałował list Truszkowskiej i zaczął głośno czytać:

„Nie bardzo to dobrze co ja piszę do pana, ale miły Boże! jakże ja co wszystkie dzieci pochodowałam, mogę spokojnie patrzeć na łzy panienki. Jegomość wszystko to samo mówi, niema więc rady, trzeba się obejść bez pozwolenia a potem przeprosić. W przyszłą sobotę Jegomość wyjeżdża, niech więc pan przygotuje księdza i przyjedzie do nas o północy, panienka będzie gotowa, pojedzie z panem i zaraz po ślubie wróci. Pomału Jegomości powiemy że już po ślubie, a tak wszystko będzie dobrze. Niech pan już do panny Julji niepisze, tylko mnie uwiadomi czy przyjedzie i gdzie ma być ślub.“

Adam porwał pióro i odpisał kilka słów tylko, tak mu spieszno było, ażeby odpowiedź jego jak najprędzej doszła. Oświadczył, że księdza w Czerniechowie zamówi i w sobotę o północy przyjedzie. Pobiegł znowu do lasu,

Awrumka zbudził, zalecił pośpiech, a wróciwszy, wsiadł na konia i pojechał niewiadomo dokąd; ale musiał albo daleko jeździć, albo mieć coś ważnego do załatwienia, bo na drugi dzień dopiero wieczorem powrócił.

Nadeszła wreszcie niecierpliwie oczekiwana sobota. Zajęty projektem blizkim uskutecznienia, Adam, można powiedzieć nieżył dnia tego, niewidział, niesłyszał, na wspak odpowiadał, tak, że ojciec myślał że ma gorączkę i troskliwie zaczął się o zdrowie jego wypytywać. Rad z tego pretextu Adam oświadczył, że mocny ma ból głowy, i zaraz po obiedzie wyszedł do siebie, niby to dla odpoczynku, lecz wistocie dla oddania się myślom, które mu się do głowy cisnęły.

Około dziesiątej w wieczór pan Drożewski już się miał zabierać do spoczynku, kiedy nagle psy na dziedzińcu zaczęły ujadać, i w tym samym momencie dało się słyszeć mocne do wrot stukanie. Spojrzał w okno, brama się otworzyła i wleciał na dziedziniec jeździec w czerwonym kaftanie, zielonym pasem opasany; wysoka z czarnego barana czapka, trzymała się głowy za pomocą rzemyka podpiętego pod brodą, a mocne sapanie konia i gęste kłęby pary z nozdrzów buchające, dowodziły że podróż odbyła się z wielkim pospiechem

Zatrzymał konia przed gankiem tak, że tylne kopyta zaryły się w piasku, zeskoczył z siodła, dobył z zanadrza papier i wszedł do sieni. Pan Drożewski poznał liberyą nadwornego kozaka z Hoholówki, uchylił drzwi, wziął list i zbliżywszy się do kominka na którym paliła się świeca, zaczął czytać. Zaledwo przebiegł okiem kilka wierszy, zawołał: — Bazyli! — Po chwili wszedł siedmdziesiąt-letni starzec, ukłonił się i rzekł: — Jestem panie.

— Zawołać mi pana Adama.

Starzec wyszedł i wkrótce wrócił donosząc że panicza niema, i że się niekładł nawet, bo łóżko posłane jak na dzień.

— A więc to prawda! — mruknął Drożewski — szalona pałka! Pięknie się popisał twój faworyt — dodał obracając się do zaufanego sługi.

— Cóż takiego? — zapytał starzec.

— A wykradł pannę Juliją.

Bazyli potrząsł głową, westchnął i po chwili rzekł: — Cóż panie, lepiej żeby się było bez tego obeszło, ale młody, zakochany to i dziwu niema.

— Młody! zakochany! — ofuknął Drożewski — to także exkuza.

— Panie, wszak to ja i pana na ręku nosiłem. Czy to pan zapomniał jak ojciec nie-

boszczki jejmości żony pańskiej, robił panu trudności w ożenieniu się, co to pan wyrabiał? bywało po całych nocach latamy a latamy na koniach; a co to było projektów, co złości? Niechno pan sobie pomyśli, gdyby byli koniec końców niechcieli wydać za pana panny Kunegundy, a ona pozwoliła się wykraść, cobyś pan był zrobił?

— Prawda to jest, — rzekł wzdychając Drożewski ułagodzony wspomnieniem młodości — ale cóż tu zrobić?

— Co zrobić? — odpowiedział Bazyli — naprzód dowiedzieć się czy to prawda.

— Jak niema być prawda, kiedy sam Staszkiewicz pisze do mnie, że mu Adam wykradł córkę i że podobno do Czerniechowa na ślub pojechali.

— A kiedy tak, — rzekł starzec — to wątpić niemożna, niech im Bóg szczęści!

— Ale cóż ja mam robić? — zawołał Drożewski — gdybym się był z boku dowiedział, mógłbym wymówić się niewiadomością, ale po tym przeklętym liście i tej niemam wymówki, a mnie szaleć niewolno.

— Gdybym ja był na pańskiem miejscu, to wiem cobym zrobił.

— Cóż takiego?

— Oto wybierałbym się parę godzin i przyjechałbym do Czerniechowa po ślubie.

— Co ty oszalałeś?

— Nie panie, lepiej błogosławić synowi, jak przeszkadzać mu do szczęścia. Czy to pan niewidział jak się pan Adam odmienił, a broń Boże teraz kiedy tak blizki ślubu, gdyby nagle przerażony życiem przypłacił?

Drożewski wstrząsł się mimowolnie i zaczął chodzić po pokoju z niecierpliwością. Widać było, że prawość walczy w nim z czułością ojcowską, nareszcie prawość przemogła.

— Cóż robić, — rzekł smutnie — niegodzi się ojcu wyrywać córki. Może się też Staszkiewicz da teraz ubłagać, może po tym wypadku uczuje, że panna tak skompromitowana niebędzie mogła pójść za kogo innego! Muszę pojechać, każ zaprządz.

Bazyli wyszedł, a Drożewski wciąż się przechadzał. Słowa Bazylego tkwiły mu w myśli, szukał sposobu pogodzenia szczęścia syna z tem co mu powinność nakazywała, i tak był myślami zajęty, że dobra godzina upłynęła nim sobie przypomniał że kazał zaprzęgać i postrzegł że dotąd niema powozu. Zdziwiony tem opóźnieniem zawołał na Bazylego, starzec był w przedpokoju i przyszedł natychmiast.

— Cóż pojazd? — zapytał Drożewski.

— Zaraz każę zaprzęgać — odpowiedział spokojnie Bazyli

— Jak to! teraz dopiero?

— Tak panie, teraz dopiero; niech pan zrobi ze mną co zechce, ale ja nieprzyłożę się do nieszczęścia pana Adama, którego jak i pana na ręku nosiłem. Teraz pan przyjedziesz już po ślubie, a wina będzie nie pańska lecz starego Bazylego.

To rzekłszy wyszedł, a nie długo potem zaszła parokonna bryczka, do której wsiadł Drożewski i ruszył do Czerniechowa.

Gdy to się działo w Klityszczach, pan Adam tymczasem dojeżdżał do Hoholówki. O samej północy podszedł podedwór; przez uchylone trochę drzwi wchodowe przebijało mdłe światełko, co go nie mało ucieszyło, gdyż widział w tem dowód, że czekano na niego. Zbliżył się do drzwi, już miał je uchylić, kiedy usłyszał jakby tętnienie koni, zatrzymał oddech, przycisnął się do ściany i słuchał. Tętnienie słychać było ze strony Czerniechowa, ale coraz się oddalało, nakoniec ucichło zupełnie. Uspokojony tą cichością, uchylił drzwi ostrożnie, Truszkowska porwała go za rękę, zgasiła lampę i rzekła cicho:

— Niechno się pan nierusza i czeka na mnie, pójdę po pannę Juliją.

To rzekłszy poszła i po chwili wróciła ciągnąc za rękę pannę Staszkiewiczównę, która trzęsąc się ze strachu, zdawała się postępować opornie.

— Droga Julijo! — zawołał Adam przystępując do niej.

— St! — syknęła Truszkowska — cicho, cicho! żeby się kto nieobudził.

Adam głos zniżył i rzekł szeptając: — Nie bój się droga Julijo, nie daleko pojedziemy, tylko do Czerniechowa, przededniem jeszcze będziesz w domu.

— Dobrze, dobrze — odpowiedziała Truszkowska — nietraćcie czasu i wracajcie. Pan idź na palcach, a panienka spuść welon od przypadku.

Gdy się stało zadosyć jej żądaniu, przeżegnała ich i jak tylko wyszli na dziedziniec, drzwi za niemi zamknęła.

— Pójdź droga Julijo! — rzekł Adam gwałtem ją prawie ciągnąc za rękę.

— Boję się! drżę cała!

— Już teraz nie czas, — rzekł Adam — czyż mię niekochasz?

— Mój Boże! czyż trzeba jeszcze dowodów?

— O prawda, prawda! Wybacz mi droga Julijo, gdybyś wiedziała com cierpiał, jak byłem nieszczęśliwy?

Tak szepcąc przyszli do powozu i co żywo ruszyli drogą prowadzącą do Czerniechowa. Parę staj ujechawszy, Adam sądził że już może bezpiecznie mówić, rzekł więc:

— Już teraz niemamy czego się lękać, gdyby się i opatrzyli, to nas przed Czerniechowem niedogonią, a ślub w momencie się skończy, bo ksiądz czeka przy ołtarzu. — Po chwili dodał: — Cóż kochana Julijo nic mi nieodpowiadasz?

Po drugiej chwili milczenia uderzyła go myśl, że może Julija osłabła, przybliżył więc ucho, a usłyszawszy wolny i równy oddech, domyślił się że usnęła. — Biedaczka! — rzekł — chwała Bogu że choć godzinkę odpocznie.

To rzekłszy oparł się także o budę, i tak w cichości jechali aż do Czerniechowa. Pojazd zatrzymał się przed kościołem — Adam wysiadł i obudził swoję towarzyszkę, oznajmując że już szczęśliwie stanęli na miejscu. Lecz ta drżała jak listek i niemiała siły wysiąść; Adam więc porwał ją na ręce, wysadził z pojazdu i postawił na ziemi.

— Pójdź moja miła! — zawołał — nietraćmy czasu, każda minuta nam droga.

— Zapewne — odezwał się głos jakiś, i w tym momencie z za kościoła wypadło siedmiu ludzi, przyłożyli pistolety do piersi Ada-

ma, i ten sam głos rzekł groźnie: — Czy to myślisz bezkarnie uczciwe panienki wykradać?

Drożewski poznał braci Staszkiewiczów, ale i niemiał czem się bronić i niemógłby, gdyż utrzymywać musiał zemdloną swoję towarzyszkę.

— Łotrze! — rzekł dalej Xawery — przecie wpadłeś nam w ręce!

— Na miłość Boską! — zawołał Adam — zróbcie ze mną co chcecie, ale na nią wzgląd miejcie, wszak to wasza siostra.

— Dla tego też życiem przypłacisz, że to siostra nasza!

— Upamiętajcie się! to sie rozgłosi; już ja tylko teraz mogę być jej mężem. Kościół otwarty, ksiądz czeka przy ołtarzu, nie róbcie zgorszenia!

Te słowa zdawały się uspokoić trochę Staszkiewiczów, Xawery się zamyślił, rzekł nareszcie: — Prawda, co się stało odstać się niemoże, niechaj więc i tak będzie, będziemy twemi świadkami; a ty — dodał zwracając się do siostry i zrywając jej welon — uściskaj twego męża.

Adam spojrzał na nią, cofnął się krok jeden i krzyknął przeraźliwie: — Anna!

— Wykradłeś ją, więc musisz się ożenić — szepnął mu do ucha Xawery, bracia go

obstąpili i prawie wepchnęli do kościoła, a za niemi Rudolf wprowadził Anusię. Przy ołtarzu czekał na nich stary Staszkiewicz.

— Powinienbym — rzekł — nieprzebaczyć wam, ale ojciec zawsze ojcem, niechaj wam Bóg błogosławi!

Po tych słowach ksiądz wyszedł z zakrystyi i zaczął ceremoniją. Oboje państwo młodzi tak byli zmięszani, że sami niewiedzieli co się z niemi dzieje; machinalnie odpowiadali co im podszepnięto i byli ożenieni wprzód nim przyszli do przytomności. Zaledwo ślub się dokończył, przy drzwiach kościoła dał się słyszeć turkot pojazdu i w moment wbiegł pan Drożewski wołając: — Stójcie! stójcie!

— Już po ślubie — odpowiedział spokojnie Staszkiewicz — przebacz im przyjacielu, bo już i ja przebaczyłem.

— Kiedy tak, to Bogu chwała — rzekł Drożewski — niech wam Bóg błogosławi! — to rzekłszy spojrzał na synowę i mimowolnie zawołał: — Anna!

— Tę sobie wykradł, z tą się i ożenił — odpowiedział Staszkiewicz.

Drożewski spoglądał na wszystkich z zadziwieniem, uderzyła go przytomność wszystkich Staszkiewiczów, przypomniał sobie że o dziesiątej uwiadomiony był o wykradzeniu,

a widocznie to wykradzenie później nastąpiło, kiedy ślub dopiero teraz miał miejsce; domyślił się więc podejścia i groźno zapytał Adama:

— Kiedyś ją wykradł?

— O samej północy — odpowiedział pomięszany Adam.

— A pan już pierwej mię uwiadomiłeś — rzekł Drożewski do Staszkiewicza tonem wymówki.

Staszkiewicz nic nieodpowiedział.

Po chwili Drożewski obrócił się do syna i rzekł: — Dałeś się złapać Adamie, byłeś łatwowiernym, teraz bądź poczciwym, a ty Anusiu — dodał otwierając ręce — pójdź w objęcie drugiego twego ojca!

Anna gorzko płacząc rzuciła mu się na szyję, Staszkiewicze wynieśli się z kościoła, a Drożewski zabrawszy syna i jego żonę, powrócił do Klityszcz.

W kilka lat później Adam lubił opowiadać to zdarzenie, i zawsze opowiadanie swoje kończył przyciskając Anusię do serca i dziękując jej za to, że go wtenczas oszukała.

Podziękowaliśmy Buńskiemu; tymczasem jedenasta nadeszła, Buński wstał i oświadczywszy że musi nazajutrz odjechać, pożegnał nas. Moja siostra i Konstanty starali się go zatrzymać, ale napróżno; pożegnaliśmy go więc z żalem, bo towarzystwo jego prawdziwie było nam miłem.

Czas miło mi przechodził u mojej siostry, jednakże niespokojny byłem o moje gospodarstwo, i czułem potrzebę powrócenia do domu. Po kilku dniach przeto, z żalem pożegnałem gospodarzy Czarnej i wyruszyłem z powrotem do domu, ze stałem przedsięwzięciem, iż po stosownem urządzeniu gospodarstwa, poodwiedzam resztę moich sąsiadów.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.